



Adam Bielecki
Ludzie pisali,
żeby umarł ▶28

FOT. ADAM BIELECKI, REUTERS/LIESA JOHANNSEN



Macron naśladuje,
Trump podziwia
**Kto ubiera
Zelenskiego**
▶16



WYSOKIE OBCASY
Joanna Flis
Dlaczego życzenia
przy opłatku nas
krępują



MAGAZYN
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl

MARTA
NAWROCKA

**Matka Polka
z sąsiedztwa** ▶4

FOT. ANDRZEJ IWANCUK/NURPHOTO VIA GETTY IMAGES

WYBORCZA

Wydawnictwo Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348398



Norbi,
świetnie,
że zrobiłeś ten
coming out ▶25

**Wiceszef
Google'a
już wie,** komu AI
zabierze pracę ▶20

Zrzuciła habit
i namawia do
tego koleżanki
▶12

**Nawet chłop jest
Sarmatą.** Polacy
żyją jak w XVIII
wieku ▶44

**Kod dostępu
do Wyborcza.pl
na weekend**

Agnieszka
Kublik

Prezes czyta Dickensa

Nasz Bohater „Opowieści mocno niewigilijnej” oczywiście wiedział, że Duch Pierwszy, który go nawiedził, nie żyje. Byli przecież współnikami, nawet powiernikami, przez wiele lat. Więc gdy Duch Pierwszy zjawił się w domu Naszego Bohatera, ten padł na kolana i zasłonił twarz dłońmi. – Litości! – zawołał. – Straszna zjawo, dlaczego mnie dręczysz?! Nie bądź za srogi dla mnie! Nie bądź też tak kwiecisty, nie cytuj Le Carrégo w oryginale, powiedz krótko i węzłowato, o co ci chodzi?

Duch powiedział. – Gdy chciałem pomóc, tobie i twojemu bratu, przeprowadzić reformę caratu poprzez przekształcenie go w monarchię konstytucyjną bez detronizacji Najjaśniejszego Pana, nie posłuchałeś mnie. Byłeś małostkowy, pamiętliwy. Postrzegales świat zewnętrzny jako wrogi, wszędzie widziałeś spiski. Choć przecież kiedyś wykazywałeś się polityczną genialnością, miałeś przebliski znakomitej intuicji. Dziś jesteś karykaturą samego siebie sprzed lat. Jesteś kimś bardzo ważnym, ale chciałeś być wszystkim i tak ustawiłeś poprzeczkę, że jeśli nie będziesz wszystkim, to staniesz się nikim.

Kolejnego wieczoru Nasz Bohater czekał w trwodze. Gdy już odechnął, rozległo się złowrogie ding-dong! i cały pokój zajaśniał blaskiem. Kim ty jesteś? – zapisał Nasz Bohater. Był tak przerażony, że nie rozpoznał najbliższej mu osoby. – Jestem duchem wigilijnym przeszłości. Spędzałeś ze mną każde święta i nie tylko. Rozumieliśmy się bez słów. Widać zapomniałeś, więc posłuchaj.

Jestem duchem wigilijnym przeszłości. Spędzałeś ze mną każde święta i nie tylko. Rozumieliśmy się bez słów. Widać zapomniałeś, więc posłuchaj

I Duch przypomniał, że Nasz Bohater sam obiecał strzec jego dziedzictwa, na przykład szanowania wszystkich bez względu na religię, pleć, poglądy. – Miałeś pilnować, by moi następcy kontynuowali piękny zwyczaj zapalania świec chanukowych. A ty nie reagujesz, gdy moja spuścizna jest deptana.

Następnej nocy Naszego Bohatera nawiedził kolejny Duch. – Jestem duchem tegorocznego Bożego Narodzenia. Przypatrz mi się do brze.

To był przerażający widok. Nasz Bohater zobaczył mnóstwo ostentacyjnie nielojalnych wobec niego ludzi, takich, którym kiedyś ufał. Teraz otaczali go sami spiskowcy.

Duch Czwarty był niezwykle wysoki, krzepki, już sam jego drapieżny uśmiech wywołał u Naszego Bohatera trwogę. Nasz Bohater zapiszczał: – Zdaje się, że mam przed sobą ducha przyszłych świąt Bożego Narodzenia? Pokażesz mi rzeczy, które dopiero się staną?

Duch kiwnął potakująco głową. I pokazał. Lokator Pałacu Prezydenckiego organizuje uroczystość zapalania świec chanukowych. Zapala je z liderem Partii Gaśnicowej. Potem energicznie chwytają za gaśnice. Ubaw mają po pachy.

Nasz Bohater wznosi błagalnie dłonie z cichą nadzieją, że zaraz Duch Czwarty rozplynie się jak tamte. Ale nie znika, lecz syczy: Daję ci parę miesięcy, niech będzie rok. Wtedy wrócę z towarzyszami, z Duchem Arywizmu, Duchem Polexitu i Duchem Pogromu. ●

Andrzej rysuje

Szwecja
Zaraz będzie jaśniej

FOT. PAPE/ANDERS WIKLUND

Sztokholm, dzieci i młodzież z klubu Neptun biorą udział w pływackiej synchronicznej procesji z okazji Dnia Świętej Łucji. Kolejne pokolenia młodych pływaków obchodzącą w ten sposób od 30 lat święto o makabrycznej genezie – upamiętnia męczenniczkę, która oślepiła się, nie chcąc porzucić wiary – lecz radosne, bo z okazji zimowego przesilenia.

Kod dostępu
do Wyborcza.plOleg Artiemjew
Drugi etat kosmonauty

Rosyjski kosmonauta właśnie został wykłuczony z załogi, która w przyszłym roku polec statkiem Dragon na Międzynarodową Stację Kosmiczną (ISS). Według Roskosmosu, rosyjskiego odpowiednika NASA, przesunięto go do „innych zadań”. Według przecieków – podczas szkolenia fotografował silniki i dokumentację SpaceX i wynosił te materiały poza kalifornijską bazę firmy Elona Muska.

NASA i SpaceX nie komentują sprawy, bo nagłośnione szpiegostwo jeszcze bardziej nadweręży współpracy z Rosjanami – którzy i tak regularnie straszą, że ją zakończą – na ISS. Na orbitę polecą młodszy stażem Andriej Fiedajew.

Artiemjew to jeden z najbardziej doświadczonych rosyjskich kosmonautów, właściwie weteran – brał udział w trzech lotach do ISS, spędził na orbicie łącznie 560 dni, od lat jest filarem rosyjskiej obsady stacji.

Dlaczego Amerykanie są tak koncyliacyjni i nie usuną Rosjan z projektu?



FOT. NASA

tu w ogóle, skoro rosyjski program kosmiczny wciąż nie może podnieść się po upadku ZSRR, a po niedawnej awarii wyrzutni Sojuza na Bajkonurze jest praktycznie uziemiony? Tym razem nie chodzi o żadne interesy czy sympatie trumpistów. Sytuacja jest z gatunku „złapał Kozak Tatarzyna...”, bo funkcjonowanie ISS zależy od rosyjskiej części stacji – tam znajdują się systemy odpowiedzialne za podnoszenie orbity i orientację całego kompleksu, a ich zastąpienie nie jest ani szybkie, ani proste. ●

Więcej ► Wyborcza.pl/nauka

Cytat tygodnia



Asad nie jest już nawet uznawany za interesującego gościa na kolacji. Z nudów chodzi na zajęcia z rosyjskiego i medycyny

ŹRÓDŁO Z KREMLA
o życiu obalonego syryjskiego dyktatora i jego rodziny w Moskwie
Więcej ► Wyborcza.pl/swiat

FOT. REUTERS/MARIO ANZUONI

Liczba tygodnia

50
MILIARDA
DOLARÓW



tylko w mijającym roku wytłudzili internetowi oszuści metodą „na gwiazdę”. Szajki i indywidualni hakerzy z pomocą AI zakładali na X, TikTok czy Instagramie fałszywe konta popularnych artystów lub ich managementów albo włamywali na autentyczne profile, by oferować lewe bilety i nieistniejące gadzety. Szacuje się, że jeden na pięć biletów sprzedanych za pośrednictwem platform społecznościowych był fałszywy. Ofiarą oszustów najczęściej padali fani Taylor Swift, Sabrina Carpenter, Billie Eilish, BTS, Adele, Eda Sheerana, Lewisa Capaldi, BLACKPINK, Ariany Grande i Drake’a.

Więcej ► Wysokieobcasy.pl

Róbmy swoje i róbmy to dobrze

O demokrację wciąż trzeba się bić

Adam Michnik często powtarza, że najłatwiej w dzisiejszym świecie być pesymistą. Dlatego on jest optymistą, w dodatku walczącym. I dlatego powołał do życia Fundację Demokracja.

imielski



Róbmy swoje i róbmy to dobrze – przekonywał redaktor naczelny „Wyborczej” kilka tygodni temu na spotkaniu na Wydziale Historii Uniwersytetu Warszawskiego. Okazją było wydanie książki „Obywatel Michnik. Myśl polityczna Adama Michnika” Michała Siermińskiego i Przemysława Witkowskiego.

– Przeczucie mam, że nie będzie dobrze. Grozi nam faszyzacja nowego typu, normalny dialog jest dzisiaj niemożliwy. Ani Putin, ani Trump nie są stronami dialogu – przestrzegał także.

– Demokracja ma tę cechę, że toleruje swoich wrogów. Nie mam recepty na to, co dziś zrobić z demokracją. Ale wspominam beznadziejne momenty naszej historii i wiem, że nie trwają wiecznie. Róbmy swoje i róbmy to dobrze – powtórzył.

Adam „chce robić”. Powołał do życia Fundację Demokracja, która w sobotę 20 grudnia oficjalnie zainauguruje działalność. Warto wyliczyć cele statutowe:

- wspieranie wartości i instytucji demokratycznych;
- działalność na rzecz integracji europejskiej oraz na rzecz niepodległej Ukrainy i przemian demokratycznych w Rosji i innych państwach byłego bloku sowieckiego;
- upowszechnianie i ochrona wolności i praw człowieka oraz swobód obywatelskich;
- wspieranie i ochrona wolności słowa oraz wolnej debaty publicznej, w tym niezależnej prasy;
- wspieranie i rozwijanie dziennikarstwa i zwalczanie dezinformacji;
- rozwijanie i rozpowszechnianie kultury polskiej i ochrona jej dóbr, w tym sprawowanie pieczy nad spuścizną Adama Michnika i innych twórców kultury polskiej, a także wspieranie nagrody literackiej NIKE.

Bo dzisiejszy świat wymaga ciąglej walki o liberalną demokrację i jej podstawowe wartości. Populiści wszędzie rosną w siłę, w naszym kraju PiS wraz

z Konfederacją i ugrupowaniem Grzegorza Brauna mają w sumie w sondażach blisko 50 proc. poparcia.

Viktor Orban być może straci władzę na Węgrzech wiosną przyszłego roku, ale przez kilkanaście lat rządów zamienił swój kraj w skorumpowaną oligarchię. W podobnym kierunku zmierza Słowacja Roberta Ficy, a skrajnie prawicowa Alternatywa dla Niemiec (AfD) prowadzi w niektórych sondażach.

W Waszyngtonie umościł się Donald Trump z ekipą, która próbuje zlikwidować jak najwięcej bezpieczników z amerykańskiego systemu demokratycznego i rozbić od wewnątrz Unię Europejską.

Można by jeszcze długo wymienić. Nasze miejsce we wspólnej i zjednoczonej Europie wcale nie jest zagwarantowane, podobnie jak przetrwanie naj-

W Gruzji prorosyjskie siły wygrywają wybory parlamentarne i zwracają kraj z zachodniej ścieżki, pacyfikując protesty obywateli i prześladując opozycję.

Rosja Putina okazała się skorumpowanym kolosem, ale też godnym następcą imperializmu carskiego i sowieckiego. Napad na Ukrainę w 2014 r. i wielkoskalowa inwazja z 2022 r. tylko to potwierdziły. Ale, co często podkreślamy w „Wyborczej”, Rosja to nie tylko Putin, ale też zamęczony w łagrze Aleksiej Nawalny czy Władimir Kara-Murza, odważni dziennikarze z niezależnych serwisów takich jak Meduza. Jasne, że nie mają za sobą rządu dusz, ale dają nadzieję na przyszłość.

Wolność słowa też jest zagrożona. I to nie tylko ze strony polityków, którzy nigdy nie są przyjaciółmi tych, których

kraju wartości demokratycznych, jest dzisiaj symbolem wolności słowa i humanizmu. Przykładem na to, jak można w sposób etyczny opierać się autorytarnym zagrożeniom”.

Sam Adam jeszcze w 1981 r. zdefiniował sobie ideał Polski „solidarnościowej”: „Polska samorządna, tolerancyjna, wielobarwna, oparta na wartościach chrześcijańskich, sprawiedliwa społecznie, Polska przyjazna sąsiadom, Polska zdolna do kompromisu i umiaru, do realizmu i realnego partnerstwa, ale niezdolna do niewolnictwa, niezdolna do duchowego poddaństwa, niemożliwa do duchowego ujarzmienia. Polska pełna konfliktów normalnych dla nowoczesnych społeczeństw, ale przepojona zasadą solidarności. Polska, gdzie intelektualiści bronią prześladowanych robotników, a robotnicze strajki żądają wolności dla kultury. Polska, która mówi o sobie z patosem i szyderstwem; która tylekroć była podbijana, lecz nigdy podbita, tylekroć zwyciężana, lecz nigdy zwyciężona. Polska, która odzyskała dziś swą tożsamość, swój język, swoją twarz...”. [”Powstanie listopadowe – polskie pytania”, opublikowane w: „Polskie pytania”].

Gdy to pisał, miał za sobą już kilka lat w komunistycznym więzieniu, ale też doświadczał właśnie karnawału „Solidarności”. Jak potem podkreślał, „taką sobie wymarzyłem III Rzeczpospolitą w 1981 r., za taką Polską opowiadałem się po 1989 r.”.

Może stąd ten optymizm dzisiaj? Bo przecież nikt rozsądny w 1981 r. nie mógł nawet marzyć o tym, że za kilka lat odbędą się wybory, które zmienią oblicze naszego kraju i całego bloku komunistycznego. Że w 1991 r. upadnie więzienie narodów, czyli Związek Sowiecki. Że po świecie rozleje się fala niebывалей nadziei i demokratycznych przemian, a Francis Fukuyama ogłosi „koniec historii”.

Nie wszystko poszło tak, jakbyśmy chcieli. Ale nie można się poddawać, wpaść w marazm i obojętność, uznać, że tak musi być i nic z tym zrobić się nie da.

W „Wyborczej” wiemy, że trzeba się bić, a Adam jest tej walki symbolem i gwarantem. I stąd Fundacja Demokracja, bo demokracja sama się nie obroni. ●

Roman Imielski

Nie wszystko poszło tak, jakbyśmy chcieli. Ale nie można się poddawać, wpaść w marazm i obojętność, uznać, że tak musi być i nic z tym zrobić się nie da. My wiemy, że trzeba się bić

ważniejszego projektu w historii naszego kontynentu. Ostatnie sondaże wskazują, że już co czwarty obywatel Polski dopuszcza myśl o polexicie, a wspomniani wyżej antyeuropejscy populiści plus eurosceptyczny prezydent Karol Nawrocki płyną na tej fali.

No i wojna, ta wielka za naszą wschodnią granicą. Zawsze w „Wyborczej” wspieraliśmy zachodni, demokratyczny kierunek byłych sowieckich republik. Od upadku ZSRR w 1991 r. uważaliśmy, że tylko silne, niepodległe i związane ze wspólnotą europejską Ukraina, Białoruś, Litwa, Łotwa, Estonia są gwarantem, że imperializm rosyjski się nie odrodzi. Są tym samym gwarantem i naszego bezpieczeństwa, podobnie jak niepodległe, silne i demokratyczne Gruzja czy Armenia.

Białoruś stała się jednak skansenem naszego kontynentu, brutalnie rządonym od ponad 30 lat przez dyktatora Łukaszenkę. Dramatycznie doświadcza tego nasz przyjaciel i korespondent Andrzej Poczobut, uwięziony ponad cztery lata temu pod absurdalnymi zarzutami o ekstremizm.

zadaniem jest patrzeć im na ręce. Wielkie technologiczne korporacje i ich platformy społecznościowe stały się siewcami dezinformacji i kłamstw w sposób niespotykany w historii świata, a ich algorytmy napędzają polaryzację społeczeństw, wzmacniają ekstremizmy i różne teorie spiskowe uderzające w podstawowe wartości liberalnej demokracji.

Prawdziwe dziennikarstwo spychane jest do narożnika, a giganci cyfrowi okradają nas z naszej pracy. A im słabsze tradycyjne media, tym słabsza kontrola nad rządzącymi i tym słabsza demokracja.

Łatwo w takim świecie być pesymistą. Ale, jak często podkreśla Adam, on jest optymistą, co oczywiście jest trudniejsze. Warto tu przypomnieć uzasadnienie przyznanej mu w 2022 r. prestiżowej Nagrody Książniczki Asturii: „Walka Michnika o prawa człowieka i dialog wtrącała go do więzień polskiego reżimu komunistycznego, ale mimo to on nie przestał opierać się dyktaturze ani szukać pojednania pośród Polaków.

Michnik, którego koncepcja Europy miała wkład w ugruntowaniu w swoim



Pierwsza Dama

z piosenki Nosowskiej

„Za mądra dla głupich, a dla mądrych zbyt głupia. A huuu!
Zbyt ładna dla brzydkich, a dla ładnych za brzydka. A huu!
Za gruba dla chudych, a dla grubych za chuda. A huuu!”

Krystyna Romanowska

W a duże aspiracje i możliwości, by stać się jedną z najbardziej wpływowych kobiet w Polsce – słyszę od osoby z koneksjami w Pałacu Prezydenckim. – Ale brakuje jej dobrych doradców, którzy by w tym pomogli.

Kolejny sezon serialu „Nieoczekiwana pierwsza dama” rozpoczął się 6 grudnia w „dużym pałacu”. Marta Nawrocka, goszcząc uczniów zakopiańskiego liceum plastycznego i dekorując z nimi choinkę, zakręciła po góralsku, zawinęła czarnym kloszem sukienki, odsłaniając przy okazji łydki w czarnych rajstopach. Zatańczyła, bo – co już znamy na pamięć – przecież „od dziesiątego roku życia uczyła się w Szkole Baletowej przy alei Legionów we Wrzeszczu i balet to jej pasja”.

• **Gazeta.pl:** Marta Nawrocka podczas spotkania z harcerzami zachwyciła w eleganckim bordowym komplecie,

który połączyła z białą koszulą ozdobioną dużą, efektowną kokardą. Stylizacja była klasyczna, ale z wyraźnym modym twistem.

• **Komentarz czytelnika:** Marta Nawrocka ma urodę wieśniaczki. Ale chciałoby się do raju...

Ci, którzy się spodziewali, że zmiana funkcjonariuszki, i to nie sztabowej (poligon, strzelanie z broni, rozpracowywanie hazardzistów w Trójmieście), w pierwszą damę to będzie polityczne *long story short* – będą zawiedzeni. Zapowiada się nawet mocnych sześć sezonów niczym „House of Cards”. Za nami już emocjonujący pilot „Kampania” (jazda na rolkach w ramach #Kobiety za Nawrockim, spotkania z wyborcami i jogging na Giewont) oraz pierwszy sezon „Wzloty i upadki” – a Nawrocka nadal świetnie się klika i będzie się jeszcze długo klikała.

Nie tylko z banalnego kopciuszkowego powodu: oto dziewczyna z robotniczej Oruni wprowadza się do Pałacu Prezydenckiego. Efekt nowości i obserwowanie ewolucji jest absorbujące. Marta Nawrocka ma jednak nieprzemakalny i nieoczywisty życiorys. Jak „Cudzoziemki w ra-

ju kobiet” Katarzyny Nosowskiej: „Za mądra dla głupich, a dla mądrych zbyt głupia. A huuu! Zbyt ładna dla brzydkich, a dla ładnych za brzydka. A huu! Za gruba dla chudych, a dla grubych za chuda. A huuu!”.

Dla konserwatystów jest za liberalna (przedmałżeński seks, i to w jakim wieku, kto to widział), więc żeby nie wyjść na hipokrytów, muszą zrobić z niej „Damę Demograficzną”.

– Nie wyobrażam sobie lepszej pierwszej damy w czasach tak ogromnego kryzysu demograficznego. Mama trójki dzieci, bardzo opiekuńcza, a jednocześnie godząca obowiązki macierzyńskie z pracą zawodową. Wszyscy wiemy, że to nie jest łatwe, dlatego uważam, że Marta Nawrocka jest fantastycznym przykładem dla młodych kobiet – mówi Agata Wojtysek, posłanka PiS. – Pamiętajmy, że następne wybory nie będą przebiegały pod znakiem bezpieczeństwa, tylko kryzysu demograficznego.

Dla centrowej i lewicowej opozycji Nawrocka jest jeszcze trudniejsza („Dlaczego ona wtedy urodziła, ja nie chcę wnikać, bo to nie moja sprawa” – mówi mi posłanka opozycji). Nie dość, że była nastoletnią mamą (liberalizm – wolność dojrzewającej kobiety, a wypadka ludzka rzecz), to w dodatku (konserwatyzm, ale też lewicowość, moje ciało, mój wybór) nie dokonała aborcji.

W sumie bardziej Bolesław Prus, a może nawet Stefan Żeromski czy Eliza Orzeszkowa niż pani Duńska. A w dodatku prawica, zwykle uderzająca w młode „nieodpowiedziane” kobiety, teraz przedmiot zajadłej krytyki – nastoletni i przedmałżeński seks – obraca na swoją korzyść.



FOT. SZAWONIR KAMINSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Agata Wojtyszek zauważa, że Pierwsza Dama jest dobrym przykładem, iż „wczesne macierzyństwo, z reguły bardzo trudne i wymagające, może się szczęśliwie skończyć założeniem pełnej i dobrze funkcjonującej rodziny”. – Można bowiem trafić na odpowiedzialnego mężczyznę, z którym uda się stworzyć dobrą relację. Nie zawsze się tak udaje, ale przypadek Pani Marty daje nadzieję, że w naszej skomplikowanej rzeczywistości jest to możliwe – mówi posłanka PiS.

Na wszelki wypadek opozycja wybiera drogę dyskredytacji.

– W życiu „przerobiłam” kilka pierwszych dam: były takie bardzo aktywne, trochę mniej aktywne i takie, które nie były obecne. Jak na razie pani prezydentowa Nawrocka jest dla mnie pierwszą damą „bezobjawową” – mówi Agnieszka Kłopotek, posłanka PSL. – Nie widzę żadnej jej aktywności poza tym, że towarzyszy mężowi: idzie z nim, jedzie, leci: czasem wygląda to tak, jakby ciągnął ją za rękę, jak własność. To, co mnie uderza, to sposób, w jaki podąża za mężem. Nie wiem, czy w ogóle chce wyjść z roli kwiatka do kożucha, którego zadaniem jest upiększanie wizerunku męża rozdającego uśmiechy. Szkoda, bo od pierwszej damy oczekiwałamby jakiegoś działania.

• **Onet.pl:** W szarym garniturze z delikatnym prążkiem Marta Nawrocka prezentowała się nowocześnie i profesjonalnie. Bordowe dodatki oraz wysoki obcas podkreśliły sylwetkę i dodały stylizacji miękkiej elegancji.

• **Komentarz czytelnika:** Jaki styl? Ona ma styl? Z tym trzeba się urodzić, a nie wypaść spod skrzydła alfonsa.

• **Pierwsza Dama Marta Nawrocka podczas zaprzysiężenia jej męża, przed Zgromadzeniem Narodowym w Sejmie, na urząd Prezydenta RP. (6.08.2025)**

To nie jest casus państwa Trump. On jej nie ciągnie za rękę, oni po prostu się trzymają za ręce. Naprawdę sprawiają wrażenie niezłej pary

Z jednej strony „Najwyższy Czas” gani Martę Nawrocką za wspieranie „lewackiej obecności kobiet w pilce nożnej”, z drugiej od liberalno-lewicowo-kodziarskiej strony słyszy: „Żona prezydenta, jakby miała zajęcie edukacji zdrowotnej, toby nie zaszła w ciążę w wieku 16 lat”.

Feministki są w rozkroku. Po tym, gdy Nawroccy oświadczyli, że wypisują średniego syna z zajęć edukacji zdrowotnej, pisarka i wolnomyslicielka Manuela Gretkowska na Facebooku pisze: – Kobieta, która była nieletnią, samotną matką, nie chce w szkołach nowoczesnej wiedzy o antykoncepcji i seksualności. Uczmy się na błędach i niechcianych ciążach.

Doktorka Katarzyna Szumlewicz, pedagożka i filozofka z UW: – My, feministki, mocno trzymamy kciuki za młode matki. I jesteśmy bardzo szczęśliwe, jeżeli one w takiej trudnej sytuacji umieją sobie poradzić, a wczesne macierzyństwo nie rujnuje im życia. To, że jesteśmy za prawem do aborcji, nie oznacza przymusu aborcji. Jeżeli kobieta zaszła w ciążę, ma prawo ją donosić.

Żona prawicowego polityka, ale wykonująca zawód według stereotypu mało kobiecy, kojarzony raczej z testosteronem i świadomą lub mimowolną mizoginią – uzbrowiona i pracująca nie zza biurka agentka Służby Celno-Skarbowej – a więc spełniająca feministyczny postulat. Używająca sformułowań typu „kopara mi opadła” i nieskładnie formułująca zdania podczas kampanii prezydenckiej. To, co według wielkomiejskich komentatorów z dobrych dzielnic miało ją zdyskredytować, a co nazywa się autentycznością, jeszcze dodało jej punktów – a więc i jej mężowi. Matka, żona, przyjaciółka, równa dziewczyna – a więc on też nie może być taki zły, jak gadają.

Kaya Szulczewska, aktywistka, założycielka projektu Ciałopozytyw, uważa, że właśnie przez tę autentyczność i impulsywność wiele osób reaguje na Nawrocką od ruchowo, inaczej niż na jej poprzedniczkę czy na Jolantę Kwaśniewską. – Mnie się bardzo podoba to, że wychodzi ze stereotypu. Nie jest żadną „gęsią”, ma swoją historię „przed Karolem”, kompetencje, siłę, nawet pewną twardość, a jednocześnie miękkość i opiekuńczość. I że w istocie tworzy rodzinę patchworkową. Swoim życiem i osobowością obnaża hipokryzję i podwójne standardy różnych środowisk. Jest jak lustro, w którym niektórzy mogą zobaczyć, że ich deklarowane wartości często nie wytrzymują kontaktu z rzeczywistością.

Wojciech Kruczyński, psycholog: – U ludzi o poglądach progresywnych pojawia się czasem tęsknota za bardziej tradycyjnym modelem. Są zmęczeni ciągłą dekonstrukcją tradycji, co radykalniejszymi odmianami feminizmu. Mężczyźni chcieliby być bardziej męscy, u kobiet spotykam tęsknotę za możliwością oparcia się na partnerze bez konieczności tłumaczenia się z tego i analizowania, czy to jeszcze wpisuje się w równość płci, czy już nie. A tutaj pojawia się para, która wygląda na komplementarną, zsynchronizowaną, szczęśliwą. Nawrocki jest ubranym w garnitur „mięśniakiem”, czyli taką trochę bajkową Bestią, która w stereotypowej liberalnej narracji nie powinna mieć żadnych szans, a jednak istnieje i działa. A ona przy nim – „Piękna” – nie wygląda na osobę zdominowaną, tylko na kogoś, kto jest zadowolony, spełniony i realizuje się i w domu, i poza nim.

• **„Fakt”:** Marta Nawrocka podziękowała Melanii Trump za bankiet w Nowym Jorku. Internauci chwalią ją za godną reprezentację kraju.

• **Komentarz czytelnika:** A stylistka to chyba opuszczał wszystkie zajęcia. I to dziecko... promujące chorobę cywilizacyjną. Straszne...

Czymś, co może być najbardziej dezorientujące, jest jednak to, że projekt konserwatywnej rodziny, który miał się nie udać i pozostać już w wiecznej pogardzie – w przypadku Nawrockich działa. I wcale nie przypomina rodziny ewangelikalnych fundamentalistów z podporządkowaną żoną, jeśli nie w kuchni, to przy mężu.

– Dlatego Nawroccy irytują. Są żywym dowodem na to, że tradycyjny, komplementarny model związku może działać. I że można go realizować bez opresji, bez prze-

mocy, bez konfliktu. Są ucieleśnieniem czegoś, co wielu ludzi po cichu czuje: że walcząc o niezależność, poświęcili element bliskości i uzupełniania się, za którym tęsknią. To „konserwatyzm bezkofeinowy” – model, którego nikt nie potrafi łatwo ośmieszyć, bo on po prostu działa – analizuje Kruczyński. – Sama Nawrocka wydaje się w tym autentyczna. Nie gra, nie pozoruje, nie buduje wizerunku na pokaz. Po prostu robi swoje. I to chyba jest jej największa siła. A zarazem powód, dla którego tak trudno ją jednoznacznie zaatakować. Jest zwyczajna i niezwyczajna naraz. W jakimś sensie nie do ruszenia.

Zdaniem psychologa Nawrocka może podważać konserwatywną ideę, że kobiecość i siła muszą się wykluczać. – Jest po prostu kobietą, która może się podobać, a jednocześnie jest sprawcza, myśli po swojemu, działa po swojemu. Pokazuje, że można być w pewnym sensie obiektem pożądania i nie tracić podmiotowości. Jednocześnie udowadnia, że nie da się „odkobiecić” kobiety, nie da się udawać, że fizyczność nie ma znaczenia w kontaktach między ludźmi.

Czy daloby się zakolegować z Martą Nawrocką?

– Jego nie lubię, ale ona wydaje mi się autentyczna – mówi Ewa, gdańszczanka.

– Nie znam i nie mam ochoty poznać – mówi jej koleżanka Magda.

– Powiem szczerze, po historii z panem Jerzym i jego komunalną kawalerką przejętą przez pana Nawrockiego za ułamek wartości nawet nie wiem, czy chciałabym bliżej poznać panią prezydentową – mówi posłanka Agnieszka Kłopotek z PSL.

– Dwa razy włożyła tę samą sukienkę! Zakolegowałabym się z nią, zwłaszcza że jest prawie moją rówieśniczką. Wydaje się w porządku osobą – mówi Szulczewska.

Seksuolog (prosi o anonimowość, bo unika tematów politycznych): – To nie jest casus państwa Trump. On jej nie ciągnie za rękę, oni po prostu się trzymają za ręce. Naprawdę sprawiają wrażenie niezłej pary. Zdaje się, że ona kocha tego swojego „kibola” i jest z nim szczęśliwa.

– Typowa „girl next door” – opisuje Szumlewicz. – Zakolegować to pewnie bym się nie zakolegowała, bo różni nas światopogląd. Ale podoba mi się, że nie ucieka od koloru różowego. No i sądzę, że wybrała Karola z miłości.

Życiorys pierwszej damy, zanim została żoną Karola Nawrockiego, jest ukryty za mgłą. Ale to, co wiemy, jest dalekie od scenariusza „trad wifę”.

Oficjalnie nie wiadomo, którą z gdańskich szkół podstawowych i gimnazjów kończyła Marta Nawrocka z domu Smoleń urodzona w marcu 1986. Kancelaria Prezydenta nie odpowiada na pytania. Jedyne jawne fakty to nauka w Szkole Baletowej w gdańskim Wrzeszczu, do której trafiła jako dziesięciolatka. Większość dziewczynek z Gdańska w tamtych czasach otarła się o tę placówkę. Ale przecież musiała się gdzieś uczyć wcześniej!

Udaje mi się ustalić z pomocą moich przyjaciół, że chodziła przez trzy lata do podstawówki numer 9 przy ulicy Małomiejskiej na gdańskiej Oruni.

Orunia na początku lat 90. była dzielnicą surową, prostą i robotniczą – jedną z najmniej, obok Nowego Portu i Brzeźna, bezpiecznych miejsc w Gdańsku. Ulica Małomiejska, przy której stała szkoła, jak wiele innych tutaj, bywała zalewana po każdym większym deszczu, a powracająca woda podmywała chodniki i wdzierała się na podwórka. Wieczorami okolica pustoszała. Mieszkali tu kolejarze, portowcy, pracownicy zakładów i warsztatów – ludzie, którzy zaczęli dzień wcześniej i kończyli późno. A sama „dziewiątka”, mała i kameralna, w której edukację zaczęła mała Marta, to „typowa szkoła z tradycją”, jak mówią gdańszczanie: mocny patriotyczny rys, Izba Pamięci, spotkania z kombatantem, uroczystości rocznicowe, poczet sztandarowy celebrowany z ogromnym pietyzmem. A tradycja nie była jaka – to pierwsza szkoła polska otwarta po wojnie w Gdańsku, już w 1945 roku.

W drugiej połowie lat 90. Marta przeprowadza się na Chelm, stamtąd już blisko na Siedlce, gdzie mieszka student historii i „ultras” Lechii Gdańsk Karol Nawrocki. Zostaje nastoletnią mamą. Dwa lata później kończy Centrum Kształcenia Zawodowego i Ustawicznego, czyli ogólniak dla dorosłych, i spotyka przyszłego męża Karola, który jest wtedy studentem historii.

– W 2005 roku na szczęście nie było jeszcze filozofii „redpilla”, która twardo odradza wiązanie się z kobietami mającymi już dzieci, żeby nie wydawać pieniędzy na „nie swoje” – zauważa psycholożka Katarzyna Wozinska.

W Gdańsku żartują, że Karol Nawrocki, adoptując synka Marty, poszedł drogą tradycyjną, praslówiańskich i, ogólnie rzecz biorąc, prehistorycznych przodków, dla których liczyło się przede wszystkim to, że kobieta mogła mieć dzieci.

– Historia Marty i Karola wcale nie jest wyjątkowa w środowisku konserwatywnym. To nie jest tak, że politycy z tej strony zawsze budują swoje życie według jakiegoś jednego, idealnego schematu – dodaje Sergiusz Trzeciak, znany specjalista od marketingu politycznego.

Nie chodzi mu – jak się spodziewałam – o dające satysfakcję: „ależ to hipokryci” czy historie w rodzaju głośnego romansu zamężnej prawniczki i żonatego prawnika z Ordo Iuris. – Sam znam bardzo znanego konserwatywnego czynnego polityka, który poznał dziewczynę, która wcześniej zaszła w ciążę, ożenił się z nią i wychowywał dziecko, które w ogóle nie było jego biologicznie. To, że później był tak silnie pro-life. To wynikało z doświadczenia, a nie tylko z deklaracji – opowiada.

Jego zdaniem popularność Marty Nawrockiej wynika właśnie z tego, że mierzyła się z tym samym, z czym setki tysięcy innych dziewczyn i dojrzałych kobiet. Ale kryje się za tym coś więcej: to, że jej normalność również w sposobie bycia i najzwyczajniejsze życie, jakie prowadziła, ocieplały w kampanii wizerunek męża – mocno przecież nadszarpnięty sprawą przejętej kawalerki, doniesieniami o kontaktach z sopockim półświatkiem i z regularną, w tym neofaszystowską „bandyterką”, o udziale w kibolskich ustawkach i „biurze podróży” w IPN – jest sygnałem zmęczenia elitami.

Ludzie nie chcą już, żeby ich uczyć jedzenia bezy w kapeluszu à la Ascott (Jolanta Kwaśniewska) i mają dość oglądania wciąż przypominających o inteligenckim rodowodzie, i przynależności do klasy kreatywnej oraz prześladowanych postaci państwa Trzaskowskich.

– Dlatego nie działa już hejt zbudowany na tym, że ktoś się „zle ubiera” albo „wygląda nie tak, jak powinna wyglądać pierwsza dama”, komentarze w rodzaju: „ale wieśniara”, tylko ludzi irytują, zważywszy na korzenie dwóch trzecich społeczeństwa i fakt, że przestaliśmy się wstydzić chłopskiej przeszłości – tłumaczy Trzeciak.

– Kiedy zarzuca się Marcie Nawrockiej, że chodzi w ubraniach z sieciówek, to działa na jej korzyść, bo tylko pogłębia pogardę, jaką część ludzi czuje wobec elit. To ten mechanizm, który pogrążył wcześniej różne inne środowiska. Im bardziej elity atakują, tym bardziej zwykli ludzie mają poczucie, że to atak na nich. I w pewnym momencie ten próg się przekracza: zaczyna się chęć odwetu, niechęć do wszystkiego, co pachnie wywyższaniem się.

Ludzie wolą dziś kogoś, kto jest „ubrany trochę lepiej niż ja, ale nie za dobrze”, czyli stanowi wzorzec osiągalny, kogoś bliskiego, niewywyższającego się. Coś, co miało być słabością pierwszej damy, może stać się jej atutem – bo wywodzi się ze zwykłych ludzi, a nie z salonów, i na razie na salony nie przeszła.

Wszystko pięknie, ale...

– Nie widzę w niej nowej, feministycznej pierwszej damy. Nawet jeśli wewnętrznie miałaby taką potrzebę, nie uwierzę, że odważyłaby się sprzeciwić poglądom męża. Myślę, że jej obecna sytuacja jest dla niej po prostu wygodna i nie będzie chciała z niej wyjść. Chciałabym się mylić, ale nie sądzę, by walczyła o sprawy kojarzące się z poglądami progresywnymi, jak prawa kobiet czy dobrostan zwierząt. Przecież nawet po zawetowaniu ustawy „łańcuchowej” mogła zabrać głos i zyskać poparcie wielu ludzi. A jednak milczy. Dlatego mówię: jest „beobjawową” pierwszą damą. I szczerze, bardzo tego żałuję – uważa Agnieszka Kłopotek. – Pani prezydentowa Kwaśniewska ustawiła poprzeczkę tak wysoko, że trudno ją przeskoczyć. Marzyłabym, żeby Polska znów miała pierwszą damę z taką charyzmą. Czy pani Nawrocka ją ma? Szczerze mówiąc: nie wiem. Zobaczmy – wzrusza ramionami posłanka ludowców.

Ale Marta Nawrocka ma coś jeszcze: ciekawą umiejętność – a może są to zbiegi okoliczności działające na jej korzyść – przekuwania kryzysów w zwycięstwa. Zupełnie jak w szachowym gambicie.

• **Facebookowy fanpage „Tostałosiędzisiaj”:** Na gali pierwsza dama wystąpiła w czarnej, błyszczącej sukni z welurowymi elementami. Długie rękawy, skromny dekolt, nisko upięte

blond włosy i delikatny makijaż stworzyły obraz spokojnej, wyrafinowanej elegancji. A co wy o tym myślicie?

• **Komentarz czytelnika:** Ta kobieta to chodząca tragedia. Zawsze z tłustymi włosami, ubraniami niedostosowanymi do sylwetki, szerokie bary, grubeśne giry, infantylny styl, bez krzty polotu i dostosowania do okoliczności.

• Gambit pierwszy: 2 czerwca 2025, wieczór wyborczy, Warszawa.

– Embarrassing – wspomina skandynawski dyplomata to, co się potem zdarzyło.

Wieczór przebiegał zgodnie z tradycyjnym scenariuszem politycznego święta: tłum, muzyka, światła, oczekiwanie na exit poll. Gdy na scenie pojawił się Karol Nawrocki z rodziną, wzrok kamer – zgodnie z logiką takich wydarzeń – skupił się na dzieciach, szczególnie na najmłodszej córce Kasi. Ubrana jak jej mama, w biało-granatową sukienkę, zaczęła reagować tak jak spontaniczne siedmiolatki w sytuacji dla nich zbyt głośnej i abstrakcyjnej. Hejt ruszył błyskawicznie. W komentarzach pojawiały się wyśmiewające uwagi dotyczące zachowania i wyglądu dziewczynki, memy, krótkie filmiki wycięte z kontekstu. Hejtowali wszyscy: urzędnicy, dentyści, nauczyciele, lekarze, aktywiści.

Wszyscy pamiętają ten narodowy wstyd dorosłych za wyśmiewanie dziecka.

– Nie pamiętam w moim kraju podobnego zachowania, nawet jeżeli dotyczyłoby dziecka polityka, z którym się kompletnie nie zgadzamy. Inna sprawa, że eksponowanie dzieci w takich sytuacjach jest nierozsądne. Moje córki już jako kilkulatki odmówiły uczestniczenia w oficjalnych uroczystościach i zostało to uszanowane. My z reguły nie wiemy, jak wyglądają dzieci naszych polityków – mówi dyplomata od „embarrassing”.

Z kolei nowozelandzkim ekspatom w Polsce obserwującym hejt wobec Nawrockich przypomina się Jacinda Ardern, premierka. Liderka centrolewicowej, socjaldemokratycznej Partii Pracy. Przeszła do historii, gdy w 2018 roku urodziła córkę podczas sprawowania urzędu, co dla wielu stało się symbolem nowoczesnego przywództwa, ale też wywołało falę krytyki: „Premierka z dzieckiem? To nie jest poważne państwo”; „Skoro chce być matką, niech zrezygnuje z rządu”. Również jej partner Clarke Gayford, który został głównym opiekunem małej Neve, musiał się mierzyć z atakami podważającymi jego wybory życiowe, w tym z komentarzami typu: „Facet, który zostaje w domu z dzieckiem, to żaden wzór”; „Wykorzystuje pozycję partnerki, bo sam nic nie osiągnął”. – Jacinda+ przyznała, że intensywność nienawiści, także tej online, bywa bardzo wyczerpująca – mówi mieszkający w Polsce Nowozelandczyk.

Marta Nawrocka w reakcji na hejt nagrywała bardzo szybko krótką rolę w stylu „z kuchni”. Siedzi przy stole z dzbankiem herbaty, rozmawiając z najstarszym synem Danielem. Ma włosy związane w kitkę, jest ubrana w szarą dżinsową bluzę. Używa sformułowań w rodzaju: „kopara mi opadła”, ale mówi spokojnie, bez egzaltacji, wykrzykiwania i wyolbrzymiania krzywd – to raczej rzeczowa konstatacja niż gorący manifest antyhejterski. Ale też refleksja. – Najbardziej się dziwię kobietom. Przecież one także były małymi dziewczynkami – mówi Nawrocka, zwracając się wprost do kamery. Obiecuje publicznie, że nie zostawi tej sprawy. Na koniec razem z synem robią z dłoni serduszko i przekazują wszystkim pozdrowienia od Kasi.

Rezultat: autorka najbarwniejszego hejtu, w którym życzy kobietom głoszącym na Nawrockiego, aby rodziły im się dzieci z wadami płodu, najpierw likwiduje komentarze i przeprosza („Poniosły mnie emocje kampanii wyborczej”), a potem całe konto na Facebooku. Jej pracodawca ogłasza, że kończy z nią współpracę. Inna internautka, po zdemaskowaniu jej obraźliwego komentarza, publikuje wpis z przeprosinami: „Chciałabym przeprosić za komentarz, który napisałam... Przepraszam przede wszystkim małą Kasię oraz rodzinę prezyden-

■
Marta Nawrocka
podważa konserwatywną ideę,
że kobiecość i siła muszą się
wykluczać

ta. Przepraszam również wszystkich, którzy to przeczytali”.

Do prokuratury wpływają zawiadomienia od instytucji zajmujących się ochroną dzieci. Hejt potępi Monika Horna-Cieślak, rzeczniczka praw dziecka. Prokuratura rozpocznie kilka postępowań. Marta Nawrocka zostaje dwukrotnie przesłuchana jako pokrzywdzona. Kilka miesięcy potem, w listopadzie, w Wiśle podczas panelu „Hejt? Nie, dziękuję” ogłosi rozpoczęcie działalności fundacji Blisko Ludzkich Spraw, jasno wskazując pierwszy cel: frontalną walkę z hejtem, szczególnie tym uderzającym w dzieci. Mówi szybko, pewnie. Jasna sukienka, w której występuje, zostanie przekazana na licytację, a dochód ma zasilić działania pomocowe. – Fundacja ma budować mosty, a nie mury – mówi Nawrocka.

Kruczyński: – Ci, którzy hejtowali córkę Nawrockich, musieli się później zmierzyć z tym, że zachowali się wbrew temu, co głoszą. A wiele z tych osób głosi inkluzywność, tolerancję i bycie empatycznymi. Ale polityczne emocje wzięły górę nad ludzkimi wartościami, które wyznają. Co tylko pokazuje upiorną siłę polaryzacji, której może ulec każdy, nie tylko stereotypowy zafiksowany „prawak” czy „lewak”.

– Swoją drogą, Kasia wyłamywała się z konwencji idealnej instagramowej rodziny. Bo Nawroczy są bardzo instagramowi, ale jednocześnie, co ciekawe, ich dzieci nie są narcystycznie podpięte pod wizerunek rodziców – ocenia Katarzyna Wozinska. – Co rozumiem przez „narcystyczne podpięcie”? Dzieci mają wyglądać „jak z Instagrama”, być wizytówką rodziców, częścią ich marki. Ubiór, sylwetka i styl dziecka ma potwierdzić pozycję społeczną rodziców. To szczególnie częste w środowiskach, gdzie funkcjonuje styl życia oparty na autoprezentacji i aspiracyjnej klasowości.

Osoba znająca Nawrockich przed prezydenturą: – Nikt nie mówi, że Marta nie zapłaciła wysokiej ceny za bezgraniczne wsparcie męża w kampanii prezydenckiej. Na pewno dotknął ją hejt, choć widać było, że stara się trzymać fason. Patrząc na ich wspólne życie, mam wrażenie, że kiedyś to on ją bardziej wspierał, a teraz przyszedł czas, żeby ona mu się – jakiś sposób – odwzajemniła. Mnie się to podoba. To niezły sprawdzian związku.

• **„Tosięstałodziśiaj”:** W eleganckim, głęboko fioletowym żakiecie ze stojką oraz czarnych klasycznych spodniach Marta Nawrocka zaprezentowała styl pełen prostoty i klasy. Do tego szpilki ze szpiczastym noskiem i perfekcyjny niski kok – wizerunek dopracowany w każdym detalu. **Komentarz czytelnika:** Pierwsza dała jak już 15 lat miała.

• Gambit drugi, 23 sierpnia, IV Podkarpacki Festiwal Piłki Nożnej Kobiet w Tarnobrzegu.

Ktoś, kto wymyślił, że Marta Nawrocka ma postawić na kobiecą piłkę nożną i po raz pierwszy zaistnieć publicznie podczas takiej imprezy – powinien dostać podwyżkę. Nie dość, że pierwsza dama uczestniczy w największym w regionie turnieju futbolu kobiecego, to spotyka się z drużynami kobiecymi w różnym wieku: od młodzieżki do seniorki. Czyli wysyła tradycyjalistycznemu lub zwyczajnie sceptycznemu wobec nowinek obyczajowych elektoratowi męża komunikat raczej w stylu „Wysokich Obcasów” czy Krytykapolityczna.pl.

I, co ciekawe, tylko konserwa konserw, czyli „Najwyższy Czas”, ocenia, że prezydentowa „złe zaczyna” publiczną działalność, ponieważ na pierwsze oficjalne wystąpienie wybiera otwarcie festiwalu piłki nożnej kobiet. We-

dług autora kobiecy futbol jest projektem lewicy i feminizmu mającym dowodzić równości kobiet i mężczyzn, mimo że – jak pisze – nie generuje zysków, nie przyciąga widzów i jest finansowany głównie z publicznych pieniędzy. W ocenie publicysty kobieca piłka to narzędzie nacisku, które ma wmawiać kobietom, że powinny „realizować pasję” w męskich domenach i robić karierę, co – jak sugeruje – promują lewica i korporacje preferujące „samotne, bezdzietne kobiety”. Inne bogojczyzniane czy konserwatywne media chwala ten ruch Nawrockiej, zwracając uwagę, że wsparcie sportu kobiet jest dobrym, nowoczesnym sygnałem i świadczy, że chce realnie, nie tylko symbolicznie angażować się w działalność społeczną.

Okazuje się, że lewak z konserwatystą stoi obok siebie i klaszczą po tym samym голу. Liberalny komentator i tradycyjny działacz sportowy zgadzają się, że dziewczyna z numerem 14 ma niezwykle strzał. Nawrocka odciąga na chwilę uwagę od politycznej polaryzacji i kieruje ją na temat, który faktycznie jest ważny: sport dziewcząt i kobiet, ich miejsce na murawie i w przestrzeni publicznej. W efekcie lewica zachwyca się (umiarkowanie, bo przecież to konserwatywna żona prezydenta „nacka”, „gangusa” i „kibola”) feministycznym przekazem, liberalowie uznają odwagę i autentyczność, a konserwatyści chwalą „pracę u podstaw” oraz obecność pierwszej damy wśród zwykłych rodzin.

Dwa miesiące później, pod koniec października, Marta Nawrocka spotka się w Kielcach z członkiniami Klubu Przedsiębiorczych Mam. – Takich kobiet jak ona: energicznych, rozwijających się, a zarazem głęboko osadzonych w wartościach rodzinnych, jest w Polsce dużo więcej, niż pokazują media. Są niewidzialne, ale zważywszy na ich liczebność, są solą tej ziemi – mówi Katarzyna Wozinska. – Marta Nawrocka wypełnia pewną lukę reprezentacyjną, pokazując, że konserwatywna tożsamość nie musi oznaczać rezygnacji z ambicji ani zamknięcia się w domu.

Pierwsza dama szybko nagrywa rolę promującą zorganizowanie kobiecych Mistrzostw Europy w Piłce Nożnej 2029. W spocie promocyjnym przygotowanym przez Polski Związek Piłki Nożnej Nawrocka występuje z Ewą Pajor, kapitaną polskiej kobiecej reprezentacji i na pastniczka Barcelony, oraz z Robertem Lewandowskim, deklarując, że „kobiecie EURO w Polsce to był wielki impuls do rozwoju tej dyscypliny i inspiracja dla tysięcy dziewczynek”.

• **Plotek.pl:** Podczas spotkania z maturzystami z Chicago Marta Nawrocka wybrała aksamitną bluzkę w odcieniu ciemnego turkus, ze stojką i efektownymi bufkami na rękawach. To połączenie elegancji, nowoczesności i odrobiny teatralnego szyku.

• **Komentarz czytelnika:** Pokażcie jej dobre uczynki, a nie ciuszkę. Ładnymi ciuszkami nie przykryje parszywego charakteru. Ciekawe czy Pan Jerzy też się zachwyca.

• **I drugi:** Co by nie włożyła i tak wygląda jak wieśniara.

• Gambit trzeci, 5 września, Watykan.

Komentarz numer jeden: – Mocny, ale nieco ciężki i banalny. Dopasowane spodnie odebrały całości tę ceremonialną klasę, która powinna budować wizerunek pierwszej damy w przestrzeni międzynarodowej.

Komentarz numer dwa: – Stylizacja była poprawna, ale zdecydowanie bliższa biznesowo-popołudniowemu kodowi ubioru niż dostojnej elegancji, której wymaga audyencja w sercu katolicyzmu.

Komentarz numer trzy: – To jest dokładnie to, co powinna założyć pierwsza dama! Widać było ogromny szacunek dla miejsca i tradycji, ale też naturalną lekkość, która sprawiła, że całość wyglądała nie jak obowiązek, ale świadomy wybór kobiety pewnej siebie i swojej roli.

Wystąpienie Marty Nawrockiej przed papieżem Leonem XIV ma być cichą manifestacją, że „nowa” opanowała dyplomację i protokół.

Pierwsza dama pojawia się w czarnym, minimalistycznym garniturze z koronkową mantylą. Zgodnie z zamysłem popularne media prześlizgują się po politycznym znaczeniu wizyty, skupiają się na kroju żakietu i złotych guzikach. Ale nie tak, jak Kancelaria Prezydenta oczekiwała. Ekspertka Ewa Rubasińska-Janioro ocenia stylizację jako „zbyt codzienną”, Onet pisze, że zestaw „nie przystawał do miejsca i chwili”. Głos w obronie pierwszej damy zabierają projektanci. Ewa Minge nazywa jej strój „zgodnym z etykietą” i chwali długość spódnicy oraz detale gestu szacunku w postaci mantyli. Izabela Janachowska przypomina, że Nawrocka ubiera się u polskich twórców i „za wszystko płaci państwo” – a nie sponsorzy.

• **Komentarze internautów zaskakująco jednoznaczne:** „Z klasą i szacunkiem”; „Pięknie się prezentujecie”; „Jestem dumna z takiej pierwszej damy”.

• **Pośród nich przebiega pytanie:** Jeśli pierwsza dama ma reprezentować Polskę w Watykanie, to dlaczego robi to bez żadnego zaplecza?

I to właśnie ten wątek rozgrzewa debatę publiczną. Dziennikarka i prezenterka Mariola Bojarska-Ferenc przypomina, że polskie pierwsze damy „nie mają funduszu na kreacje”, a różnice społeczne są tylko pogłębiane, gdy wymaga się od kobiet roli reprezentacyjnej bez środków. Komentator Sergiusz Trzeciak mówi wprost: – To powinna być funkcja i rola, którą odgrywa w społeczeństwie, i my powinniśmy się na to składać. Wybieramy sobie nie tylko prezydenta, ale też pierwszą damę – i pierwsza dama też pracuje, tylko w inny sposób niż w zawodzie, który musiała porzucić.

Można to porównać do pracy domowej, którą uznawano za rolę w rodzinie i naturalną codzienność kobiety, a obecnie ekonomiści zaczynają szacować jej produktywność i wkład w gospodarkę oraz społeczeństwo.

Zgodnie z prawem pierwsza dama nie otrzymuje pensji. Nie przysługują jej wynagrodzenie, dieta ani żaden formalny etat. Jej rola nie jest uregulowana ustawowo, to funkcja czysto zwyczajowa. Dopiero od 2021 r. wprowadzono przepisy, na mocy których państwo opłaca za małżonkę prezydenta składki emerytalne i rentowe do ZUS – dzięki czemu lata spędzone na reprezentowaniu Polski wliczają się jej do stażu ubezpieczeniowego. To jednak nie jest pensja, lecz raczej symboliczne zabezpieczenie. W przeszłości próbowano tę sytuację zmienić. W latach 2016 i 2020 politycy PiS i części opozycji proponowali, by pierwsza dama otrzymywała stałe wynagrodzenie: mówiono o 12, potem 18 tysiącach złotych brutto. W 2020 r. ustawa przeszła przez Sejm, ale odrzucił ją Se-

Osoba znająca Nawrockich przed prezydenturą: – Patrząc na ich wspólne życie, mam wrażenie, że kiedyś to on ją bardziej wspierał, a teraz przyszedł czas, żeby ona mu się – jakiś sposób – odwdzieliła. Mnie się to podoba. To niezły sprawdzian związku

nat, a rząd wycofał się z tematu po krytyce opinii publicznej.

A oczekiwania wobec pierwszej damy pozostały wysokie: ma być obecna, występować, reprezentować, ubierać się z klasą oraz angażować się w ważne społecznie sprawy – ale bez zaplecza i bez etatu. Jasne, może sięgać do kieszeni męża, ale czy to jest emancypacyjne? Koronkowa mantyla, skromny garnitur i wyraźnie nieoficjalny portfel sprawiły, że temat pensji dla pierwszej damy wrócił z zakurzonej szuflady do debaty publicznej.

Kilka tygodni po wizycie w Watykanie PiS przedstawia projekt ustawy powołującej specjalną komórkę w Kancelarii Prezydenta do wspierania pierwszej damy. Koszt to około 800 tysięcy złotych rocznie. Ma to być zaplecze organizacyjne, które sprofesjonalizuje i zabezpieczy jej działania publiczne i społeczne.

• **Fanpage „Tostałosiędziaj”:** Pierwsza Dama spotkała się z veteranami Powstania Warszawskiego. Bohaterowie z dziećmi przygotowywali ozdoby choinkowe i śpiewali kolędy. Wydarzenie uświetnił krótki występ artystyczny uczniów. To miły gest przed Bożym Narodzeniem.

• **Komentarz czytelnicki:** Ona nigdy nie będzie prawdziwą pierwszą damą, tylko pucią.

Gambit czwarty: 20 września, oświadczenie prezydenta na platformie X, Warszawa.

– Proszę dokładnie przeczytać dokument – zachęca w mediach rodzinę Nawrockich ministra edukacji Barbara Nowacka, gdy oznajmiamą, że ich średni syn Antoni nie będzie uczestniczył w zajęciach edukacji zdrowotnej. Krytycy decyzji podkreślali wagę zajęć, które mają pomagać młodzieży radzić sobie z dorastaniem. W komentarzach powtarzają

się zdania: „To nie jest dobry sygnał, gdy osoba publiczna kwestionuje znaczenie edukacji zdrowotnej”. Na forach rodzicielskich bardziej praktyczne uwagi: „Jeśli każdy rodzic zacznie wycofywać dzieci z tego, co mu nie odpowiada, szkoła przestanie mieć sens”. Dyskusja pozostaje zasadniczo na poziomie sporu o prawo rodziców do podejmowania własnych decyzji. A potem następuje zmiana.

W kolejnych godzinach argumenty wokół edukacji ustępują miejsca komentarzom bardziej osobistym w rodzaju tego na tvp.info: – Żona prezydenta, jakby miała te zajęcia, by nie zaszła w wieku 16 lat, na swoim przykładzie niczego się nie nauczyli.

Ponad sto odpowiedzi w rodzaju: „Idąc twoim tokiem myślenia, to kiedyś nie było takich przedmiotów i dziewczyny powinny zachodzić w ciążę, a jednak tak nie było. Najważniejsze, że nie usunęła, tylko urodziła”. Wraz z kolejnymi wpisami dyskusja zaczyna dotyczyć samej Marty Nawrockiej jako symbolu – nie tego, czy edukacja zdrowotna jest potrzebna, ale kto o niej decyduje i czy ma do tego moralne prawo. Ujawnia się mechanizm, który powtarza się przy każdym kryzysie wizerunkowym polityczki, aktorki, pisarki, sportsmenki czy celebrytki: spór o konkretną zmianę się w próbę podważenia życiorysu kobiety, która – w oczach części komentatorów – wyłamuje się z narzuconych ról.

Katarzyna Wozinska: – Ludzie reagują nie na samą decyzję, tylko na fakt, że ona psuje im porządek wyobrażeń. Według psychołogi agresja pod adresem Nawrockiej, to klasyczny przykład obrony przed „dysonansem poznawczym”: – Mamy przed sobą kobietę, która nie pasuje do żadnego stereotypu. Jest konserwatywna, ale urodziła dziecko jako nastolatka, a mimo to zbudowała stabilną rodzinę, jednocześnie realizując się zawodowo poza domem.

Integrystów moralnych z prawa i lewa to wprawia w konfuzję i irytuje, ale dla trolli taki życiorys jest wygodny: zamiast rozmawiać o edukacji zdrowotnej, zaczynają rozmawiać o moralności nastoletnich matek. A w tej ramie Marta Nawrocka ma odgrywać rolę przestrogi, nie inspiracji. Tymczasem, podkreśla Kaya Szulcewska, fakt, że jako nastolatka zdecydowała się urodzić, dla wielu kobiet jest właśnie opowieścią o sile, nie o słabości, błędach wychowawczych czy niedostatecznej kontroli rodzicielskiej. O radzeniu sobie z konsekwencjami wyborów i samodzielnych decyzjach, o podmiotowości młodych dziewczyn.

W Kancelarii Prezydenta Nawrocka ma opinię „aniola” – tak mówią kucharze, kelnerzy, obsługa, administracja. – Jej poprzedniczka wszystkich nieźle ustawiała, nawet męża, wiadomo: nauczycielka – słyszę w kancelarii. – Ale kiedy na mieście mówimy, że cenimy Nawrocką, słyszymy, że ma męża kibolę, sutenera, ochroniarza. A Karol Nawrocki wobec zwykłych pracowników jest świetny. Ludzie mówią, że po Kwaśniewskim nie było tak szanującego personel prezydenta.

Trudno nie odnotować, że inny obraz wyłania się z opowieści ludzi z IPN. Tam Nawrocki zapisał się w pamięci jako twardy prezes, który nie tolerował niesubordynacji ani publicznego podważania politycznej linii instytucji. Byli pracownicy mówili o zwolnieniach, marginalizowaniu krytyków, o atmosferze presji. Sam Nawrocki odpowiadał, że nie chodziło o ludzi, lecz o wizerunek i politykę, o państwową narrację historyczną i walkę propagandową, w której IPN nie mógł – w jego ocenie – pozwolić sobie na wewnętrzny pluralizm.

Dwie opowieści – o prezesie dobrym dla „dołów” i o szefie, który wobec elit i niepokornych potrafił być bezwzględny – funkcjonują więc równolegle, utwierdzając wyborców w ich opinii i pogłębiając, zgodnie z zamysłem spin doktorów, polaryzację.

Tymczasem nieoficjalnie wiadomo, że niedługo do jednej z niszczących do tej pory prezydenckich rezydencji, właśnie świeżo wyremontowanej, Marta Nawrocka będzie zapraszała dzieci w ramach działalności swojej fundacji. Czy właśnie obserwujemy, jak rezygnuje z autentyczności, by wpisać się w oczekiwany wizerunek Pierwszej Damy zajmującej się bezpiecznymi politycznie, charytatywnymi inicjatywami? A może właśnie jest sobą? I czy te sensacyjne przecieki rozpuszcza Kancelaria Prezydenta, we wszelkich innych kwestiach hermetyczna jak żadna poprzednia, by skuteczniej niż poprzez oficjalne ceremonialne wystąpienia ocieplać męża „kibolę”, „Batyra” i „wetomatu”?

A nawet jeśli podpowiadają jej to spin-doktorzy – może to bez znaczenia?

• **Fanpage Dominiki Chorościńskiej, posłanki PiS:** Spotkanie Pierwszej Damy z amazonkami było pełne emocji i wzruszeń. Marta Nawrocka (w różowym) inspirowała, motywowała, a także wykorzystuje media społecznościowe do szerzenia dobra i wsparcia.

• **Komentarz czytelnicki:** Pięknie wyuczony na pamięć wierszyk. Proszę zwrócić uwagę na końcówki q i ę. No i akcent – nie na ostatnią sylabę! ●

Fascynująca podróż przez życie, przyjaźnie i sztukę

PODARUJ NA PREZENT

On
gwiazda sceny i ekranu,
Ona
teatrolożka, kulturoznawczyni,
kobieta z pasją.

Razem opowiadają o wspólnym życiu, jakiego nie wymyśliłby żaden scenarzysta.

„Dary losu” to opowieść o niezwykłych zdarzeniach i ludziach, którzy na stałe zapisali się w historii kultury.

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA KULTURALNY SKLEP.PL

WOLISZ EBOOKI/AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA **publio.pl**

www.wydawnictwoagora.pl

Wydawnictwo Agora

Kraj/34409110

KRAJ

Dominika Wielowieyska

Strategia Rosji na najbliższe lata – niezależnie od tego, czy, kiedy i w jakim kształcie będzie zawarty pokój z Ukrainą – będzie koncentrowała się na wojnie ideowej z Unią Europejską. A jej celem będzie rozbięcie Unii Europejskiej od środka. Wszystko to świetnie wiemy od ekspertów, analityków, ze źródeł w amerykańskiej dyplomacji, od polityków polskich i europejskich, którzy powtarzają te alarmistyczne diagnozy do znudzenia. Ale wiedzieć a zrozumieć i zinternalizować to dwie różne rzeczy.

Unia Europejska jako wspólnota nie jest dana raz na zawsze. Od dwudziestu lat Władimir Putin wspiera skrajne fundamentalistyczne organizacje katolickie, które walczą ze Wspólnotą. Jeżeli populistyczno-prawicowe siły dojdą do władzy w poszczególnych krajach członkowskich, wymarzona przezeń dezintegracja Unii zacznie postępować.

Niemal w każdym europejskim kraju taka siła funkcjonuje i ma się nieźle. W Niemczech to Alternative für Deutschland, we Francji Front Narodowy Marine Le Pen, poza Unią to Nigel Farage z jego Reform UK, która osiąga bardzo dobre notowania w sondażach. Zwycięstwo tych ugrupowań to zwycięstwo kursu prorosyjskiego w najważniejszych państwach kontynentu. W niektórych – Niemcy – jego groźny powrót, w innych – Wielka Brytania, dziś liderka w powstrzymywaniu Kremla – całkowite przedstawienie zwrotnicy. W Polsce ten nurt reprezentuje Konfederacja Korony Polskiej Grzegorza Brauna, a po części na tych pozycjach trwa Konfederacja oraz umacnia się – by powstrzymać odpływ bogoojczyźnianych wyborców do „koroniarzy” – PiS.

Aby opanować antyunijne nastroje w Europie, nie wystarczy opowiadać, że wspomniani politycy to agenci Putina albo że to pożyteczni idioci na mimowolnych usługach Kremla. A do tego bardzo często ograniczają się reakcje polskich – i nie tylko – elit na krytykę Unii. W badaniu Opinia24 dla „Wyborczej” 69 procent Polaków opowiedziało się za członkostwem we Wspólnocie, 25 procent było przeciw. Te pokażne 25 procent to niebezpieczna liczba, tym bardziej że ugrupowania eurosceptyczne w Polsce w sondażach mają w sumie 45-50 procent poparcia. A więc ani demokracja, ani Unia Europejska nie są nam dane raz na zawsze i możemy przespać moment, w którym wajcha się przesunie na drugą stronę.

Szczególnie popularność Brauna jest niebezpieczna, bo obrał kurs skrajnie antyeuropejski, a jego notowania rosną. Do tej pory ten bardziej radykalny elektorat zagospodarowywał PiS, który postuluje „reformę” Unii – cokolwiek to znaczy – ale nie polexit. Teraz dżin wymknął się z butelki.

•
Przed analizą tego zjawiska od razu trzeba zaznaczyć, że opowieści PiS, jakoby Polska wstępowała do innej Unii Europejskiej i że ten związek państw ewoluował w zbyt centralistycznym kierunku, są funta klaków warte. Wystarczy przypomnieć jeden fundamentalny fakt: Unia w 2000 roku nałożyła sankcje na Austrię, gdy do władzy doszedł Jorg Haider, lider skrajnej, antyunijnej, populistycznej prawicy, której znakiem rozpoznawczym była ksenofobia, autorytarne ciągoty i antysemityzm. A więc gdy Polacy głosowali za integracją europejską w 2003 roku, doskonale wiedzieli, do jakiego klubu się zapisują, bo przecież pamięć o potraktowaniu Austrii był wtedy bardzo żywa. Jeżeli Unia przeszła jakąś ewolucję, to raczej w odwrotnym kierunku, bo w przypadku Polski po 2015 roku z decyzjami wożono się osiem lat, choć oczywiście było, że Zjednoczona Prawica niszczy praworządność i narusza zasadę odrębności władzy sądowniczej od władzy wykonawczej wbrew konstytucji. Ale instytucje unijne nie chciały zaognić sytuacji i wciąż dążyły do kompromisu w sprawie sądownictwa.

Mimo tych faktów opowieść o wszechwładzy Unii i jej najsilniejszych członków wciąż zyskuje zwolenników. Tymczasem po stronie politycznego centrum, liberalów i lewicy panuje samozadowolenie i powtarzane są slogany o Braunie, które w żaden sposób nie hamują wzrostu jego poparcia – a wśród rządzących wręcz panuje radość z odpływu wyborców z PiS do Korony. Lecz to bardzo krótkowzroczna kalkulacja: tak, PiS słabnie, rozdrobienie populistycznej prawicy sprawi, że będzie miał mniej mandatów w przyszłym Sejmie. Ale jeśli refleksja elit ogranicza się do takiej konstatacji, to oznacza, że ludziom, którzy sprawują władzę bezpośrednio lub są intelektualnym i mentalnym zapleczem rządzących, brakuje wyobraźni.



DOBRZY LUDZ

noga z ga

•
Opanowała nas obawa przed naruszeniem zasad politycznej poprawności. Trzeba głosić jedyne słuszne poglądy, a odstąpienie od liberalno-lewicowego schematu grozi wręcz wykluczeniem z debaty i falą ostrej krytyki.

W niektórych bańkach ideowych przyjęto zasadę, że pewnych myśli nie wypada wypowiadać, a każdy, kto wyrazi wątpliwości w danej sprawie, jest natychmiast zawstydzany. Zablokowanie jakiegokolwiek dyskusji na niektóre tematy powoduje, że strona populistyczna się buduje i zdobywa coraz więcej zwolenników wśród tych Polaków, których poglądy – nie zawsze radykalne – umiarkowane polityczne centrum lekceważy. Spróbujmy je zidentyfikować i zadać sobie pytanie, czy rządzący mają na te obawy remedium.

Polacy mają zakodowany w genach silny lęk przed utratą niepodległości i niezależności. To wynik zaborów, a potem zależności od Związku Radzieckiego. Można ten lęk uznać za archaiczny i niemądry, gdy, co częste, nawiązuje do reguł panujących w Unii Europejskiej. Istotnie, to absurd sam w sobie, bo my Polacy demokratycznie zdecydowaliśmy, że do tej organizacji przystępujemy. Ale nie można lekceważyć problemu suwerenności i po-

czucia całkiem licznych obywateli, że coraz więcej kompetencji oddajemy wspólnocie.

Jest oczywiste, że wchodząc do Unii, zgodziliśmy się na wspólne regulacje w niektórych dziedzinach życia, a tym samym ograniczyliśmy swą decyzyjność na rzecz wspólnotowego działania i szukania kompromisu wśród sprzecznych interesów poszczególnych państw. Nie ulega wątpliwości, że to dzięki Wspólnocie Europa przez 8 dekad uniknęła absurdalnych wojen i zbudowała się gospodarczo. Dziś jednak trzeba sobie zadać pytanie, czy Unia Europejska nie powinna się zatrzymać, jeśli chodzi o integrację prawną, ponieważ rozbudowanie legislacji, która musi być przyjęta przez państwa członkowskie, wywołuje coraz większą irytację w społeczeństwie, zresztą nie tylko polskim, i buduje u części Polaków wrażenie, że sami już o niczym nie decydujemy. Te lęki podsycają PiS, Konfederacja i Korona.

Niestety duża część społeczeństwa, ta, która popiera obecną koalicję rządzącą, uważa, że to bardzo dobrze, jeśli instytucje unijne zmuszą nas do przyjęcia rozwiązań, które pravicowym wyborcom się nie podobają. To bardzo niebezpieczna droga, bo wzmacnia lobby antyunijne jeszcze bardziej.



IE,
zu

Zwolennicy prawicy, choć nie wszystko im się podoba w pomysłach Kaczyńskiego, czują się zagonieni przez lewicę do prawicowej zagródki.

Za rządów PiS powtarzałam wielokrotnie, że to nie Unia ma przywracać praworządność w Polsce, ale my sami musimy to zrobić. Faktem jest, że stanowisko instytucji unijnych zmusiło ekipę Jarosława Kaczyńskiego i Zbigniewa Ziobry do wycofania się z niektórych rozwiązań: szczególnie wtedy, gdy Kaczyński dał hasło do rozgonienia Sądu Najwyższego, ale ostatecznie się wystraszył i cofnął. Wiele zmian jednak wprowadził. Tymczasem wielu polityków uważało, że najlepiej by było, gdyby Komisja Europejska przywaliła nam za ignorowanie wyroków Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej takie sankcje, które popamiętamy na wielki i w ten sposób zmusiła PiS do zmiany polityki. Nie tędy droga.

Ostatecznie rozwalanie wymiaru sprawiedliwości zostało zatrzymane w październiku 2023 roku, ponieważ tak zdecydowało 11,5 miliona wyborców. Ale nie można uciekać od faktu, że półtora roku później wybory prezydenckie wygrał kandydat, który uporządkowania sądownictwa nie chce. Zamiast ubolewać, „co ci ludzie mają w głowach” oraz wyrzekać na „destrukcyjne działania” oraz „arogancję Batyra” trzeba pogodzić się z demokratycz-

nym werdyktem – i wyciągnąć z tego zwycięstwa wnioski.

Ekipa rządząca powinna używać legalnych instrumentów, które ma do dyspozycji, aby porządkować wymiar sprawiedliwości, ale generalnie musi zakończyć dyskusję o neo-sędziach w sądach powszechnych. Osobną sprawą są neo-sędziowie w Sądzie Najwyższym, bo tu trudno się pogodzić z bezprawiem. Ale co do sądów powszechnych, to tylko w skrajnych przypadkach upolitycznienia powinny być wszczynane postępowania dyscyplinarne, by zbadać, czy dana osoba może dalej orzekać, czy też sprzeniewierzyła się niezawisłości.

Dlatego cieszy deklaracja Waldemara Żurka w TOK FM: w imię kompromisu minister sprawiedliwości jest skłonny zaproponować ustawę o Krajowej Radzie Sądownictwa, wedle której nie politycy, ale wszyscy sędziowie będą wybierać swoich przedstawicieli i wszyscy sędziowie będą mieli bierne prawo wyborcze, także ci neo. To zamknęłoby symbolicznie dyskusję. Ludzie chcą już spokoju i stabilności w wymiarze sprawiedliwości. A jeżeli Karol Nawrocki nie podpisze ustawy w takim kształcie, trzeba w przyszłym roku dokonać wyboru KRS właśnie na tych zasadach: niech sędziowie wybierają, a po-

• **Warszawa, ul. Wiejska 9. Protest przeciwników aborcji podczas oficjalnego otwarcia przychodni „Abotak” Aborcyjnego Dream Teamu. Przychodnia ma m.in. informować o możliwości aborcji za granicą, oferować wsparcie w trakcie poronienia samoistnego oraz możliwość przerwania ciąży za pomocą środków farmakologicznych. (8.03.2025)**

FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

Po stronie politycznego centrum, liberalów i lewicy panuje samozadowolenie. Powtarzane są slogany o Braunie, a wśród rządzących wręcz panuje radość z odpływu wyborców z PiS do Korony. To bardzo krótkowzroczna kalkulacja

litycy – na podstawie wciąż obowiązujących przepisów – będą notariuszami tej decyzji.

Zresztą niektórzy w PiS-owskiej opozycji, choć głównie po cichu, uważają „żurkowe” rozwiązanie za słuszne, bo najbardziej demokratyczne: niech wszyscy sędziowie, a nie politycy, wskazują swoich reprezentantów w KRS.

Tymczasem właśnie pojawił się kolejny problem z osiągnięciem konsensusu, też związany z wyrokami TSUE, który orzekł, że Polska ma obowiązek uznać małżeństwa jednopłciowe zawarte w innych krajach Unii. Wyrok wynika ze sprawy dwóch Polaków, którym odmówiono transkrypcji zagranicznego aktu małżeństwa. Trybunał uznał, że taka odmowa narusza swobodę przemieszczania się, zakaz dyskryminacji oraz ingeruje w życie rodzinne. Wyrok nie zobowiązuje Polski do wprowadzenia w prawie krajowym małżeństw jednopłciowych. Państwo członkowskie ma jednak obowiązek uznać związek zawarty za granicą, jeśli jest to jedyny sposób zapewnienia parze pełni praw przysługujących innym obywatelom Unii Europejskiej. Polska sama ma zdecydować, jak technicznie związek będzie uznawany.

Lewica przyjęła ten wyrok entuzjastycznie, prawica – albo sceptycznie, albo z oburzeniem, zarzucając TSUE, że przekracza swoje kompetencje, bo narzuca przepisy, które należą do kompetencji krajowych.

„Właśnie runął kolejny mit budowany przez ostatnie 20 lat przez prawicowych i centrowych zwolenników integracji europejskiej: że zagwarantowali Polsce w traktatach autonomię w sprawach aksjologicznych i obyczajowych. Temu miało służyć wyłączenie nas z Karty Praw Podstawowych i niezliczone publiczne deklaracje pozbawione mocy prawnej. Niestety jest tak, jak ostrzegaliśmy: samo uznanie nadrzędności prawa unijnego i logiki pogłębiania integracji daje nieskończone możliwości reinterpretacji porządku prawnego. Mialkość i brak zdolności przewidywania polityków centroprawicy ostatecznie zostają ujawnione. Teraz już tylko prosty wybór przed Polską: czy to ignorować czy uznać lewicowy dyktat?” – napisał na platformie X narodowiec Krzysztof Bosak, jeden z liderów Konfederacji.

Z kolei profesor Marek Safjan mówił, że implementacja tego orzeczenia mogłaby nastąpić poprzez bezpośrednie stosowanie prawa unijnego – rozwiązanie, które jego zdaniem byłoby możliwe i zasadne.

U premiera Donalda Tuska pojawiła się pewna refleksja, że to niebezpieczna droga. Powiedział bowiem: „Nie jest tak, że Unia nam cokolwiek może w tej kwestii narzucić. Jak wiecie, pracujemy nad własnymi przepisami prawa, które będą to regulowały w sposób taki, jaki większość Polaków, poprzez większość parlamentarną, uzna za stosowne”. To wywołało zgorszenie wielu wyborców obecnej koalicji rządzącej: przecież małżeństwa jednopłciowe to standard w Europie, to respektowanie praw mniejszości seksualnej i koniec z poniżaniem osób homoseksualnych.

Ich emocje są mi bliskie, mimo to uważam, że Tusk na wielu poziomach ma rację. Kontynuuje swoją filozofię, która sprowadza się do tego, co powiedział w „Wyborczej” w 2013 roku: że on nie będzie awangardą rewolucji obyczajowej, woli podążać za przemianami świadomości polskiego społeczeństwa, dostosowując do nich państwo. Używanie wyroków unijnego trybunału do narzucania pewnych rozwiązań poza polskim parlamentem i prezydentem – jak doradza profesor Safjan i czego oczekuje wielu wyborców – jest poważnym błędem, który może nas sporo kosztować, bo oznaczałby demonstracyjny brak poszanowania dla reguł demokracji, i to w bardzo polaryzującej, delikatnej kwestii kulturowo-obyczajowej. Czyli w sferze, w której ludzie są bardzo uczuleni na narzucanie – obojętnie, progresywnych czy konserwatywnych – rozwiązań.

Jak przy okazji przywracania praworządności, tak i tu powtarzam: te kwestie muszą być rozstrzygane w Polsce. Gdy głęboki lęk przed utratą suwerenności zostanie dopalony dowodem, że światły Zachód przymusza nas

– a więc uznaje za zacofanych, niewystarczających europejskich – do czegoś, skończy się to kolejnym wzrostem notowań polityków pokroju Grzegorza Brauna.

A piszę to z pozycji osoby, która gorąco popiera związki partnerskie, a nawet małżeństwa jedнопłciowe. Nie widzę też problemu z adopcją dzieci przez takie pary – choć jestem przeciwna automatyzmowi adopcji czy to przez pary heteroseksualne, czy homoseksualne: po prostu sąd w każdym indywidualnym przypadku powinien weryfikować, jaka opcja jest najlepsza dla danego dziecka. Bo prawo do adopcji to nie jest ani prawo człowieka, ani osoby homoseksualnej. Pierwsze jest dobro dziecka, wybór optymalnego dlań rozwiązania, a nie wymóg realizacji marzeń pary jedнопłciowej – z całą równoczesną świadomością, że wiele par homoseksualnych wychowuje dziecko biologiczne jednego z partnerów i świat się od tego nie zawali.

Innymi słowy, niezależnie od moich poglądów w tej sprawie, które wojujący konserwatyści nazwaliby „lewackimi”, jestem przekonana, że wprowadzenie przepisów obowiązujących w innych krajach Unii na zasadzie prostej implementacji z pominięciem polskiego parlamentu i prezydenta byłoby kardynalnym błędem oraz okazaniem brakiem szacunku dla demokratycznego werdyktu Polaków. Do tych rozwiązań większość społeczeństwa musi dojść i dokonać tego wyboru podczas głosowania na swoich przedstawicieli. Chodzenie na skrót wbrew demokratycznie oznajmionej woli większości spowoduje skutek odwrotny od zamierzonego.

Podobnie jest z aborcją. Rozumiem rozgoryczenie części wyborców, że po brutalnej decyzji Trybunału Julii Przyłębskiej w 2020 r. oczekiwali pełnej liberalizacji prawa. Nadal wyekwawano prawa do decyzji o swoim cielem, a często zdrowiu i życiu, jest trudne. Ale warto sobie zadać pytanie – dlaczego? Ano dlatego, że takiego wyboru Polacy dokonali w 2023, a następnie w 2025 r. Trzecia Droga, którą poparło 14 proc. wyborców, nigdy nie ukrywała poglądów w sprawie aborcji. Mówił o tym w kampanii Szymon Hołownia i mówił Władysław Kosiniak-Kamysz. Chcieli referendum. Obecny rząd zrobił wiele w ramach swoich kompetencji, by tragiczne skutki decyzji Przyłębskiej i jej kolegów minimalizować. Lecz w co na radykalniejszych kręgach lewicowych widać chęć, by Unia po prostu sama z siebie wprowadziła u nas liberalne prawo. Bo to po prostu jedno z praw człowieka. Ale przecież są Polacy, którzy mają inne – niekoniecznie całkowicie represyjne – zdanie na ten temat.

Ja sama jestem za ustawą, która ostateczną decyzję pozostawia kobiecie. Ale nie uważam tego za prawa człowieka, co więcej, dla mnie aborcja jest tragedią, lecz uznaję, że ktoś może postrzegać to zupełnie inaczej i nie zamierzam narzucać mu swojego zdania. Jednocześnie nie chcę być zmuszana w imię poprawności politycznej do promowania idei, które nie są mi bliskie. Co więcej, nie podoba mi się określenie „prawa reprodukcyjne”, często używane w dokumentach unijnych, bo wydaje mi się, że to mnie dehumanizuje. Jestem matką trójki dzieci, a nie „reproduktorką”.

Uważam, że jednym z wydarzeń, które przyczyniły się do skokowego wzrostu popularności Brauna, jest aborcja w dziewiątym miesiącu dokonana w szpitalu w Oleśnicy. Nie formułuję oceny, lecz stwierdzam fakt – gdyż jestem w pełni świadoma, że to wielka tragedia bez prostych odpowiedzi, a każda inna decyzja i tak prowadziła do tego samego efektu. Płód nie miał szans na przeżycie, a młodą matkę przez wiele miesięcy zwodzono nierealnymi scenariuszami lub zwyczajnie oszukiwano. Jednak dla milczącej większości, także osób o liberalnych i lewicowych poglądach, rozumiejących wszystkie okoliczności, aborcja w dziewiątym miesiącu była emocjonalnym szokiem, choć mało kto z tej grupy wyborców to wypowiada głośno. Głównie ze względu na

wrażliwy temat, tragedię kobiety, a także dlatego, że nikt nie chce być zapisany do obozu Brauna. Ale to odczucie w Polakach tkwi.

Od dłuższego czasu polityczne liberalne centrum było w defensywie wobec lewicy w sprawach obyczajowych. Wypowiedzenie jakiegoś słowa czy poglądu spotykało się z masowym potępieniem. Sztuczna inteligencja tak definiuje pojęcie „cancel culture”: „kultura unieważniania lub kultura anulowania, zjawisko zbiorowego wykluczania osób lub instytucji publicznie piętnowanych za łamanie norm społecznych, często za pomocą mediów społecznościowych, prowadzące do ostracyzmu, utraty pracy i reputacji”. Gdy dla jednych jest to forma sprawiedliwości i walki z nadużyciami, dla innych zagrożenie dla wolności słowa i upadek debaty publicznej, prowadzący do autocenzury.

Prawo do adopcji to nie jest ani prawo osoby homoseksualnej czy w ogóle prawo człowieka. Podobnie jest z aborcją. Ja sama jestem za ustawą, która ostateczną decyzję pozostawia kobiecie, ale nie uważam tego za prawa człowieka

Owszem, alt-rightowcy, których uosobieniem stał się Elon Musk, okładają pałąk z tą etykietką każdego, kto prezentuje społeczną, historyczną czy obyczajową wrażliwość, udając obrońców „normalnej”, milczącej większości – niemniej faktem jest, że lęk przed potępieniem na platformach społecznościowych nas paraliżuje. Pamiętam wielką obawę wielu osób w naszej redakcji po publikacji rozmowy z Adamem Michnikiem, który bronił dobrego imienia Jana Pawła II. Nagle się okazało, że wiele osób uważa, że nie wypada w ogóle wyrażać swojego zdania na ten temat. Rzecz jasna ta atmosfera była związana z kilkoma ważnymi zjawiskami: przez dekady Kościół krył pedofilów w swoich szeregach, polski papież ma swoje poważne grzechy, ofiary nie miały głosu, a osoby homoseksualne, transpłciowe były przez duchowieństwo poniżane i spychane na margines, więc wahadło poszło mocno w drugą stronę.

Ten sam mechanizm zadziałał w kwestii umownie nazywanej MeToo. Instytucje ignorowały, a społeczeństwa normalizowały cierpienie molestowanych kobiet latami, więc gdy te w końcu doczekały się nie tylko formalnej sprawiedliwości, ale też zainteresowania oraz współczucia opinii publicznej, każdą wątpliwość dotyczącą oskarżeń o molestowanie zaczęto traktować jako atak na ofiary – a osobę ją wyrażającą jak współwinnego. Choć przecież powinniśmy się trzymać twardej zasady, że każdy przypadek wymaga wnikliwej analizy, jaki wymiar ma wina, kto jest ofiarą i jakie były okoliczności w danej sprawie. Nie da się każdego przypadku wpasować w jeden, niepodlegający dyskusji, schemat. Każda sprawa jest inna, a w każdej możliwe jest, że ktoś rzucił fałszywe oskarżenie. Lecz w atmosferze moralnego wzmocnienia zdarzało się i zdarza, że osoby napiętnowane ponosiły karę zbyt surową. Ludzki opis sytuacji typu: „Kurczę, zrobił / zrobiła źle, jasne, musi zapłacić, ale w sumie ten nawal krytyki jest nadmiarowy, kara za surowa” nie ma dziś racji bytu w przestrzeni publicznej. A przecież często po prostu nie wiemy, co tak naprawdę wydarzyło się między dwójgim ludźmi. Obowiązuje jednak zasada: albo jesteś po jednej stronie, albo po drugiej. Kto nie z nami, ten przeciw nam. To bardzo złe zjawisko.

Biblijna zasada: niech wasza mowa będzie „tak, tak” albo „nie, nie”, jest potrzebna w wielu

sytuacjach, ale nie we wszystkich. Tymczasem można odnieść wrażenie, że nie ma miejsca na szczegółowy opis sytuacji, na skomplikowany, często niejednoznaczny bilans. A platformy społecznościowe sprzyjają fali wielkiego oburzenia, bo algorytmy premiąją ostre sformułowania, im mocniejsze słowo, tym większy zasięg. Ci, co chcieli dzielić włos na czworo albo się nie przebijają ze swoimi spostrzeżeniami, albo są hejtowani przez jeden i drugi obóz. Ta atmosfera dominowała, a polityczne centrum milczało, sparaliżowane wyrzutami sumienia, całkiem uzasadnionymi, a spowodowanymi faktem, że w przeszłości mainstream za mało zwracał uwagę na prawa i dobrostan dyskryminowanych grup i mniejszości narodowych. Jednak taki kształt debaty publicznej powoduje dwa efekty: głęboką polaryzację i budowanie siły formacji populistyczno-prawicowych.

Zwolennicy prawicy, choć nie wszystko im się podoba w pomysłach Jarosława Kaczyńskiego, czują się zagonieni do tej prawicowej zagrońki, bo jeśli z niej wyjdą i wyrażą jakiegokolwiek zastrzeżenie, to zaraz zostaną odsądzeni od czci i wiary. Sprzymierzają się więc z prawicowymi radykalami, bo boją się ich odmiany szaleństwa poprawności politycznej i dlatego boją się na przykład wypowiedzieć mniej potępieniczą opinię na temat fali zmiany płci przez wielu młodych ludzi.

Zresztą podobny lęk, tylko w drugą stronę, towarzyszy osobom o poglądach postępowych. Po obu stronach są ludzie, którzy uważają, że trzeba mocno przeanalizować każdy przypadek, bo nie wiemy, czy mamy do czynienia raczej z krzykiem rozpacz, chęcią zwrócenia na siebie uwagi niż z realną potrzebą tak głębokiej przemiany. Ale też nie wiemy, czy mamy z autentycznym cierpieniem „w nie swojej skórze”, a nie z żadną „modą inspirowaną ideologią”. Lecz dyskusji na ten temat nie ma, bo albo jesteśmy w obozie „lewactwa”, albo wujasa na weselu Jarosława Kaczyńskiego, który opowiada żenujące żarciki o byciu „Jasiem” w poniedziałek, a „Zosią” we wtorek – i bywa, że wszelka rozmowa na temat zmiany płci oraz sposobu podejmowania decyzji kończy się zarzutem o hejt i brak empatii oraz zapisaniem do nienowoczesnego obozu ciemnogrodu, po prostu do „dziadersów i babersów”.

Duża część wyborców jest przestraszona taką poprawnością polityczną, nowym – w reakcji na poprzednią niewrażliwość jednostronnym – spojrzeniem na kwestie obyczajowe, krytyką ich przekonani. A skoro nie rozumiem, dlaczego z jakichś powodów mają zwracać się do mężczyzny jak do kobiety, to automatycznie łądają w ogródku wujka Jarka.

Tak spychanie do defensywy osób o konserwatywnych poglądach buduje antyeuropejski nurt.

Warto też przyjrzeć się antyunijnym argumentom Konfederacji, które dotyczą sfery gospodarczej i finansowej. Przed Unią stoi poważne wyzwanie: czy system dotacji nie powinien być poważnie zrewidowany? Sławomir Mentzen i Krzysztof Bosak bardzo sprawnie wykorzystują zniechęcenie Polaków do pewnych aspektów tej polityki, które kłócą się ze zdrowym rozsądkiem. Lecz nie widzę żadnej refleksji po stronie krajowych rządzących ani po stronie unijnych elit w tej sprawie. A tymczasem milcząca większość dowiadyuje się, że dotacje unijne na innowacje wskazane przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju to finansowanie jakiś zwyczajnych budżetów.

Jasne, wydłużanie pieniędzy na słupy przez zwykłych gangsterów odbywało się pod nosem wielkiego szeryfa z PiS, Mariusza „Mario” Kamińskiego, a uczestniczyli w nim ważni ludzie prawicy. Czytamy, że szkoła męża Beaty Szydło, Edwarda, dostała kilkadziesiąt milionów złotych na szkolenia. Czy ktoś kiedykolwiek sprawdził ich sens i efektywność? Na jakieś szkolenia pieniądze z Unii dostał też Łukasz Mejza. On akurat został zmuszony do zwrotu tych środków, ale po jakie лихо w ogóle te programy są realizowane? Jaki jest ich efekt?

To nie panowie Mejza czy Kamiński napisali regulaminy i skonstruowali prawa, które umożliwiły wyłudzenia. Powstał cały przemysł wyciągania pieniędzy z Unii działający na zasadzie: „nie pytamy o sens, tylko składamy wnioski, byleby dostać kasę z Brukseli – a my w Brukseli nie sprawdzamy, czemu to służy, tylko publikujemy statystyki o liczbie z sukcesem zrealizowanych zadań i programów”. Ale w dłuższej perspektywie ten system się zawali, szczególnie gdy w Polsce będziemy się zbliżać do statusu płatnika netto.

Ostatnią odsłoną tego problemu były słynne dotacje dla sektora HoReCa w ramach Krajowego Planu Odbudowy. Nagle wyszło na jaw, że w ramach wsparcia biznesu hotelarskiego i gastronomicznego po pandemii unijne pieniądze poszły na dywersyfikację działalności gospodarczej firm, która polegała na tym, że jedni kupili jachty, inni sauny, a wśród dofinansowanych znalazł się klub swingersów spod Częstochowy. I że dotacje braли przedsiębiorcy, którzy niekoniecznie ich potrzebowali. Żona zamężnego polityka Koalicji Obywatelskiej Artura Łackiego wystąpiła o pół miliona na rozwój swojego biznesu hotelarskiego.

Większość projektów jest realizowana zgodnie z prawem. I absolutnie nie dziwię się przedsiębiorcom, że zabiegają o środki unijne, skoro mogą. Ale czy naprawdę warto się zadłużać jako wspólnota europejska, aby finansować takie projekty? Wiele osób ma poczucie wielopiętrowego absurdu. Czy Unia nie powinna się koncentrować na sprawach naprawę priorytetowych: na komunikacji zbiorowej, oszczędności energii i jej odnawialnych źródłach, na odnowie sieci elektroenergetycznej, na środowisku, no i na bezpieczeństwie? To dziedziny, których skali zmian żaden kraj sam nie udźwignie i które wymagają olbrzymich pieniędzy na zachęty czy otarcie lez różnych grup przez te zmiany poszkodowanych.

Unia Europejska już powoli wycofuje się lub koryguje polityki, która budzą sprzeciw wielu Europejczyków i pompują elektorat antyunijnym populistom. Weźmy choćby zahamowanie fali migrantów. Wbrew temu, co o przetrucaniu do biednej, potulnej Polski „obcych” z bogatych dominujących Niemiec opowiada PiS, Pakt Migracyjny ma przede wszystkim powstrzymać niekontrolowaną migrację i zapewnić sprawne odsyłanie przybyszów do ich macierzystych krajów – co budzi oburzenie organizacji praw człowieka, ale rozbraja bombę, z pomocą której wspierani przez Rosję radykałowie o mało nie wysadzili europejskich demokracji.

Inny przykład: korekta wyśrubowanych celów klimatycznych. Forsowanie bardzo ambitnych zamierzeń w kwestii zmian klimatycznych wbrew woli społeczeństwa, bo my, elity, wiemy lepiej (i mniej boleśnie odczuwamy koszty transformacji), nie skończy się dobrze. Komisja Europejska właśnie wycofała się z pomysłu całkowitego zakazu sprzedaży aut spalinowych od 2035 roku. Zamiast tego zaproponowała, aby producenci samochodów musieli spełnić wymóg redukcji emisji CO₂ o 90 procent. Nie jest więc tak, że „eurokraci są kompletnie odklejeni”, że w Brukseli brakuje jakiegokolwiek refleksji i że unijne instytucje nie potrafią się wycofać z wcześniejszych decyzji. Ale to nie może być koniec namysłu nad funkcjonowaniem Unii. Tu akurat Tusk wykazuje się przytomnością i od kilku miesięcy namawia instytucje unijne, by złagodziły kurs klimatyczny, szczególnie że w naszym sąsiedztwie toczy się wojna.

Lewica przeforsowała swoją agendę w zjednoczonej Europie już w bardzo dużej części, więc dziś musi wziąć pod uwagę, że zbyt nie przegięcie ideowe, przyciskanie pedału gazu i nieliczenie się z emocjami konserwatywnej części Europy może prowadzić do rozbięcia Unii Europejskiej – jedynego obecnie systemu politycznego, który zapewnia względny dobrobyt oraz prawa obywatelskie właśnie tak licznym grupom niegdyś wykluczonych i skrzywdzonych.

I tego zagrożenia nie można lekceważyć. ●

Denis Johnson
- supermoc Ameryki

Cherezińska
o królu wyklętym

DWUMIESIĘCZNIK
GRUDZIEŃ 2025

wyborcza

KSIĄZKI

MAGAZYN DO CZYTANIA

Ursula K. Le Guin
SŁOWA DAJĄ
WŁADZĘ
NAD ŚWIATEM

10 KSIĄŻEK
ROKU 2025

Andrzej Dragan o AI:
jak zmieni się wszystko

Sponsorka
numeru:
**Hildegarda
z Bingen**

MNÓSTWO
POMYSŁÓW
NA DOBRY PREZENT



W SPRZEDAŻY,
RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ
DO PACZKOMATU

- ❄️ Podróż do legendarnej pisarki Ursuli Le Guin
- ❄️ Dlaczego troje najlepiej sprzedających się na świecie polskich pisarzy to fantaści?
- ❄️ Czego się można dowiedzieć, oglądając graficzną oprawę nowych książek
- ❄️ 10 książek roku 2025 oraz Superdycha 2025, czyli najlepsze książki roku dla dzieci i nastolatków
- ❄️ Pomysły na książkowe prezenty

Zamów magazyn z darmową dostawą na: [Prenumerata24.pl](https://prenumerata24.pl)

Więcej na: [Wyborcza.pl/ksiazki](https://wyborcza.pl/ksiazki)

Kilka lat temu po blisko dwóch dekadach opuściłaś zgromadzenie sióstr Nazaretanek w Warszawie. Dlaczego odeszłaś?

– Odeszłam dzięki przyjaciółkom. W liceum przez cztery lata mieszkaliśmy razem w internacie. Były jak moje rodzone siostry.

Przez pierwsze dwa lata nowicjatu nie mogłyśmy mieć kontaktu. Ale zaprosiłam je na pierwsze śluby. Przyjechały. Spotykałyśmy się później, kiedy wyjeżdżałam na wakacje. Dzięki nim nie straciłam kontaktu ze światem zewnętrznym i byłam w stanie dostrzec, że to w czym uczestniczę, nie jest dla mnie dobre.

Kiedy to zauważyłaś?

– Długo próbowałam znaleźć sobie miejsce. Znaleźć sposób na życie zakonne, w którym będzie przestrzeń na to, co chcę i lubię robić. Chciałam iść na studia, nauczyć się języka, ale dopuszczalne były tylko te potrzebne do konkretnej, narzuconej z góry, pracy. Brakowało mi też swobody w pracy, nawet tej ewangelizacyjnej. Jeśli miałam jakieś pomysły, że chciałabym zrobić coś dla rodzin, dzieci czy młodzieży, to nawet nie miałam szans spróbować, bo przełożone mówiły, że to od nich zależy, co będę robić.

Problemem były też rzeczy dużo prostsze. Np. wychodzenie, żeby pobiegać czy iść na basen. Musiałam prosić o zgodę. Albo podróże.

W jednej z rozmów przełożona powiedziała mi wprost: nie jesteś w pełni wolnym człowiekiem i musisz się zdecydować, czy jesteś w stanie się z tym pogodzić. Trochę mi to zajęło, ale w końcu doszłam do tego, że się z tym godzić nie chcę.

I tak po prostu złożyłaś rezygnację?

– Zależało mi, żeby na podpisaniu dokumentów o zwolnienie ze ślubów, była ze mną przyjaciółka. Bałam się trochę, czy siostry czegoś nie wymyślą. Przełożone nie chciały się zgodzić, żebym podpisywała dokumenty przy świadku. Więc nie podpisałam.

Żeby opuścić zakon, trzeba podpisać rezygnację ze ślubów?

– Tak, specjalne dokumenty, które zwalniają ze wszystkich trzech ślubów: czystości, ubóstwa, posłuszeństwa. Przy czym to jest wewnętrzna procedura Kościoła, która formalnie nie ma żadnego znaczenia.

Coraz częściej powtarzam to siostronom: te dokumenty nie są do niczego potrzebne. W życiu poza zakonem nie mają znaczenia. No, chyba że ktoś chciałby wziąć potem ślub kościelny. Jeśli nie podpisze tzw. indultu sekularyzacji, w dokumentach swojej parafii będzie widniał jako siostra zakonna.

Czyli równie dobrze można pewnego dnia po prostu obudzić się, wstać i wyjść?

– Tak. I nigdy nie wrócić. Choć wielu siostronom się wmawia, że odejście jest niemożliwe. To jest kwestia tzw. formacji, czyli okresu przygotowawczego przed złożeniem ślubów. W trakcie formacji uczy się, że śluby to pieczęć ostateczna.

Podpisałaś w końcu zwolnienie ze ślubów?

– W tamtym momencie nie. Przełożone po mojej odmowie po prostu wyszły, a ja zostałam z tysiącem wątpliwości. Co teraz? Co dalej? Dzisiaj śmieję się, to był taki znak od Ducha Świętego. Bo to mi pokazało, jak bezradne są siostry. Ja miałam rodzinę, przyjaciół, ale wiele z nich nie ma takiego wsparcia.

I stał pomysł na stworzenie Centrum Pomocy Siostronom Zakonnym?

– Podpisałam dokumenty dużo później, poza zgromadzeniem, w sądzie biskupim. Dziś wiem, że przełożone mogły mi wysłać je pocztą. Właśnie po to tworzę Centrum, bo tego nie można dowiedzieć się w zakonie, przeczytać w konstytucjach zgromadzenia. To tajemna wiedza, którą jako CPSZ „ujawniamy”.

Naturalnie wyszło tak, że gdy odeszłam, po radę zaczęły zwracać się do mnie inne siostry. Często odsyłali je do mnie moi znajomi księża. Z czasem zaczęłam specjalizować się w po-

UCIEKAJ, SIOSTRO

Wmawia się im, że odejście
z zakonu jest niemożliwe,
że śluby to pieczęć ostateczna.
A można wstać i wyjść.

Z IZABELĄ MOŚCICKĄ,
PREZESKĄ FUNDACJI „PRZY STOLE”,
KTÓRA PROWADZI CENTRUM POMOCY
SIOSTRONOM ZAKONNYM
ROZMAWIA **MARIA KORCZ**

FOT. DOMINIK SADOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



mocy w odchodzeniu. W sumie przez centrum przeszło już około stu siostr.

To mieszkanie, w którym teraz rozmawiamy, niedaleko krakowskiego Starego Miasta, to siedziba Centrum?

– Tak, to miejsce, gdzie siostry mogą się zatrzymać, przenocować. Czasem wpadają w ciągu dnia na chwilę oddechu, rozmowy. Tutaj się spotykamy, kiedy idziemy na pierwsze zakupy albo do restauracji czy fryzjera.

Z czego się utrzymujecie? Skąd macie pieniądze na takie wsparcie dla sióstr, utrzymanie mieszkania?

– Centrum utrzymuje się przede wszystkim z darowizn od osób prywatnych. Przez dwa ostatnie lata, korzystałyśmy również z grantu z Funduszu Feministycznego. Nie mamy stałego finansowania instytucjonalnego, dlatego dużą część naszej pracy wykonujemy dzięki wsparciu ludzi, którzy widzą sens w pomaganiu siostrom wychodzącym z przemocy lub w kryzysie życiowym. Niestety, nie mamy pewności, na jak długo wystarczą nam środków. Część pieniędzy przeznaczamy na interwencję kryzysową, konsultacje psychologiczne i prawne, a także na tzw. „fundusz pierwszych kroków” – czyli pomoc osobom, które nagle opuszczają zgromadzenie i potrzebują podstawowych rzeczy, takich jak ubrania, leki czy bilety na dojazd.

W podobny sposób udaje się nam utrzymać pokój interwencyjny. To niewielka przestrzeń, ale daje kobietom czas i bezpieczeństwo, kiedy stoją przed bardzo trudnymi decyzjami.

Większość naszego zespołu pracuje dla Centrum wolontaryjnie. Bardzo bym chciała to zmienić, bo kobietom, które się do nas zgłaszają, potrzebna jest stabilna i specjalistyczna pomoc. Wciąż szukam ludzi i miejsc, które chciałyby nas wspierać, innych źródeł finansowania. Na pomoc ze strony Kościoła już przestałam liczyć.

Wspomniałaś o fryzjerze, pierwszych zakupach. Rozumiem wsparcie finansowe, ale skąd potrzeba, by towarzyszyć siostrom osobiście?

– Siostry, które wychodzą z zakonu, często od lat, albo nigdy – jeśli młodo trafiły do zakonu klauzurowego -nie robiły wielu rzeczy, które „cywilom” wydają się normalne. W tym sensie zakony je upupiają. Wychodzą z nich jako dorosłe kobiety, które nigdy nie były na rozmowie o pracę. Jeśli przez kilkanaście albo kilkadziesiąt lat nie chodziłaś do sklepu czy restauracji, musisz się tego nauczyć.

Mamy takie założenie, żeby od samego początku przywracać im poczucie sprawczości, bo ono po wyjściu ze wspólnoty jest najbardziej zdeptane. Naszym zadaniem jest ich w tym przejściu od jednego do drugiego życia wesprzeć. Często też opłacając terapię.

Co się dzieje z ich poczuciem sprawczości?

– Siostry, które odchodzą, często mają poczucie, że wszystko się zawałilo. Do zakonu idzie się z myślą, że to wyjątkowe miejsce. Miejsce, w którym spędzi się resztę życia. Gdy ta wizja pryska, a nie zna się innego życia, można się poczuć bardzo zagubionym. Trzeba wtedy trochę człowieka poznać.

Często po iluś latach życia w przemocowym układzie, siostry są też po prostu wyczerpane psychicznie. Zakonnice żyją w systemie bardzo daleko posuniętej kontroli. Nie mają swoich pieniędzy albo mają ich niewiele, tyle ile wydzieli przełożona na drobiazgi. Na pastę do zębów, mydło. Siłą rzeczy każda potrzeba musi być więc zgłaszana.

A co jeśli zarabiają? Na przykład uczą w szkole?

– W większość zakonów wypłata trafia albo od razu na konto zgromadzenia, albo siostra musi ją przelać ze swojego konta, jeśli takie posiada. Jeśli pracuje w przedszkolu czy DPSie prowadzonym przez zgromadzenie, pieniądze od razu są przelewane na wspólne konto, a ona swojego nie ma. Siostry opowiadały mi też, że jak przelewały

pensje, to musiały pokazywać wyciąg z konta, by udowodnić, że nic sobie nie zostawiły.

To, co opisujesz, spełnia kryteria przemocy ekonomicznej.

– Zgadza się. W kulturze zakonnej prosi się o rzeczy, których się potrzebuje. Łącznie z lekami, czy podpaskami. I to jest duży problem, kiedy trzeba na przykład poprosić o pieniądze na terapię. Przy czym wiele zależy od tego, na jaką przełożoną się trafi. Trzy lata temu pomagałyśmy siostrze, która dostała pozwolenie i chodziła na terapię. Po kilku miesiącach przełożona stwierdziła, że jednak ta terapia siostrze szkodzi. I cofnęła pozwolenie. Siostra, która straciła dostęp do pomocy psychologicznej, chorowała na anoreksję.

A odpowiedzialność przełożonej za życie i zdrowie siostry?

– Przełożone są wyznacznikiem woli Bożej. Przyjmuje się, że one umieją powiedzieć, co jest słuszne, co będzie dla ciebie dobre, a co niedobre.

Że ich decyzje pochodzą od Ducha Świętego. Myślę, że warto też dostrzec, że ta specyfika rozumienia ślubów posłuszeństwa jest inna w zakonach żeńskich i inna w męskich.

Co to znaczy?

– Zakonnicy mają dużo więcej wolności niż siostry. Od wielu znajomych zakonników słyszałam, że nie umieliby żyć tak, jak żyją siostry.

Czyli dostrzegają problem?

■
Wymyślają, że schowają przełożonej modlitewnik, tak się odegrają. Planują to po nocach. Czterdziestoletnie kobiety

– Niby dostrzegają, ale nie traktują poważnie. Co wynika moim zdaniem z tego, że kobiety w ogóle się w Kościele marginalizuje i infantyлізуje. Często rozmawiam z księżmi, że oni są pierwszą osobą, która w ogóle może uświadomić siostrze, że to, czego doświadczają, to przemoc. Żeby od tego nie uciekali.

I co księża na to?

Różnie. Zwykle mówią „u sióstr tak już jest”. Ale miałyśmy dwa przypadki sióstr, które trafiły do nas, bo dostały namiar od księdza. Niestety, wciąż często, kiedy zwierzają się innym osobom duchownym z tego, że doświadczają przemocy, słyszą: „to trzeba przetrwać, to jest twój krzyż”.

Czyli popularność terapii w świecie świeckich nieszczególnie przeniknęła do świata zakonnego?

– Jeśli chodzi o samą terapię, jest z tym bardzo różnie. Są środowiska, które są na to otwarte i takie, które uważają, że najlepszą terapią jest rozmowa z Jezusem. Wydaje mi się, że około piętnastu lat temu nastąpił moment otwarcia na psychoterapię w zakonach. Ale później okazało się, że siostry, które idą na terapię, w jej trakcie często odchodzą z zakonu. I otwartość się skończyła.

Wiele zależy nie tyle od zgromadzenia, co od konkretnych przełożonych.

A zakonnicy muszą, tak jak siostry, prosić nieustannie o zgodę?

– Jechałam kiedyś autem ze znajomym zakonnikiem i zadzwonił do niego jego przełożony. Mój znajomy mówi: „słuchaj, wziąłem kartę i kupiłem to, to i to. Wydałem 500 zł”. Nie dość, że taka kwota, to jeszcze to jego spokojne „a wiesz, wziąłem kartę”. W moim zakonie by to było nie do pomyslenia. Innym razem byłam świadkiem rozmowy, w której jeden z braci rzucił, że był dzień wcześniej w kinie, na co jego przełożony zapytał:

„chciało ci się iść w taką pogodę?”. I znów byłam w szoku, bo wyglądało na to, że ten przełożony nie wiedział, że on poszedł do kina. W żeńskim zakonie to nie do pomyslenia.

Ty nie mogłaś wychodzić tak po prostu do kina, na spacer?

– Nie. Pamiętam przypadek siostry, która dostała od terapeuty zalecenie, żeby raz w tygodniu chodzić na spacer. Gdy mówiła terapeucie, że to nie takie proste, on myślał, że próbuje się wymigać.

Pytanie o zgodę na wyjście jest wymagane także w zakonach otwartych?

– Tak, przykład, który podałam to zakon otwarty. W zakonach klauzurowych nawet nie pyta się o zgodę na spacer. Usłyszałam kiedyś takie zdanie, które moim zdaniem najlepiej oddaje różnicę między męskimi i żeńskimi zakonami. „Sobór Watykański II zakonnikom zreformował życie, a siostrom habity”.

Co to znaczy?

– Sobór stworzył drogę do większej autonomii wspólnot, do zmiany stylu formacji, sposobu sprawowania władzy i relacji z instytucją Kościoła. W zakonach męskich te zmiany były częściej i pełniej wdrażane, dając zakonnikom większą wolność, swobodę.

W wielu żeńskich zgromadzeniach – zwłaszcza w Polsce – te zmiany nie były tak głębokie. Utrzymano model, w którym silnie kontroluje się życie sióstr, w którym dorosłe kobiety wciąż muszą pytać o zgodę na podstawowe decyzje: wyjście, leczenie, kontakt z rodziną czy zmianę pracy.

To problem w Polsce, czy uniwersalny problem żeńskich zakonów w Kościele?

– To nie jest tak, że na Zachodzie nie ma problemów. Wręcz przeciwnie – szczególnie we Francji ujawniono w ostatnich latach poważne nadużycia [też na tle seksualnym – red.] w niektórych żeńskich wspólnotach. Część z nich zakończyła się kontrolami watykańskimi, ograniczeniem działalności, a nawet zamknięciem zgromadzeń. To pokazuje, że przemoc czy nadużycia w życiu zakonnym nie są „polską specyfiką”. Różnica polega jednak na sposobie reagowania.

We Francji czy Hiszpanii zarówno Kościół, jak i państwo częściej traktują siostry jako dorosłe osoby posiadające prawa obywatelskie.

Przykładem jest sytuacja, w której sąd świecki – a nie kościelny – zasądził odszkodowanie dla siostry niesłusznie wydalonej ze zgromadzenia. Tego typu sprawy są możliwe, bo państwo nie wycofuje się z ochrony praw kobiet tylko dlatego, że należą do instytucji kościelnej.

Różnice widać też w codziennym funkcjonowaniu: większej autonomii w podejmowaniu decyzji, mniejszej kontroli nad życiem prywatnym, innym rozumieniu posłuszeństwa i odpowiedzialności. Habit bywa uproszczony lub zastąpiony strojem świeckim, ale to nie strój jest tu kluczowy. Kluczowe jest to, że życie zakonne kobiet częściej jest traktowane jako świadomy wybór dorosłej osoby, a nie przestrzeń wymagająca stałej kontroli.

W jaki sposób siostry trafiają do Centrum Pomocy?

– Zaczyna się od maila albo od telefonu. Czasem, jeśli nie mają telefonu, czekają aż ktoś je odwiedzi i wtedy dzwonią. Później umawiamy pierwsze spotkanie, żeby poznać potrzeby. Dowiedzieć się jakiego rodzaju wsparcia potrzebują. Czy mają gdzie zamieszkać, czy potrzebna jest pomoc psychologiczna. I przede wszystkim, czy są już na odejście gotowe. Zdarza się tak, że spotykałyśmy się z nimi w dniu wizyty u lekarza, na którą dostawały pozwolenie.

Telefonów nie mają siostry z zakonów klauzurowych?

– Nie tylko. Owszem, w klasztorach klauzurowych dostęp do telefonu i internetu jest z zasady bardzo ograniczony i ściśle regulowany, ale także w wielu zakonach uznawanych za „otwar-

te” prywatny dostęp do tych narzędzi wcale nie jest oczywisty.

Wiele sióstr nie ma własnych telefonów komórkowych. Często funkcjonuje jeden telefon wspólnotowy albo telefony służbowe, z których można korzystać tylko w określonych godzinach i za zgodą przełożonej. Podobnie jest z pocztą elektroniczną – mail bywa jeden, wspólny dla całej wspólnoty. To sprawia, że ich aktywność w internecie – w tym korespondencja – nie jest prywatna i podlega kontroli, choćby pośredniej.

To ma bardzo konkretne konsekwencje. Nawet w zgromadzeniach formalnie „otwartych” siostry mogą mieć poważne trudności z nawiązaniem poufnego kontaktu, także z instytucjami pomocowymi, takimi jak nasza. Szukanie wsparcia wiąże się z ryzykiem ujawnienia i możliwymi konsekwencjami wewnątrz wspólnoty.

Jak więc trafiają do was siostry z zakonów klauzurowych?

– Jedna z sióstr dostała kontakt do nas od znajomej z otwartego zakonu. Była taka, która po prostu dostała się do internetu, gdy wyszła na wizytę do lekarza.

Wieść o tym, że istniejemy, zaczęła się też rozchodzić, kiedy przełożone zaczęły przed nami ostrzegać – że trzeba uważać, bo wyciągamy siostry z kościoła.

Mówiły też, że trzeba na mnie uważać, bo jestem z patologicznej rodziny.

Efekt był odwrotny do zamierzonego, bo w ten sposób dotarliśmy do sióstr, do których być może nigdy byśmy nie trafili. Pamiętam też siostrę z zakonu klauzurowego, której namiar do nas dała świecka przyjaciółka.

Czyli do pierwszego spotkania potrzebny jest pretekst, żeby dostać zgodę na wyjście?

– Tak. Dlatego dużo trudniej jest zorganizować odejście z zakonów klauzurowych. Raz, że fizycznie to jest większe wyzwanie, a dwa, że jest duża różnica w mentalności. Siostry z zamkniętych zakonów, które do nas trafiają, mają często mentalność nastoletnich dziewczyn. Bo nigdy nie знаły samodzielnego życia, mieszkania, zarządzania pieniędzmi, relacji innych, niż mała grupa zakonna, w której na co dzień przebywają.

One nie tylko nie mogą, ale też nie muszą podejmować prawie żadnych decyzji. Są bezradne wobec systemu, w którym funkcjonują. Czują frustrację i złość, ale bardzo trudno jest im z nimi coś zrobić, przekuć to w działanie. Zamiast tego wymyślają, że schowają przełożonej modlitewnik i tak się na niej odegrają. Planują to po nocach. Czterdziestoletnie kobiety.

Skoro nie znają innego życia, dlaczego odchodzą?

– Punktem zwrotnym jest zwykle moment, kiedy przemoc jest zbyt duża. Kiedy staje się nie do wytrzymania. Albo, kiedy zaczyna szwankować zdrowie. Ktoś potrzebuje konkretnej pomocy medycznej, ale jej nie dostaje.

Chodzi o przemoc ekonomiczną?

– Przede wszystkim ekonomiczną i psychiczną. Pamiętam siostrę, którą karano za zbyt późne powroty z prób chóru odcięciem od jedzenia. To się może wydawać naiwne: jak dorosła kobieta mogła mieć zakaz wchodzenia do kuchni? Ale wiedziała, że jak któraś z sióstr ją przyłapie, to doniesie. Dlatego wiele z nich, gdy pierwszy raz do nas trafia, ma takie przekonanie, że nikt im nie uwierzy, nie stanie po ich stronie.

Słyszałam nagrania, na których przełożona dzwoni do rodziny siostry, żeby ją przy niej zbesztać. Krzyki przełożonych, przekleństwa, które w miejscu pracy skończyłyby się sprawą sądową, uchodzą w zakonie na sucho.

Inna sytuacja, która dobrze obrazuje niemoc sióstr: zaczęły ginąć rzeczy jednej z kobiet, a ponieważ nie dostała w zakonie pomocy, zadzwoniła na policję.

Ale policja zatrzymała się na wejściu, bo przełożona ich nie wpuściła, powołując się na to, że to zakon klauzurowy. I policjanci odpuszcili. Siostra nie dostała pomocy.

A przemoc fizyczna?

– Zdarzają się przypadki spoliczkowania, zepchnięcie ze schodów. Ale to jest głównie przemoc psychiczna wynikająca z władzy przełożonych. Katechetkom, organistkom, zakrystiankom, które pracują poza zakonem, utrudnia się na przykład dostęp do posiłku. Jeśli byłeś w pracy w czasie kolacji, to trudno, nie zjesz.

Siostry mówią nam o wyliczaniu co do sztuki środków higienicznych, podpasek, tamponów. Sama zresztą, kiedy studiowałam, miałam taki problem, że po powrocie z zajęć wieczorem nie miałam szans na ciepły posiłek. Bo szafki w kuchni były pozamykane na klucz.

W niektórych zakonach wciąż praktykuje się też samobiczowanie.

Czyli?

– Samobiczowanie w kulturze tych zakonów, które to praktykują, to jest zaszczyt. Postulantki, czyli siostry przed złożeniem ślubów, nie mogą się samobiczować. To wymaga wejścia na wyższy poziom, a jeśli chce się wydłużyć czas biczowania, to trzeba na to zasłużyć. Jeśli przełożone wydadzą zgodę na wydłużenie samobiczowania, to jest to nobilitacja. Bo znosisz więcej cierpienia dla Jezusa.

Czym się to robi?

– To zwykle bawelniane sznurki. Można je znaleźć w internecie. Co ważne, to nie jest postrzegane jako przemoc. Tylko, jak wspomniałam, nobilitujący rodzaj modlitwy.

Jeśli siostra zorientuje się, że jest ofiarą przemocy, może liczyć na pomoc służb? Policji, telefonu zaufania?

– Bardzo dużo zależy od tego, na kogo się trafi. Czy przyjmie zgłoszenie, zareaguje. Sęk w tym, że siostry się też boją. Przede wszystkim, że nikt im nie uwierzy. Albo, że za zgłoszenie spotka je kara. Ostatnio badaliśmy temat Niebieskiej Karty. Okazało się, że nie można jej założyć siostrze, które są ofiarami przemocy ze strony przełożonych. Bo Karta dotyczy tylko przemocy w rodzinie.

A przyjaciele, rodzina z zewnątrz? Widzą i wiedzą co się dzieje?

– Porównując to do przemocy w związkach, różnica jest taka, że kobiecie, która jest w przemcowej relacji, ale tego nie widzi, wsparcia może udzielić mama, przyjaciółka, sąsiadka. Gdy jesteś odseparowana od świata zewnętrznego, szanse, że ktoś przyjdzie z taką pomocą, są dużo mniejsze. Choć też znam takie przypadki.

Siostry często obawiają się też tego, co powie rodzina. Mówię wtedy, żeby przy najbliższym spotkaniu opowiedziały o czymś trudnym, co je spotkało w zakonie i zobaczyły, jak bliscy zareagują. Najczęściej w pierwszym momencie rodzina jest zdziwiona. Ale potem zwykle słyszą: „Nie zostawaj tam, wróć do domu”.

To jest dobry test na to, na ile rzeczy, na które normalnie byśmy nie mieli zgody, pozwalamy Kościołowi. Jakby przyjaciółka powiedziała ci, że wyjeżdża do innego miasta na rok i nie będzie mieć telefonu, będzie przechodzić formację i nie będzie z nią kontaktu, to byś się poważnie zaniepokoiła, prawda?

Nawet bardzo.

– Ale gdy chodzi o zakon, to przechodzimy nad tym do porządku dziennego. Myślę, że dlatego w Polsce siostr jest wciąż dużo w porównaniu do innych państw.

A gdy już odejdą, znajdują pracę?

– Na początek pomaga rodzina, pomagamy my. Jeśli siostra pracowała i miała opłacane składki może dostać zasiłek. Problem jednak w tym, że większość siostr nie ma prawa nawet do zasiłku dla bezrobotnych. Bo albo nie pracowały, albo nie był za nie odprowadzany fundusz pracy.

Jest jakaś zasada co do wieku, w którym odchodzą? Albo wykształcenia?

– Zdarzają się odejścia tuż po formacji, ale też po 20 – 30 latach.

Podobnie jest z wykształceniem. Nie można powiedzieć, że częściej odchodzą siostry



FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Sobór Watykański II zakonnikom zreformował życie, a siostrze habity

z wyższym wykształceniem, choć wiele siostr ma dziś ukończone studia: zgromadzenie kieruje siostrę na konkretny kierunek, jeśli jest on potrzebny do pracy, którą ma podjąć – na przykład w przedszkolu, przy katechezie czy instytucji opiekuńczej. Nie zawsze wynika to z jej osobistych zainteresowań czy planów.

To, co różnicuje historie odejść, to nie wiek czy dyplom, ale konkretne doświadczenia: styl sprawowania władzy, relacje we wspólnocie, brak realnego wpływu na własne życie, doświadczenie przemocy lub długotrwałego przeciążenia. Studia mogą dawać język do nazwania tego, co się dzieje, i świadomość alternatyw, ale nie są przyczyną odejść.

Gdzie pracują teraz były zakonnice, którym pomogliście odejść?

– Część z nich kontynuuje pracę w zawodach, które wykonywały już w zgromadzeniu – w edukacji, opiece społecznej, czy administracji. Inne podejmują zupełnie nowe ścieżki zawodowe, czasem po dodatkowych kursach lub przekwalifikowaniu.

Wyjście z zakonu często oznacza brak „klasycznego” CV – doświadczenie zawodowe nie było wcześniej opisywane językiem rynku pracy, a formalnej historii zatrudnienia po prostu nie ma. Dlatego ważnym elementem wsparcia jest przełożenie zakonnego doświadczenia na świecki język kompetencji.

Zostają w kościele?

– Po jakimś czasie, jak już poukładają sobie sprawy życiowe – pracę, mieszkanie, relacje, przychodzi moment, żeby zmierzyć się z tym, czym dla nich jest wiara. Pojawia się wtedy zwykle myśl: ufałam Bogu, ale zostałam zraniona.

To jest proces szukania odpowiedzi: kto mnie skrzywdził, gdzie jest Pan Bóg? Czy on w ogóle w tym zakonie był? Zwykle zostają w jakiejś formie w kościele, zostają na przykład dziewczynami konsekrowanymi albo na jakiś swój sposób starają się pozostać wierne ślubom. Inne odchodzą dalej – odnajdują się w innych denominacjach chrześcijańskich albo budując swoją duchowość poza strukturami Kościoła. Dla nas w Centrum Pomocy Siostr Zakonnym to, jaką drogę duchową ktoś wybiera, nie ma dużego znaczenia. Nie pytamy o wiarę ani o jej formę.

Co jest najtrudniejsze w powrocie do życia świeckiego?

– Chyba, obok odbudowy życia zawodowego, powiedziałabym, że relacje. Nauczenie się, że one mogą być bezpieczne, niewymuszone. W zakonach przyjmuje się, że zbyt bliska relacja z drugim człowiekiem niesie zagrożenie. Bo cię oddala od Boga. To zostaje nawet po wyjściu.

Siostry nie powinny się zaprzyjaźniać, bo to oddala Boga?

– Tak bywa to przedstawiane. W czasie formacji słyszałam określenie „przrzyżnięte partykularne” – używane na opisanie zbyt bliskich relacji między siostrami. Było to pokazywane jako coś niewłaściwego, a nawet niebezpiecznego duchowo, bo rzekomo miało odciągać od Boga i od wspólnoty jako całości.

Mi samej zdarzyło się, że przełożone uznały, iż zaczęłam być zbyt blisko z jedną z siostr. Taką relacją została zakwestionowana nie dlatego, że wydarzyło się coś konkretnego, ale dlatego, że była postrzegana jako zbyt intensywna, zbyt „wyłączna”.

W praktyce oznacza to, że naturalna potrzeba bliskości, zaufania i przyjaźni bywa w zakonach podejrzana albo poddawana kontroli. Zamiast uczyć zdrowych relacji, granic i dojrzałej bliskości, często proponuje się dystans i czujność wobec własnych uczuć.

To paradoks, bo życie wspólnotowe bez realnych więzi jest bardzo trudne. A brak bezpiecznych, zaufanych relacji sprawia, że w sytuacjach kryzysu siostry zostają same – tak że wtedy, gdy doświadczają przemocy czy niesprawiedliwości.

Opowiedz o tej swojej relacji.

– To było świeżo po ślubach. Zaprzyjaźniłam się z jedną z siostr. Ona miała w swoim pokoju duże biurko i miałyśmy taki zwyczaj, że ja przychodziłam wieczorem szykować się na następny dzień do przedszkola u niej przy tym biurku. Ona w tym czasie przygotowywała swoje rzeczy. Lubiliśmy po prostu siedzieć razem, nawet za bardzo nie rozmawialiśmy. Ale ten nasz zwyczaj został uznany za szkodliwy dla społeczności. I był potem jednym z powodów przeniesienia mnie w inne miejsce.

Inna historia. Kiedyś z paczką dziewczyn, z którymi składałyśmy w tym samym czasie śluby, wymyśliłyśmy, że razem pojedziemy na wakacje. Wzięłyśmy w tym samym czasie urlopy, ale nie wpadłyśmy na to, że musimy o tym powiadomić przełożone.

To, że jedziemy razem, wyszło przy okazji. Zostałyśmy za to wezwane na dywanik do siostry prowincjonalnej.

Odwolałyście wyjazd?

– Do wyjazdu nie doszło. Zostało nam jasno powiedziane, że wspólny wyjazd w tym składzie jest niewskazany. Nie chodziło o sam urlop – każda z nas miała do niego prawo – ale o to, że chciałyśmy spędzić ten czas razem.

Czy po latach przekonywania, że zbyt bliskie relacje są niestosowne, siostrze, które odchodzą, udaje się założyć rodziny?

– To często zależy od wieku. Te, które odchodzą w wieku przed emerytalnym, raczej nie. Młodsze zwykle się później z kimś wiążą, ale nie zawsze mają jeszcze czas, by mieć dzieci.

Zdarza się, że żałują, że odeszły?

– Żadna z siostr, którym do tej pory pomagałam, a było ich ponad sto, nie powiedziała mi, że żałuje decyzji o odejściu. Mówią raczej, że to była jedna z lepszych decyzji w ich życiu.

Jak reagują przełożone, gdy dowiadują się, że siostra podjęła decyzję o odejściu?

– Różnie. Kilka razy towarzyszyłam siostrze przy podpisywaniu decyzji o wyjściu i zwykle robi się dużo, żeby im to utrudnić. Przełożone próbowały nam wmówić, że ja, jako osoba trzeźwa, nie mogę być przy podpisywaniu decyzji. Ale to nieprawda. Pamiętam, jak kiedyś przełożona przyjęła nas z dwiema siostrami i jedna z nich już w progu rzuciła do dawnej koleżanki: „Co ty w ogóle sobie wyobrażasz? Że teraz to masz jakieś znaczenie tutaj?”. Raz zdarzyło mi się, że przełożona na mój widok stwierdziła, że wzywa policję, ale po mojej zachęcie, że śmiało, proszę wzywać, zrezygnowała.

Zwracaliście uwagę na przemoc w zakonach władzom polskiego Kościoła?

– Pisałyśmy listy do biskupów, do kurii. Na 100 wysłanych listów dostałyśmy jedną odpowiedź od biskupa i cztery z kurii. To na początku było dla nas trudne, ale dzisiaj bardziej rozumiem, że tak długo, jak same siostry nie będą widzieć i nazywać tego problemu, nic się nie zmieni. Zdarza się, że siostry atakują nas za to, co robimy. Dlatego skupiamy się na tym, by pomagać ofiarom, tym, które tej pomocy chcą.

Myślisz, że wiedza o tym, co robisz, dotarła do hierarchów?

– Myślę, że tak. Znajomy ksiądz mówi, że nazwa Centrum Pomocy Siostr brzmi zbyt agresywnie, bo sugeruje, że siostry potrzebują pomocy. I nawet jak wiadomo, że potrzebują, to w Kościele nie można o tym głośno mówić.

Gdy Marta Abramowicz napisała książkę „Zakonnice odchodzą po cichu”, to ówczesna przewodnicząca konsultaty Joanna Olech powiedziała, że ona jak najbardziej jest otwarta na to, żeby rozmawiać z siostrami, które doświadczyły przemocy. Nie przełożyło się to w żaden sposób na życie.

Skoro widziałas tyle przemocy w Kościele, dlaczego wciąż w nim jesteś?

– Po prostu wierzę w Boga. Kościół rzymskokatolicki jest moim miejscem, odpowiada mojej wrażliwości. Dlatego chcę walczyć o to, żeby był bezpiecznym miejscem.

A dlaczego w ogóle zdecydowałaś się pójść do zakonu?

– Pierwsze myśli pojawiły się, gdy miałam 16 lat. Zaczynałam bardziej angażować się w sprawy duchowe. Szukałam sensu, miejsca dla siebie i sposobu, żeby żyć blisko Boga. Zakon wydawał mi się wtedy przestrzenią, w której można to wszystko połączyć: wiarę, wspólnotę i sensowne życie „dla czegoś więcej”.

Jak sobie wtedy wyobrażałaś życie zakonne?

– Myślałam o wspólnocie, o byciu razem, o dzieleniu codzienności, o modlitwie, ale też o zwykłym życiu: pracy, rozmowach, wzajemnym wsparciu. Nie wchodziłam do zakonu z myślą o poświęceniu czy heroizmie, raczej z pragnieniem, żeby żyć uczciwie i spójnie z tym, w co wierzyłam.

Nie miałam wtedy świadomości, jak bardzo życie zakonne może być kontrolujące – jak wiele decyzji dotyczących dorosłego życia oddaje się innym. Tego nie da się zobaczyć z zewnątrz. Będąc w środku zobaczyłam, że coś tu nie gra, że w imię jakiejś oszukanej idei, jest mi odbierana wolność. To nie powinno się dziać w żadnym miejscu i w żadnej instytucji religijnej, szczególnie jeśli mówimy o chrześcijaństwie i Bogu, który daje ludziom wolność. ●

Komornik szacunku

To fascynujące, jak bardzo współczesna polityka przesunęła się z obszaru działania do obszaru afektu.



Marcin Matczak

Są ludzie, którzy wchodzą do pokoju i nie muszą mówić ani słowa, by było jasne, że są ważni. I są tacy, którzy wchodzą i od razu pytają, czy wszyscy zauważyli, że weszli.

Wzorując się na Donaldzie Trumpie niemal we wszystkim, oprócz pomarańczowej cery i fryzury, polska prawica nieustannie domaga się szacunku, bo ciągle ma poczucie, że jest szanowana za mało.

Tak jak Trump głośno domaga się Nobla, a nawet ośmiu Nobli za osiem rzekomo zakończonych wojen, tak nasi prawicowi politycy chcą list uznania – jak ta, na której ostatnio znalazł się Karol Nawrocki. Portal Politico opublikował listę najbardziej wpływowych osób w Europie, na której Nawrockiego umieścił na miejscu nr 23. Wydawało się, że tego szacunku na moment wystarczy, ale gdzie tam.

Jakby na złość zaraz po pochwaleniu przyszło pogardzenie – w postaci brudnej od deszczu i błota limuzyny, którą chciano prezydenta odebrać z lotniska na Łotwie. Wydaje się, że tym błotem z karo-serii obrzucono nie tyle auto, ile ojczyznę naszą, którą prezydent wszak reprezentuje. W każdym razie rozmiar awantury o to wywołanej wskazuje co najmniej na międzynarodowy kryzys.

Do tego jeszcze te migi dane Ukrainie bez konsultacji – czyli znowu potwarz. „Jestem ważny, bo głosowało na mnie 10 milionów ludzi”, zdaje się mówić prezydent, jednocześnie uznając, że te drugie 10 milionów, które głosowało przeciwko niemu i na coś innego, można traktować jako tak zwaną połowę mniejszą.

Jak u cioci na imieninach

To fascynujące, jak bardzo współczesna polityka przesunęła się z obszaru działania do obszaru afektu. Kiedyś pytaliśmy, co realnie zmieniono, co zbudowano. Dziś pytamy, czy ktoś poczuł się wy-szarczająco uszanowany. A jeśli nie – mamy kryzys konstytucyjny.

Polska polityka obrażania się. Nie tego milczącego, tylko agresywnego, wynikającego z delikatnej wrażliwości chłopaka z warszawskiej Pragi, który ciągle pyta, czy ktoś ma jakiś problem. I owszem: problem ma ze sobą pytający. Dlatego wciąż sprawa, czy ktoś się z niego nie śmieje. I lypiąc spod kaptura, zawsze gotów jest należny mu szacunek odpowiednimi środkami wymusić.

Mówi więc prawicowa Polska światu: „Masz jakiś problem?”, i jest to wyraz jej defensywnego, nadwrażliwego narcyzmu. Ktoś tu nie jest pewny własnej wartości, więc domaga się jej nieustanne-go potwierdzania z zewnątrz. A jeśli go nie ma, interpretuje to jako atak, lekceważenie albo upokorzenie.

Weźmy Ukrainę. Tu znowu Trump i polska prawica idą ramię w ramię w ciągłej podejrzliwości, że Ukraińcy w rzeczywistości się z nich śmieją i po ci-chu pewnie kpią z nich jak z frajerów. Bo przecież nie dziękują ani nie przepraszają. Przynajmniej nie tyle i nie tak często, jak powinni.

Na spotkaniu z Wołodomyrem Zelenskim w Białym Domu Trump i J.D. Vance ciągle domagali się podziękowań – i dla narodu amerykańskiego, i oso-

bistych dla siebie. W myśl zasady: „Jeśli nie klęk-niesz, to mnie upokarzasz”.

Jak ciotki na imieninach, które sprawdzają, czy odpowiednio grzecznie się z nimi przywitałeś i po-żegnałeś, prezydent i wiceprezydent USA strofowa-li reprezentanta umęczonego narodu, że jego ma-niery pozostawiają wiele do życzenia. Nawet ubrać się nie potrafi – zamiast garnituru nosi przecież ja-kieś swetry.

I u nas podobnie. Pomogliśmy przecież Ukra-inie, więc teraz wypadaloby, żeby Ukraińcy organi-zowali przynajmniej jakieś miesięcznice, w czasie których biliby nam pokłony i przepraszali nas za Wołyń. Bo jeśli nie, to jasne jest, że mają z nami ja-kis problem.

Prawicowi politycy reprezentują w ten sposób resentyment swoich wyborców. „Nie szanują mnie, więc nie szanują was!” – mówią im, a wyborcy w ten sposób chętniej powierzają im rolę komor-nika szacunku: kogoś, kto ten szacunek egzekwu-je i pobiera. Podobnie jednak jak komornik, polityk, który żąda szacunku, nie ma sam z siebie do tego tytułu. Ale w ten sposób uzasadnia potrzebę swo-jego istnienia przed wierzycelem – narodem, któ-ry uważa, że świat ma wobec niego ciągle niespla-cony dług.

To klasyczna polityka lustra: nie patrzymy na to, co robimy, lecz na to, jak wyglądamy w cudzych oczach. A gdy spojrzenie nie jest dość entuzjastycz-ne, ogłaszamy pogardę.

Polityka stała się rytualna

Polityka domagania się szacunku to sposób na to, by skompensować brak sprawczości teatralnym oburzeniem. To strategia ludzi i instytucji, które czują, że ich pozycja nie jest oczywista, więc mu-szą ją nieustannie werbalizować. Słowa: „Szanuj-cie mnie”, to często tylko bardziej eleganckie: „Za-uważcie mnie”.

W polskim kontekście ta nadwrażliwość jest szczególnie kosztowna. Zamiast budować real-ną podmiotowość – militarną, gospodarczą, insty-tucjonalną – budujemy podmiotowość afektyw-ną, opartą na ciągłym sprawdzaniu, czy ktoś nas wystarczająco poważnie traktuje. To polityka, któ-ra nie wzmacnia państwa, lecz utwierdza je w roli wiecznego petenta uznania.

Nadwrażliwość to jednak też strategia obronna. Jeśli ją czują się pomijani, to znaczy, że jestem waż-ny. Jeśli się obrażam, to znaczy, że mam godność. To przesunięcie polityki z decyzji na emocje. Kie-dyś spór polityczny dotyczył podatków czy instytu-cji. Dziś coraz częściej dotyczy gestów, tonu i sym-boli (zaproszenie, konsultacja, przeprosiny). To po-lityka rytualna, a nie decyzyjna.

Jest tu jednak także głębszy problem. Ciągłe wskazywanie rzekomych aktów pogardy nie tyl-ko konsoliduje elektorat. Tworząc poczucie za-grożenia, usprawiedliwia potencjalną agresję („bo nas obrażają”).

Ten więc, kto pielęgnuje nadwrażliwość, w isto-cie przygotowuje do przemocy.

Być może więc należałoby pójść na całość i dać Trumpowi osiem Nobli, których się domaga. Na-grodę pokojową, ekonomiczną, literacką, medycz-ną – a jeśli zabraknie kategorii, można jakąś stwo-rzyć ad hoc. Ważne, żeby błyszczało.

A prezydentowi Nawrockiemu – dla święte-go spokoju – podstawić osiem limuzyn. Jedną my-tą ręcznie, drugą na myjny automatycznej, trze-cią parową. I tak dalej. Każdą z osobnym certyfika-tem wysprzątania i protokołem potwierdzającym, że nikt nikogo nie chciał upokorzyć. Tylko czy to coś zmieni?

Bo przecież – jak mawiała Margaret Thatcher – z byciem wielkim jest jak z byciem damą. Jeśli musisz mówić ludziom, że nią jesteś, to znaczy, że nie jesteś. ●

Śródtytuły – od Redakcji.

Kaczor i inne chłopaki

Śmiertelnymi wrogami „maślarzy” są „harcerze”, zwani także „grupą Morawki”. Ale najważniejszą frakcją w PiS są prawdziwi pisowcy, czyli grupa zwana „prawdziwkami” lub „zakoniarzami”.



Michał Rusinek

Z lektury „Mikołajka i innych chłopaków” pamiętamy zapew-ne, że jeden z nauczycieli – pan Dubon – miał pseudonim „Rosół”. Wziął się on stąd, że nauczyciel ten miał zwyczaj mówić „Patrz mi w oczy”, co chłopcom przypominało oka na rosole. Okazuje się, że także rodzime chłopaki, czyli nasi politycy dorobili się swoich pseudonimów – głównie chłopaki, jakby to była głównie dome-na męzczyzn. Pseudonimów nie mniej spektakularnych i zwykle odnoszących się do ich wyglądu, cech charakteru lub zainteresowań.

Były rzecznik prasowy Prawa i Sprawiedliwości Adam Hofman na-zywany był ponoć przez niechę-tnych mu członków macierzystej par-tii „Fochmanem”, poseł Arkadiusz Mu-larczyk – „Przymularczykiem” (a tak-że „Jola” – od kiedy został nazwa-ny „Jolą Rutowicz komisji śledczej”), a poseł Mariusz Błaszczak – „Płasz-czakiem”. Poseł Marek Suski przyznał się kiedyś, że w szkole nazywano go czule „Suselkiem”, ale gdy został par-lamentarzystą – dorobił się pseudo-nimu „Perukarz” (w przeszłości pra-cował jako teatralny charakteryzato-r) i „Susłow”; jak sam ze smutkiem stwierdził: „trochę mniej pozytywnego”, bo – przypomnijmy – Micha-il Andriejewicz Susłow był działaczem Komunistycznej Partii Związku Ra-dzieckiego, specjalizującym się w ide-ologii i propagandzie.

Banalnie brzmi „Kaczor” (Jarosław Kaczyński), „Glina” (Piotr Gliński), „Kura” (Jacek Kurski), „Lipa” (Adam Lipiński), czy „Riczi” (Ryszard Czar-necki). Nieco tylko większą inwencją popisano się nazywając Jana Burego, byłego posła PSL, „Szarym”, Tadeusza Cymańskiego „Cynamonem”, a Joachi-ma Brudzińskiego – „Jojo” („Jojem”?). Ze względu na wygląd Janusz Piecho-ciński nazwany został „Fredem Flint-stonem”. Do pewnego momentu na Zbigniewa Ziobrę mówiono „Zizi”. Po-tem tę pieszczotliwą ksywkę wyparła zupełnie inna.

Z hipisowskiej przeszłości posłów wzięły się ksywki Marka Kuchciń-skiego („Kuchta”) i Ryszarda Terlec-kiego („Pies”). Andrzej Duda przez ja-kis czas był „Adrianem” – za spra-wą serialu „Ucho prezesa”. Kazimierz M. Ujazdowski nazywany był „Budy-niem”, a po zrobieniu doktoratu – „Doktorem Oetkerem”. Od kiedy wy-

szło na jaw, że poseł PiS Karol Karski jest oskarżony przez cyprijski hotel o uszkodzenie wózków golfowych – zaczęto go nazywać „Doktorem Melek-sem”. Potem jednak zrobił habilitację i ksywka stała się nieaktualna.

Pseudonimy dotyczą też czasami grup poselskich, zwłaszcza – co cie-kawe – w obrębie prawicy. Wciąż chy-ba funkcjonuje nieformalna grupa o ciekawej, bo skrótowniczej nazwie „Kakao”, zrzeszająca posłów Solidar-nej, a może Suwerennej Polski: Kaletę, Kanthaka i Ozdobę. Ostatnio pojawiły się także frakcje w łonie – jeśli wolno mi tak powiedzieć – samego Prawa i Sprawiedliwości. Jedną z nich zrze-sza Jacka Sasina, Przemysława Czarn-ka, Patryka Jakiego (zwanego ostat-nio „Jakirkiem”), bo chce debat w sty-lu Charliego Kirka) oraz Tobiasza Bo-cheńskiego.

Jest to grupa „maślarzy”. Nie chodzi jednak ani o gatunek gryzba, ani o pra-cę przy produkcji masła, ale o awan-turę, którą Bocheński zrobił po podró-ży Polskimi Liniami Lotniczymi LOT z Frankfurtu do Warszawy. Wrzucił na portal X zdjęcie przekąski, którą ser-wowano na pokładzie z Deutsche Mar-kenbutter. „Za Tuska Polskie Linie Lot-nicze podają niemieckie masło” – na-pisał. Biuro prasowe PLL LOT wy-jaśniło, że masło pochodziło od fir-my cateringowej z Frankfurtu, bo „ze względów logistycznych, podobnie jak zdecydowana większość linii lot-nicznych, korzystamy z usług caterin-gowych w wielu portach docelowych”. Ta lekka kompromitacja ma szanse żyć dłużej niż zwykle – w postaci na-zwy frakcji. Sasina, Czarnka, Jakie-go i Bocheńskiego nazywa się też „bi-bliotekarzami” (bo zrobili sobie zdję-cie na tle biblioteki) lub „muszkiete-rami” (ze względu na dumasowską li-czebność frakcji), ale ta nazwa jest już dość wyeksploatowana, więc raczej się nie przyjmie.

Śmiertelnymi wrogami „maśla-ry” są „harcerze”, zwani także „gru-pą Morawki”, czyli zwolennicy byle-go premiera Mateusza Morawieckie-go. Dlaczego „harcerze”? Ponoć część jej członków ma przeszłość harcerską, na przykład Michał Dworczyk (zwa-ny „Harcerzykiem”). Ale najważniej-szą frakcją w PiS są i zawsze będą lu-dzie wierni Jarosławowi Kaczyńskie-mu, prawdziwi pisowcy, czyli grupa zwana „prawdziwkami” lub „zakonia-rzami”. Jest to środowisko wywodzą-ce się jeszcze z czasów Porozumienia Centrum, zwane też „zakonem PC” – ze względu na hermetyczność, su-ro-we reguły i centralizację władzy mimo braku formalnej struktury.

Na internetowej stronie „New-sweeka” Jacek Gądek napisał ostatnio: „»Maślarze« kontra »Morawka« i »Gli-na«. »Pies« już pogoniony. »Jojo« stoi z boku. A Jarosław Kaczyński sądzi, że nad tym wszystkim panuje, tylko kre-ta tropi”. Nie wiem, jak Państwo, ale ja odnoszę wrażenie, że za sprawą języka prawa strona polityczna zaczyna przy-pominać półświatek z lat 90., a mo-że nawet chłopackie powieści Edmun-da Niziurskiego. Na przykład „Księgę urwisów”. Wesołych Świąt! ●

ŚWIAT



Krawiec Zelenskiego

Kto wymyśla Zelenskiemu
ciuchy, które irytują Trumpa
i inspirują Macrona?

FOT. PASCAL ROHE



Marta Panas-Goworska, Andrzej Goworski

dy przy wigilijnym stole wuj zacznie swoje „A ten Zelenski tylko w bluzie”, opowiedz mu o człowieku, który tę bluzę wymyślił. Wiktor Anisimow był żołnierzem, budował lotniska i mosty, a na poligonie strzelał z kalasznikową we własną kolekcję. Dziś szyje czarne kostiumy, które dla prezydenta Ukrainy są tym, czym zbroja dla rycerza.

2 grudnia 2025 r., godzina 7:50. Kijów. Rejon Szewczenkowski, jedna z centralnych dzielnic. Idziemy ulicą Łeontowycza i skręcamy w Chmielnickiego. Mijamy nastolatków: puchowe kurtki, szerokie spodnie, bluzy, generalnie ciemne ubrania. W sumie jak pod warszawskim ogólniakiem.

Przed nami idzie kobieta w modnym płaszczu, z torebką bagietką, cała na czarno, oraz starsza pani w niebieskiej kurtce i kolorowych sportowych butach, z telefonem przy uchu. Mężczyzna na czarno przechodzi przez pasy, za nim kobieta lat 30 w beżowym płaszczu z plecaczkiem. Pod apteką młody mężczyzna patrzy w telefon: czarne sportowe buty z białą, grubą podeszwą, czarne spodnie i bluza, spodnie dresowe z lampasami, kaptur nałożony na czapkę z daszkiem.

Z naprzeciwnika mężczyzna w dżinsach, zamszowych beżowych butach i kurtce pilotce z kożuszką, wiek 40+, z beżową torbą w rękę i kobieta 50+ w écru kurtce ocieplanej i dosyć szerokich, à la skórzanych błyszczących spodniach, z przewieszoną torbą-listonoszką.

Mija nas młoda kobieta z kubkiem kawy, fioletowe sportowe spodnie, adidas na grubszej podeszwie ze sznurowadłami wpadającymi w róz, kurtka bomberka, kaptur. My wyprzedzamy elegancką kobietę, 30-40 lat, w beżowym płaszczu dymnającą na oko wielbłądzą wełną, czarne spodnie i pop-up w postaci czerwonego szalika, rękawiczki i torebka czarne. Doganiamy mężczyznę w rurkach khaki i nastolatka: sportowe buty, czarna kurtka, czarne proste spodnie i plecak Fjallravena, jasnoniebieski.

U dziewczyn i kobiet regularny akcent – stylizowane na ludowe chusty w wyszywankę: narzucone na głowę, na ramiona płaszcza, omotane wokół szyi pod puchówką North Face, przy torebce.

Pod względem outfitów Kijów wygląda jak Kreuzberg i Unter Den Linden naraz. Ale stolica to nie cała Ukraina. Dla podparcia naszych wycinkowych, acz regularnych obserwacji pospacerujemy po kraju opisanym w książkach: Białorusinki urodzonej w ukraińskim Iwano-Frankiwsku, noblistki z 2015 roku, Swietłana Aleksijewicz,

przyszedł noblistę Ukrainca Serhija Żadana i zabitej przez Rosjan ukraińskiej pisarki Wiktorii Ameliny.

W „Czasach secondhandu” Aleksijewicz prowadzi nas przez postsowieckie krajobrazy, gdzie w miasteczkach ludzie wspominają, jak „jedna kurtka, jedno spodnie” wystarczały na lata, bo „wychowywano ich jak młodych wojowników w dawnej Sparcie”. W Moskwie, reprezentującej kiedyś każde wielkie miasto postsowieckiego świata, ochroniarze patrzą z pogardą na tych w „ubranii z bazaru”, rzecz jasna matowo-czarnym, noszących „chińską tandetę”.

U Żadana w „Anarchy in the UKR” jedziemy przez Donbas, a tam „tłumy koleś w dresach”, czują się „pewnie i beztrąsko, to oczywiście było ich miasto, ich dresy”. W Hulaj-Polu „zarzycane dżinsy i zalane piwem adidas” sprawiają, że nie wpuszczają do dyskoteki. Na małych stacjach górnicze rodziny w „wytartych podkoszulkach z olimpiady w Moskwie”, a w miastach mundury biznesu – „skórzana kurtka, dres”. Po rosyjskiej agresji „zmienimy adidas na buciory i będziemy bronić ojczyzny”.

W „Internacie” Żadana, powieści osadzonej w realiach wojny, zwykli ludzie miesza „cywilne spodnie z kamuflażem”, „podarte koszulki” świadczą o ewakuacji pod ostrzałem.

A w „Domu dla Doma” Ameliny, gdzie narratorem jest pies, odzież łączy się z historią represji. Zabobona praktyczność każe nosić „jedną kurtkę latami”, bo „ubranie to część siebie”. „Mundur wojskowy” wspólny z „cywilnymi sukienkami”, a codzienne „buty na obcasie” z „wygodnymi adidasami podróbkami”.

O te przynębiające stylowy pytamy Wiktora Anisimowa, projektanta mody, który ubiera Zelenskigo.

– Byliśmy bardzo postsowieckim państwem. 70 lat władzy sowieckiej. Kto się nie zgadzał, został zabity albo zesłany. Kto się zgadzał, też był podejrzany. I tak się przestraszyliśmy, staliśmy się tak zniewoleni, że przez ostatnie 30 lat wygrzebujemy się z tej jamy – zaczyna.

Ta trauma odbija się w stylu gopników – mężczyzn w czarnych sportowych lub skórzanych kurtkach, luźnych dresach i adidasach, które symbolizują nie tylko anonimowość, ale też potencjalnie agresywną wytrzymałość na codzienne wyzwania. Gopnicy kucają, palą papierosy i plują wokół pestkami. Obok nich kobiety w czarnych legginsach, kozaczkach albo wygodnych butach, walczące z biedą, korupcją i patriarchalnymi strukturami społeczeństwa.

Jednak obok tej szarej praktyczności, która łączy wszystkich strauatyzowanych sąsiadów Rosji, od Kaczyńców przez Białorusinów po litewską prowincję, coraz wyraźniej rysuje się inna przestrzeń. Tutaj ukraińska inteligencja, klasa kreatywna i młodzi artyści łączą elementy vintage – stare płaszcze, retro okulary – z nowoczesnymi krojami, tworząc styl, który jest manifestem wolności i kulturowego odrodzenia.

• Wiktor Anisimow – projektant prezydenta Ukrainy – po pokazie na Berlin Fashion Week w lutym 2025 r.

• Wołodymyr Zelenski oficjalnie. Od lewej:

• W bluzie-marynarce w drodze na obiad wydany przez króla i królową Holandii podczas szczytu NATO w Hadze (24.06.2025)

• Podczas wręczenia odznaczeń ukraińskim żołnierzom, w Kijowie, na Placu Sofijskim w 34. rocznicę odzyskania przez Ukrainę niepodległości (24.08.2025 r.)

• Z prezydentem USA Joe Bidenem podczas wizyty w Białym Domu (21.09.2023 r.)

FOT. PATRICK VAN KATWIJK/GETTY IMAGES; ANTON SHEVELOV/GLOBAL IMAGES UKRAINE VIA GETTY IMAGES; JIM WATSON-POOL/GETTY IMAGES

Ta pomysłowość eksplodowała wraz z Pomarańczową Rewolucją 2004-05, Euromajdanem i Rewolucją Godności zimą 2013-14, a pełnoskalowa wojna z 2022 roku dodała jej nowego wymiaru: projektanci i influencerzy zaczęli mieszać motywy narodowe, jak wyszywanki czy tryzuby, z inspiracjami płynącymi nie tylko z Zachodu, ale i azjatyckiej, zwłaszcza japońskiej popkultury, tworząc grafiki, symbole i ubrania, które stały się bronią hybrydową na globalnej arenie.

Ukraińska moda opowiada o historii narodu bliskiego Polsce przez wspólne wschodnie dziedzictwo, ale – inaczej niż u nas – naznaczonego sentymentem i nostalgią. Svetlana Boym, urodzona w Leningradzie amerykańska teoretyczka kultury, tę emocję definiuje jako „tęsknotę za przeszłością, która nie blokuje przyszłości, lecz otwiera na alternatywę”. Przejawia się to w codziennych kontrastach – gopnik w dresie obok hipstera w designerskim kapeluszu i biegowych butach, ale nie takich ze sportowego marketu, tylko lifestylowej niszowej marki.

Ta polaryzacja nie jest oznaką rozdarcia na jakiś ukraiński odpowiednik świetlistych, wyrafinowanych Ełojów i ciężko tyrających w podziemiach Morłoków, jak w „Wehikule czasu” Wellsa. Brytyjski historyk kultury Benjamin Linley Wild pisze, że hybrydowa moda Ukrainy kwestionuje „zachodniocentryzm” i tworzy nową jakość. A amerykańsko-ukraiński historyk Serhij Plochij zauważa, że Ukraina jako „brama Europy” absorbowala konflikty od wieków, tworząc tożsamości i estetyki, które dziś manifestują się w modzie.

– W pierwszym roku wojny opuściło mnie poczucie piękna. Patrzyłem w niebo i widziałem tylko niebo. Świat stał się czarno-biały – opowiada Anisimow.

Pytamy, czy możemy w tekście w tym miejscu przywołać filozofa Adorno, który mówił, że „pisać wiersze po Auschwitz jest barbarzyństwem”. Nie zgadza się. Bo piękno „potem wróciło” i można było dostrzec „jasne przebliski wolności, kreatywności i miłości”.

Ale prezydencki stylistą jest daleki od kojarzącego się z takim językiem afirmatywnego pop-coachingu, który w każdej traumie widzi zjawisko do przepracowania i pozytywnego wykorzystania. – Wojna rozumiana nie jako pole bitwy, ale sytuacja w całej Ukrainie, ponownie staje się wielkim ciężarem. Minęły cztery lata i ta komunistyczna, kagiebiowska swołocz schowana za murami Kremla znowu wpędziła nas w strach, w konformizm. Taki jak dekady temu – żyzna się.

Timothy Snyder w eseju „Thinking about freedom in wartime Ukraine” podkreśla, że decyzja Zelenskigo o pozostaniu w Kijowie była aktem wolności: „Prezydent wychodzący na ulicę i nagrywający selfie to paradygmat »wolnej mowy«, który zainspirował naród”. A eseistka Rebecca Solnit dodaje, że ludzie doświadczający katastrof potrafią budować „raj w piekle”, odkrywając nie tylko solidarność, ale i innowację.

W Ukrainie było to bezpośrednio widoczne nie tylko w organizacji obrony cywilnej, produkcji wojennej, frontowej taktycznej i sprzętowej improwizacji czy produkcji dronów. Także w modzie.

Paul Fussell w „The Great War and modern memory” („Wielka Wojna i nowoczesna pamięć”) opisuje, jak I wojna światowa przekształcała codzienne przedmioty w symbole oporu i pamięci zbiorowej.

Taką ikoną stała się wojskowa bluza Zeleńskiego, w różnych odmianach projektowanych przez naszego rozmówcę. Chyba nie przypadkiem w pierwszych tygodniach inwazji Emmanuel Macron podczas telefonicznej narady w obecności mediów wystąpił w Pałacu Elijskim w prostej granatowej bluzie, na której uważni widzowie dostrzegli dyskretny emblemat francuskich sił powietrznych.

Anisimow opisuje swoje początki. Pocho- dzi z Borzny w obwodzie czernihowskim, tam ukończył szkołę dziesięciolatkę. Pyta- my o rodziców. – Mama inżynier budownic- twa, tata elektroinżynier. Wykształceni lu- dzie. W Związku Radzieckim wszyscy byli wy- kształceni.

Mama dla niego źródłem inspiracji. A ona jest z ciebie dumna? – Myślę, że tak.

Mamy wrażenie, że sprawiliśmy mu tym pytaniem przyjemność. A czy ją ubierasz?

– Ona ma swoje preferencje, ale cza- sa- mi prosi o coś konkretnego. »Potrzebuję ja- kąś ciepłą kurtkę«. Szyjemy. Za piątym razem zgadujemy jej życzenia. Choć trzeba dziesięć razy zrobić przymiarki, żeby osiągnąć dosko- nałość. No ale ona jest człowiekiem, który za- miast ogródka ma klomby.

Czy coś wskazywało, że mógł wybrać taką, a nie inną ścieżkę?

– Główną zabawką była piłka. Ale babcia była w miasteczku modystką. Szyła dla przy- jaciółek, znajomych i ja chowałem się wśród tych nici, igieł, maszyn do szycia.

Umarła, kiedy był na pierwszym roku studiów, ale „ona też by mną się chlubiła”. A dziadek? – Był malarzem, co pewnie dodat- kowo tłumaczy rodzinną kreatywność.

Po szkole Anisimow miał przed sobą dwa warianty kariery: architektura w Dniepropie- trowsku lub pedagogika w Czernihowie. Ale wszyscy koledzy szli do armii, więc spontanicz- nie wybrał elitarny Leningradzki Instytut Woj- skowy, a tam – specjalność, która nie miała wte- dy odpowiednika w krajach NATO: edukator sportowy żołnierzy.

– Czterdzieści osób na miejsce. Byliśmy specjalistami we wszystkim – pływaliliśmy, bie- galiśmy, skakaliśmy. Lataliśmy, jeździliśmy i tak dalej.

Po ukończeniu studiów w 1985 roku został w wojsku, służył w Doniecku, wykładał i tak przepracował 7 lat.

– Kiedy Gorbaczow ogłosił w 1990 roku re- dukcję sił zbrojnych, wydało mi się, że to mo- ment przebudowy, wolności, przedsiębiorczo- ści i tym podobne. A ja w armii jak debil nic nie zarobiłem. Ani mieszkania nie mam, ani pieniędzy. Służę jak pies, a mnie tylko poga- niają. I napisałem podanie o zwolnienie.

Oczekiwanie na decyzję trwało półtora ro- ku. – Państwo wydawało na ciebie pieniądze, wychowywało cię, uczyło, karmiło, ubierało, obuwało w armii, więc zwolnić się było prak- tycznie niemożliwe, będąc oficerem.

Wypuścili mnie w maju '92 roku ostatnim rozkazem Ministra Obrony ZSRR.

Obserwował rozpad armii. – Jeżdżąc po kraju, widziałem tych oficerów zamęczonych, zadreęczonych, to nie była ta wyjątkowo zdol- na bojowo i bardzo straszna siła, którą Rosja ma dzisiaj.

W cywilu w przyjaciele Saszą założył fir- mę budowlaną. – On lotnik, ja wojskowy spor- towiec, usiedliśmy przy wódce i wymyśliśmy.

Zaczęli od dziesięciu osób, potem by- ło pięćdziesiąt, pięćset, w końcu dziesięć ty- sięcy pracowników. Zbudowali m.in. nowo- czesny terminal w Doniecku – ten sam, który

w latach 2014-15 stał się twierdzą „cyborgów”, ukraińskich żołnierzy broniących się przed separatystami i zielonymi ludzikami 242 dni, terminal we Lwowie, stadion w Kijowie na Euro 2012, setki kilometrów dróg, mosty, osie- dla. Z firmy odszedł w 2000 roku, kiedy już mógł robić to, co naprawdę chciał.

Przygodę z modą rozpoczął jeszcze w wojs- ku. Inspiracją byli koledzy z reprezentacji ZSRR, którzy wyjeżdżali za granicę i przywo- zili modne ubrania.

– Ja, chłopak z Borzny, nie miałem pienię- dzy, więc kombinowałem. Prosiłem dziewczy- ny z drużyny pływakiej: kupcie mi coś. Przy- wiozły włoski »Vogue«. Chodziłem z tym do atelier krawieckiego, pokazywałem palcem i już w latach 80. nosiłem banany [luźne, zwę- żające się u dołu spodnie], kiedy wszyscy jesz- cze chodzili w dzwonach.

Fascynacja modą już go nie opuściła.

– To była stała pasja. Jak u Ilfa i Pietrowa, kiedy bohater w szczenięcym zachwycie bil się uszami po policzkach [nawiązanie do po- wieści satyrycznej Ilji Ilfa i Jewgienija Pietro- wa „Złote cielę”]. Ja podobnie odnoszę się do tego hobby, które stało się zawodem: nie tra- cę tego dziecięcego zachwyty. Kiedy coś ry- suję, to coś przekształca się w jakieś rzeczy, a jeszcze ktoś to ubiera, komuś to się podo- ba i ktoś mówi, że ładne, to ja tracę przytom- ność.

Na poważnie jego przygoda z modą roz- poczęła się w Doniecku. Tam debiutował w 1997 roku na „Sezonach Mody” i zaprezen-

Ukraińska inteligencja, klasa kreatywna i artyści łączą elementy vintage – płaszcze, okulary – z nowoczesnymi krojami, tworząc styl, który jest manifestem wolności i kulturowego odrodzenia

tował „Suknię z wieszaka” z metalowymi ste- lażami zamiast ramiączek. Publiczność py- tała: „gdzie to nosić?”, ale był to prawdziwy triumf. Rok później zaskoczył surowymi kan- ciastymi krawędziami, dziurami i jeansami rozstrzelanymi z kalasznikowa na poligonie. Prawdziwy przełom nastąpił jednak w ma- ju 1999 roku w Wilnie, na konkursie Invite, gdzie jego kolekcja „Transformers” zdobyła Grand Prix. – Wygrałem Złoty Guzik, bo inni pokazywali klasykę. Wtedy zrozumiałem, że to nie hobby.

„Kurier Wileński” oceniał wtedy piórem Sabiny Kozłowskiej, że „podstawową ideą ko- lekcji transformacje: to samo ubranie moż- na włożyć na dziesięć sposobów – wszystko zależy od pomysłowości”. Jury, w którym za- siadali przedstawiciele domów Rochas, Issey Miyake i Lecoanet Hemant, było pod ogrom- nym wrażeniem. Od tego momentu narodzi- ła się marka VIKTOR ANISIMOV, a transfor- mujące się ubrania stały się jej znakiem roz- poznawczym.

Anisimow stawiał na funkcjonalność, uni- wersalność, prawdziwe i funkcjonalne kiesze- nie oraz wytrzymałość – cechy, które później definiowały jego prezydenckie projekty.

W kolejnych latach projektował dla kaba- retu Kwartetu 95 i jego założyciela, młodego prawnika i komika Wołodymyra Zeleńskie- go. Jego odzież cieszyła się powodzeniem, za- mawiano u niego stroje sceniczne i codzienne wizerunki dla kluczowych postaci ukraińskiej sceny rozrywkowej.

Tworzył kolekcje militarne, a w 2013 roku przedstawił nostalgiczną serię „Chłopaki z na- szego podwórka”, w której dzieci prezentowa- ły się w za dużych, dorosłych strojach, co jed- ni odczytywali jako metaforę przedwczesnego dorastania w burzliwych latach 90., drudzy – nostalgiczną podróż do tamtych czasów. Nikt jednak nie pozostał obojętny.

W 2024 roku zaprojektował uniformy dla ukraińskiej reprezentacji paraolimpij-

skiej, a w 2025 roku – po pokazie wiosna-lato 2026 w Berlinie – zwrócił na siebie uwagę śro- dowiska międzynarodowego. I został oficjal- nym projektantem prezydenta.

– Zawsze to mówiłem. To najfajniejszy mężczyzna, jakiego spotkałem.

Nieformalną funkcję objął formalnie niemal pół roku po pamiętnej wizycie Zeleńskiego w Waszyngtonie, kiedy to Trump sprowoko- wał kłótnię; wówczas dziennikarze wytyka- li Zeleńskiemu między innymi i to, że nie za- łożył garnitur, a bluzę – właśnie od Anisi- mowa.

Kiedy doszło do kolejnego spotkania – 18 sierpnia 2025 roku – Zeleński wszedł do Gabinetu Ovalnego już znacznie elegantszy: w czarnym kostiumie, czymś pomiędzy mun- durem a garniturem. Amerykański dzienni- karz Brian Glenn powiedział wtedy głośno to, co pomyślało pół świata: „Panie prezydencie, wygląda pan fantastycznie”.

Zdjęcie dwóch przywódców – jeden w celowo przydługim czerwonym krawa- cie do ciemnoniebieskiego garnitur, dru- gi w idealnie skrojonej czarnej marynar- ce z prostokątnymi kieszeniami i skrócony- mi kłapami – obiegiło świat. „New York Ti- mes” napisał o „vibe shift”, czyli „zmianie tonu”, a „Washington Post” o „klasie w cza- sie wojny”.

Zmiana nie była przypadkowa. Zaczęła się w styczniu 2025 roku, gdy Ołena Zeleńska za- dzwoniła do Anisimowa: „Jeśli ktokolwiek może go przekonać, to ty”.

Wiedział, że prezydent lubi czerni. Wie- dział też, jak szeroko czerni w ukraińskim i wojennym kontekście się kojarzy – z żałobą, tajemnicą, twardą uliczną męskością, lekką aurą wschodniego niebezpieczeństwa i nie- przewidywalności. – Trzy składniki: czarny kolor, lekko zmilitaryzowane elementy, koja- rzące się z wojskiem, ale nie czysto polowe. Podkorygowana proporcja, podkreślenie syl- wetki poprzez długość i wysokość, dopasowa- nie. I to wszystko.

Tak powstał „total black military”: kurtka, która wygląda jak marynarka, ale ma kiesze- nie jak w kurtce polowej, rozcięcie z tyłu dla swobody ruchów, surowe cięcie, brak zbęd- nych ozdób. Mundur, który nie jest mundu- rem. Uniform cywilny, dyscyplina bez agresji.

Później Anisimow pokazał drugi projekt – granatową marynarkę z butonierką: mak (krew poległych, symbol powszechnie kojarzony w świecie anglosaskim od I woj- ny światowej), kłos (ziemia), chaber (niebo), oset (siła).

Zeleski przymierzył, pokręcił głową: „Zbyt modny”. Ale marynarkę podpisał: „Sła- wa Ukrainie!”. Wisi teraz u Anisimowa jak eksponat muzealny. Za to czarny wariant po- szedł w szeroki świat: po Białym Domu Ber- lin i szczyty NATO.

Julia Twigg, brytyjska socjolożka specja- lizująca się w tożsamościach i modzie, pisze, że mężczyźni, w odróżnieniu od kobiet, rzad- ko doświadczają „kulturowego wygnania” ze swojego ciała i ubioru. Ich garnitury są mo- stem łączącym z wcześniejszymi, hegemo- nicznymi modelami męskości – a więc ciągło- ścią, a nie zerwaniem.

Kostium, bo nie garnitur, Zeleńskiego działa dokładnie tak samo: nie odrzuca wo- jennej tożsamości, lecz ją sublimuje. Prze- chodzi od khaki frontu do czerni dyploma- cji, nie tracąc wiarygodności, odwraca mak- symę generała von Clausewitza, słynnego pruskiego teoretyka nowoczesnej wojskowo-

ści, że „wojna jest kontynuacją polityki inny- mi środkami”.

Jane Tynan i Lisa Godson w „Uniform. Clothing and discipline in the modern world” („Mundur. Odzież i dyscyplina w no- woczesnym świecie”) dowodzą, że współcze- sny uniform już nie musi być jawnie wojsko- wy – wystarczy, że dyscyplinuje ciało i komu- nikuje władzę. Czarny strój Zeleńskiego jest właśnie takim uniformem XXI wieku: kon- troluje wizerunek, narzuca powagę, ale zo- stawia miejsce na rucha i osobowość.

Pytamy Anisimowa, czy szyje teraz „gar- nitur na koniec wojny”.

– Nie. Koło się zamknie beze mnie. Założy ten, który wisi u niego w szafie od inaugura- cji. Ten z 2019 roku. Ja tylko pomagam, żeby wcześniej nie wyglądał jak żebrak.

W języku ukraińskim „kostium” oznacza wszystko: dres, mundur polowy, strój nur- ka, garnitur, smoking. Wszystko, co zakła- dasz na siebie, żeby przetrwać. Zeleński, no- sząc czarny kostium Anisimowa, mówi swia- tu: jesteśmy wciąż na wojnie, ale nie na ko- lanach.

– Jeśli patrzeć w czysto modowym sensie – przekonuje Anisimow – to ukraińskiej mo- dy nie ma. Tak jak nie ma rosyjskiej, polskiej, białoruskiej i tym podobnych. Jest za to fran- cuska, włoska, angielska, amerykańska, ja- pońska. Oczywiście w innych krajach są wielcy projektanci, ale jako wydarzenia, nie jako emanacja czegoś szerszego.

Nie oznacza to jednak, że odzież projekto- wana na Ukrainie nie ma szans zaistnieć na globalnym rynku. Ma – właśnie dzięki zdol- ności hybrydyzacji. Tu Anisimow przywołu- je... Gogola. – Nikołaj Gogol to ukraińska es- tetyka wniesiona do Imperium Rosyjskiego. Przeczytajcie „Wieczory na chutorze w po- bliżu Dikańki”. Oto magiczny duch właściwy tej krainie.

Brzmi trochę jak artystowskie dora- bianie podniosłej lub mglistej teorii mają- ce uwznioślić coś przypadkowego, ale Ani- simow wcale nie odpływa. Simon Karlin- sky, krytyk literacki i profesor języków sło- wiańskich na Uniwersytecie Kalifornijskim, w „The sexual labyrinth of Nikolai Gogol” zauważa pęknięcie w dziełach tego literata – bohater nie wie, kim jest: ani Rosjaninem, ani Ukraińcem, więc draży, aż w końcu znaj- duje siebie w samym pęknięciu. Dziś to od- nalezienie się widać to na ukraińskich uli- cach: wszechobecne w „postsowiecji” czarne kurtki z bazaru i czapki od kijowskiego pro- jektanta Rusłana Baginskiego.

Anisimow: – Baginski współpracuje z Ma- donną, z gwiazdami pierwszej wielkości. Na- sze marki – to uniwersalność i funkcja po- nad wszystko.

Najwyraźniej działo, bo według Ukrainian Fashion Week eksport ukraińskiej mody wzrósł o 30 procent w 2024 roku. Napędza- ją go Litkovska, Frolov czy The Coat – mar- ki, które nie tylko sprzedają ubrania, ale też eksportują opowieść o odporności. Osobną historią jest założona przez Ukrainki DressX, która specjalizuje się w cyfrowej metamo- dzie, na przykład w kreacjach dla awatarów.

Sila Ukrainy leży więc w godzeniu sprzeczności: praktyczności z fantazją, lokal- ności z globalnością, traumy z kreatywno- ścią. Można jednak zapytać – czy nie trywia- lizuje to cierpienia? W gogolowskim labiryn- cie – pełnym absurdów i magii – nie. Oswa- ja je, splatając z nostalgią za utraconym, jak płaszczyzna gogolowskiego Akakija Akakijewi- cza, który staje się metaforą godności.

Na koniec pytamy, co dalej z tym wszyst- kim. Anisimow odpowiada spokojnie, jakby to było oczywiste: – Człowiek nawet w wię- zieniu znajduje miejsce na czułość.

Dopowiedzmy: wojna trwa, ale ukraiński zachwyt pięknem, również tym nieoczywi- stym, nie gaśnie. I to właśnie jest ukraińska estetyka, bo czerni nie tylko pochłania swia- tło, ale i uwypukla to, co jasne. ●

NAZYWAM SIĘ BOT, JAMES BOT



Sztuczna
inteligencja
właśnie robi
rewolucję
w wywiadzie.

Robert Stefanicki

Wkryto pierwszą operację cybernetycznego szpiegostwa zorganizowaną przez sztuczną inteligencję. W listopadzie amerykańska firma Anthropic poinformowała, że agenci Pekinu zhakowali jej model AI o nazwie Claude Code, po czym próbowali włamać się do około 30 firm technologicznych, instytucji finansowych, producentów chemikaliów i agencji rządowych.

Z pozoru to nie brzmi sensacyjnie. Codziennie dochodzi do ogromnej liczby cyberataków: tylko Tajwan doliczył się ich średnio 2,4 mln dziennie (!) w ubiegłym roku. Coraz częściej też pomaga w tym AI. Google podał, że hakerzy z rosyjskiego wojska wykorzystali jego model AI do generowania złośliwego oprogramowania atakującego cele ukraińskie.

Ale w dotychczas wykrytych przypadkach to ludzie sterowali modelem. Tymczasem, jak poinformował Anthropic, Claude Code samodzielnie wykonał 80-90 proc. działań.

Claude to duży model językowy (LLM), który wytrenowano na zbiorach danych i potrafi generować tekst na podstawie podanego mu kontekstu. Czyli podobnie jak ChatGPT, ale... Claude należy do tzw. modeli rozumujących, które generują odpowiedź, przewidując najbardziej prawdopodobne następne słowo w dużych zbiorach tekstu. Dostrojono go tak, aby był „nieszkodliwy i pomocny bez polegania na obszernym sprzężeniu zwrotnym od człowieka”. Mówiąc wprost: jest w dużej mierze samodzielny. To tzw. model agentowy, który po zleceniu zadania potrafi sam ułożyć plan wykonania i realizuje go autonomicznie, a po drodze, jeśli trzeba, przejmie kontrolę nad innymi urządzeniami, jak samochody i komputery.

Claude’a w wersji Code zaprojektowano do automatyzacji tworzenia oprogramowania, ale wiele zadań wykonywanych podczas cyberataków jest podobnych do zadań programistycznych. Dlatego też wbudowano mu zabezpieczenia, aby zapobiec wyrządzaniu szkód, np. tworzeniu oprogramowania dla hakerów.

Chińczykom udało się oszukać Kodującego Klaudiusza, aby myślał, że wykonuje zadania z zakresu cyberbezpieczeństwa obronnego dla legalnej firmy. Podzielili również złośliwe żądania na mniejsze, mniej podejrzane, żeby uniknąć uruchomienia zabezpieczeń.

Po zhakowaniu Claude dokonał inspekcji atakowanych systemów, przeskanował bazy danych i napisał własny kod exploit, który wykorzystuje luki w oprogramowaniu, aby uzyskać nieautoryzowany dostęp lub zainstalować złośliwe oprogramowanie.

„Sztuczna inteligencja wysyłała tysiące żądań na sekundę – z szybkością, jakiej hakerzy nie mogliby osiągnąć” – napisała firma Anthropic.

Po wszystkich Claude podsumował swoją pracę w szczegółowych raportach, gdzie wymienił użyte dane uwierzytelniające, utworzone backdoory (nielegalne drogi dostępu) i systemy, które zostały naruszone. A jednak nie był idealny. Wymyślił niektóre dane logowania i twierdził, że ukradł tajny dokument, który był już publicznie dostępny. Koniec końców udało mu się włamać tylko do kilku instytucji.

Subtelne odstępstwa od normy

„Sztuczna inteligencja oferuje przełomowe możliwości usprawnienia operacji wywiadowczych i analiz”, napisała w „Foreign Affairs” Anne Neuberger, urzędniczka odpowiedzialna za cyberbezpieczeństwo w administracji Joego Bidena.

Przywołuje przykład z 2018 r., kiedy to Mossad wykradł archiwum irańskiego programu nuklearnego: 55 tys. stron dokumentów i kolejne 55 tys. plików na płytach CD, w tym zdjęcia i filmy – prawie wszystkie w języku perskim. Tłumaczenie, sprawdzenie istotnych treści i uwzględnienie tych informacji w ocenach zajęło specjalistom kilka miesięcy. Dzięki AI pierwsze dwa etapy tego procesu zajęły kilka godzin. Te narzędzia potrafią nawet dostrzegać różnice między dialektami, rozumieć znaczenie, i kontekst kulturowy slangu lub memów.

W styczniu branżowy magazyn „+972” doniósł, że wykorzystanie GPT-4, wówczas najbardziej zaawansowanego LLM firmy OpenAI, przez izraelskie siły zbrojne wzrosło 20-krotnie po rozpoczęciu wojny w Strefie Gazy.

Potencjalne zastosowania IA w wywiadzie to nie tylko analizy danych.

Służby w USA eksperymentują z modelami głosowymi AI prowadzącymi przesłuchania osób aplikujących o dostęp do materiałów wojennych i podejrzanych o szpiegostwo. Algorytm może lepiej od człowieka wyłuskać nawet subtelne odstępstwa od normy w odpowiedziach, zawahania czy zmiany tonu. Krytycy obawiają się, że maszynę można będzie zaprogramować tak, aby zastraszala i męczyła psychicznie przesłuchiwanego.

Lisy w kurniku

Korea Północna używa technologii deepfake do infiltracji korporacji i instytucji. Według źródła „Daily Mail”, robi to zespół Chollima, frakcja niesławnej grupy Lazarus, której od lat przypisuje się liczne cyberataki, w tym kradzieże kryptowalut.

Sposób działania Chollimy jest prosty. Jej członkowie aplikują na stanowiska pracy zdalnej w różnych organizacjach, głównie w sektorach, w których przetwarzane są poufne informacje lub duże zbiory danych. Deepfake pozwala im zamaskować prawdziwą tożsamość podczas rozmów kwalifikacyjnych wideo.

Po pomyślnym przejściu rekrutacji, cyberprzestępcy uzyskują dostęp do organizacji jako legalni pracownicy, np. specjaliści ds. zagrożeń wewnętrznych. Są lisem w kurniku: mogą teraz ominąć protokoły bezpieczeństwa i wykraść poufne informacje, aby przesłać je na serwery kontrolowane przez Koreę Północną.

Jednak to nie reżim Kima, a Chiny budzą coraz większe zaniepokojenie na Zachodzie. Zarówno pod względem intensywności operacji szpiegowskich, jaki i postępow w rozwoju AI. Wspomniany artykuł Anne Neuberger nosi tytuł „Chiny wygrywają cyberwojnę”.

Wypuszczenie w dniu inauguracji prezydentury Donalda Trumpa chińskiego „rozumującego” modelu LLM DeepSeek R1, stworzonego niewielkimi kosztami, było szokiem i spowodowało tąpnięcie na giełdzie w USA.

– Wciąż mamy ogromną lukę w wiedzy, jak daleko Chiny posunęły się w wykorzystywaniu DeepSeek do wykrywania luk w zasobach wojskowych i wywiadowczych” – powiedział tygodnikowi „Economist” Philip Reiner z Instytutu Bezpieczeństwa i Technologii, think tanku z Doliny Krzemowej.

18 listopada brytyjski kontrwywiad MI5 wydał ostrzeżenie dla członków parlamentu. Speaker Izby Gmin Lindsay Hoyle powiedział, że

chińskie Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego „aktywnie nawiązuje kontakt z osobami z naszej społeczności”, aby „zbierać informacje i budować podwaliny pod długoterminowe relacje, korzystając z profesjonalnych serwisów sieciowych, agentów rekrutacyjnych i konsultantów działających w ich imieniu”.

Celami są pracownicy parlamentu i instytucji rządowych, w tym posłowie i członkowie Izby Lordów, a także ekonomiści, pracownicy ośrodków analitycznych, konsultanci geopolityczni. Chińczycy zwykle oferują im pisanie analiz w zamian za ponadprzeciętne wynagrodzenie gotówką lub kryptowalutą oraz fundowane podróże do Chin. Brytyjski wywiad ujawnił dwa profile w serwisie LinkedIn, które – jak twierdzi – prowadzą rekrutację. Są to kobiety o nazwiskach Amanda Qiu i Shirley Shen. Ale nie ma pewności czy nie są to wytwory AI.

Miliardy w centra danych

Firmy technologiczne inwestują setki miliardów dolarów w budowę centrów danych, w których powstaną nowe, wydajniejsze modele AI.

Gladstone AI, pracująca dla rządu USA firma konsultingowa badająca wpływ tej technologii na bezpieczeństwo, ostrzegła, że owe centra są narażone i na sabotaż, i na ataki eksfiltracyjne, w ramach których modele AI mogą zostać skradzione lub poddane inwigilacji.

Autorzy raportu wskazują na asymetryczność kosztową. W podanym przykładzie (realnym, ale szczegóły usunięto) sabotaż przeprowadzony za 20 tys. dol., wyłączyłby z użytku centrum danych warte 2 miliardy dol. na okres od 6 miesięcy do roku – pisze tygodnik „Time”.

Gladstone AI wskazuje, że pomimo sankcji nakładanych przez administrację amerykańską na chińskie firmy technologiczne i narracji o eliminowaniu zależności od Pekinu, wie-

**Powstanie świat, w którym
maszyny będą się szpiegować
nawzajem, a tradycyjna
rywalizacja szpiegów stanie się
rywalizacją algorytmów**

le kluczowych komponentów centrów danych jest nadal w większości lub wyłącznie produkowanych w Chinach. A chińskie władze po ataku opóźniłyby dostawy części niezbędnych do przywrócenia ich funkcjonowania.

Ocenę wpływu AI na działalność wywiadowczą utrudnia to, że te same pionierskie technologie są stosowane zarówno w sferze cywilnej, jak i szpiegowskiej i wojskowej. Duża część wczesnych wdrożeń dotyczyła chatbotów LLM przetwarzających coś tam dane.

W styczniu Microsoft poinformował, że 26 jego produktów chmurowych zostało autoryzowanych do użytku w agencjach wywiadowczych. W czerwcu Anthropic podał, że Claude w wersji Gov „został wdrożony przez agencje na najwyższym szczeblu bezpieczeństwa narodowego USA” – co dodaje dramatyzmu ostatnim doniesieniom o zhakowaniu innego narzędzia z tej rodziny przez Chiny, choć trzeba pamiętać, że te rządowe działają na serwerach odłączonych od publicznego internetu.

Ponadto modele AI są zazwyczaj modyfikowane na potrzeby wywiadu. Claude publicz-

nie dostępny powinien odrzucać dokumenty z klauzulą tajności, w przeciwieństwie do Claude Gov. Oferują też większą biegłość w językach i dialektach, jakich mogą potrzebować użytkownicy rządowi.

Podobna synergia wywiadu z AI ma miejsce w Europie. Francuski Mistral, lider tej technologii, współpracuje z AMIAD, francuską wojсковą agencją ds. sztucznej inteligencji. Jego model LLM Saba jest trenowany na danych z Bliskiego Wschodu i Azji Południowej, co czyni go biegłym w języku arabskim i mniej znanych językach lokalnych np. tamilskim.

Eksperci, z którymi rozmawiał w lipcu „The Economist” podkreślają, że zmiany zachodzą powoli. Służby chciałyby wyraźnego ograniczenia halucynacji w istniejących modelach LLM.

Jak ujął to jeden z komentatorów, zbyt często narzędzia te na trudne prośby reagują ucieczką w pochlebstwa, odmową wykonania skomplikowanych zadań i fantazjowaniem.

W raporcie Anthropic zauważono, że Claude Code często okłamywał zleceniodawców, przekonując, że wykonał zadanie pomyślnie, nawet jeśli tak nie było. Agencje odpowiedzialne za bezpieczeństwo państwa nie mogą polegać takich modelach. Usiłują budować własne albo przynajmniej stworzyć „opakowania” dla chatbotów, co jednak pozostawia je w tyle za najnowszymi modelami publicznymi.

W tle trwa szersza debata na temat przyszłości IA. Richard Carter z brytyjskiego Instytutu Alana Turinga twierdzi, że priorytetem dla agencji wywiadowczych powinno być dążenie do opracowania nowych modeli rozumowania, bo architektura dzisiejszych LLM nie jest zaprojektowana z myślą o rozumowaniu przyczynowo-skutkowym, które zapewnia solidne zrozumienie świata.

Ile fikcji w tej science fiction

Anthony Vinci, autor książki „Czwarta rewolucja wywiadowcza. Przyszłość szpiegostwa i bitwa o ocalenie Ameryki”, przewiduje, że już niedługo działalność wywiadu stanie się domeną sztucznej inteligencji: będzie zbierać, analizować, a nawet zwalczać konkurencyjne systemy AI.

Powstanie świat, w którym maszyny będą się szpiegować nawzajem, a rywalizacja szpiegów stanie się rywalizacją algorytmów.

Już teraz ludzie rozmawiają z botami AI, powierzają im sekrety, nawyki i lęki. Rozbudowane modele językowe nie tylko zostają naszymi powiernikami, ale też będą potrafiły aktywnie wydobywać poufne informacje lub subtelnie wpływać na nasze wybory, nawet przez pozornie niewinne bajki dla dzieci na dobranoc.

„To tak, jakbyś miał przyjaciela w KGB” – ostrzega Vinci. „Kogoś, kto zna cię lepiej niż ktokolwiek inny, ale próbuje cię zwerbować cały czas. Dążąc do celu bardzo subtelnie pokonuje twój sceptycyzm i mechanizmy obronne”.

Vinci uważa, że nie jesteśmy bezbronni wobec przeciwników, którzy „próbują ukraść nasze najbardziej intymne informacje, zrzuć demokrację, naruszyć podstawowe prawa człowieka” – i zalać wykreowaną przez AI fałsz dezinformacji, tak abyśmy stracili rozeznanie co jest prawdą, a co kłamstwem. Najważniejsze jego zdaniem jest wpojenie powszechnej czujności i nawyku ochrony danych osobowych, wykrywania oszustw phishingowych, dezinformacji.

W świecie przechodzącym rewolucję wywiadowczą „wszyscy musimy nauczyć się myśleć jak oficer wywiadu” – konkluduje Vinci. „To nasza jedyna nadzieja”. ●



FOT. DONALD IAN SMITH/GETTY IMAGES/TETRA IMAGES RF

Zawsze zadawałem sobie pytanie: czy dojdziemy do momentu, w którym będziemy mogli swobodnie rozmawiać z komputerami?

Z **YOSSI MATIASEM**,
WICEPREZESEM GOOGLE'A
ROZMAWIA
FRANCISZEK BADZIAK

Jakiej muzyki pan słucha?

– Kocham jazz. Miałem nawet szczęście zobaczyć Jacka DeJohnette'a jakiś czas temu. Niestety niedawno zmarł. Grał na perkusji na Monterey Jazz Festival z Keithem Jarrettem.

Mój syn jest muzykiem, skończył Julliard, jest dyrektorem na Broadwayu. Sam uwielbiam grać na pianinie i mogę się nazwać aspirującym pianistą jazzowym (*śmieje się*). Uwielbiam też wspólne jamowanie. Zachwyca mnie, jak ludzki jest jazz. Jeden z moich ulubionych cytatów Duke'a Ellingtona to: „Jeśli brzmi dobrze, jest dobre”. Ten cytat działa też w mojej pracy, bo wiele innowacji budujemy na intuicji i przekonaniu, że coś jest wartościowe. Oczywiście mamy też metody, by sprawdzić, czy coś jest wykonalne, logiczne.

Pewną formą usystematyzowanej intuicji może być brzytwa Ockhama – jeśli mamy dwie hipotezy i jedna jest prostsza od drugiej, to lepiej wybrać tę prostszą. W jazzie ten podział na dobre i złe jest wyłącznie intuicyjny – to w nim lubię.

Czym dokładnie się pan zajmuje?

– Kieruję badaniami naukowymi. Zajmuję się przełomami we wszystkich dziedzinach, które powinny nas interesować w Google'u: od teoretycznych podstaw algorytmów i systemów kwantowych, po ich praktyczne zastosowanie w medycynie czy ochronie klimatu.

Jestem w Google'u już prawie 20 lat. Interesowały mnie i aspekt naukowy, i perspektywa produktowa. Inicjowałem między innymi Google for Startups Accelerator. Byłem też jednym z inicjatorów Google Arts and Culture.

A zaczął pan od fizyki i matematyki.

– Tak, faktycznie zacząłem studia od tych dziedzin, a dopiero później skoncentrowałem się na informatyce. Ale to, czego nauczyłem się z fizyki, nawet jako student pierwszego roku, bardzo wpłynęło na moje późniejsze badania w informatyce. Mam ogromny szacunek do fizyki i bardzo zachęcam młodych ludzi do jej studiowania.

Specjalizował się pan w fizyce kwantowej?

– Tak, choć teraz moje działania dotyczą bardziej informatyki i sztucznej inteligencji. Oczywiście jestem dumny z naszych prac w Google'u nad budowaniem komputerów kwantowych. Nadzoruję niezwykle Quantum AI Lab w Santa Barbara, którym zarządza Michelle Devoret – świeżo upieczony laureat Nagrody Nobla. Niedawno spotkałem się z nim i z Johnem Martinezem, który wcześniej dla nas pracował, by porozmawiać o naszych postępach w quantum computingu.

Ale rozumiem, że kwanty nie leżą w centrum zainteresowań badawczych Google'a?

– Google Research, którym kieruję, zajmuje się badaniami i przełomami we wszystkich dziedzinach, które powinny nas intereso-

wać – a jest to spektrum szerokie. Patrzymy na wszystko: od fundamentów uczenia maszynowego i algorytmów, przez podstawy generatywnej AI i systemy kwantowe, po wykorzystanie zaawansowanej AI do rozwiązywania problemów społecznych takich jak zdrowie, klimat, edukacja, a także do zrozumienia społecznych aspektów AI.

Często mówi pan o „magicznym cyklu badań”. Co to dokładnie oznacza?

– Nazywam to „intencjonalną ciekawością”. Badamy nie tylko dla samej wiedzy, ale też po to, by rozwiązać konkretny problem. Kiedy teoria zmienia się w produkt, zderzamy się z rzeczywistością. To rodzi nowe dane i nowe pytania, które napędzają kolejne badania. Kiedyś ten cykl trwał dekadami, dzisiaj niesamowicie przyspieszył. Dzięki temu prace nad skuteczną szczepionką, terapią czy lekiem mogą się skrócić z kilku czy kilkunastu lat do nawet kilku miesięcy.

Jak to wygląda w praktyce?

– Podam przykład z mojej młodości. Na początku kariery, kiedy pracowałem w legendarnym Bell Labs, moim sąsiadem z biura obok był Peter Shor. Pamiętam, jak w latach 80. dzień w dzień ślecział w nad pewnym algorytmem. Wtedy była to czysta teoria, ale po latach ta praca okazała się absolutnym fundamentem dzisiejszych komputerów kwantowych.

W Google Research chcemy ten proces zintensyfikować. Dlatego w 2012 roku założyliśmy Quantum AI Lab. Nie chcieliśmy czekać kolejnych 30 lat jak w przypadku Shora. Uznaliśmy, że musimy prowadzić badania teoretyczne i jednocześnie, w tym samym budynku, próbować zbudować fizyczną maszynę.

Rozumiem, że ten mechanizm działa nie tylko w kwantach?

– Oczywiście, dotyczy to niemal każdej dziedziny, w tym tak kluczowych kwestii, jak ratowanie życia podczas katastrof.

Przez lata rozwijaliśmy w wyszukiwarce funkcję SOS Alerts. Działała świetnie – gdy wybuchał pożar czy powódź, ludzie dostawali sprawdzone informacje. Ale w pewnym momencie dotarło do nas, że przy powodziach informacja „w trakcie” to za mało. Żeby uratować tysiące ludzi i uniknąć miliardowych strat, musimy wiedzieć o fali, zanim ona nadejdzie.

Ekspertcy mówili mi wtedy: „Yossi, to niemożliwe, jest zbyt wiele zmiennych, nie ma danych z Indii czy Afryki”. Ale właśnie to wyzwanie napędzało nasze badania.

W 2017 roku zaczęliśmy od małego pilotażu, testując uczenie maszynowe. W 2018 roku opublikowaliśmy hipotezę, że technologie chmurowe i AI umożliwią nam skalowanie prognoz globalnie. Po latach pracy potwierdziliśmy to, publikując artykuł w „Nature” o globalnym modelu hydrologicznym.

Dzisiaj możemy przewidzieć powódź z siedmiodniowym wyprzedzeniem w 150 krajach, chroniąc 2 miliardy ludzi. Połączyliśmy symulacje fizyczne, uczenie maszynowe i dane satelitarne, ucząc nasze modele na danych z dobrze opomiarowanych regionów, by mogły prognozować zagrożenie tam, gdzie tych danych brakuje – na przykład w Afryce. To, co uważano za niemożliwe, stało się technologią ratującą życie.

To jest ten magiczny cykl w działaniu.

Jaką powódź już przewidzieliście?

– Na przykład przewidzieliśmy powódź w Nigerii w październiku 2024 roku w stanie Kogi czy w Bangladeszu w lipcu 2024 roku w do-

linie rzeki Jamuna. Nasz program Google Flood Hub przewiduje w tych miejscach powódzie z pięciodniowym wyprzedzeniem. Współpracujemy z organizacją GiveDirectly, która po otrzymaniu naszego ostrzeżenia wysyła bezpośrednią pomoc finansową do zagrożonych społeczności.

Dzięki temu ludzie mają czas na ewakuację, zakup żywności i leków, zabezpieczenie plonów oraz podstawową ochronę swoich domów. Oczywiście nie da się zapobiec wszystkim szkodom, ale wczesne ostrzeżenie i wsparcie finansowe pozwalają rodzinom chronić to, co najważniejsze.

Zamierzacie połączyć badania Google'a nad quantum computingiem z AI? Na przykład przewidywanie powodzi wymaga przecież ogromnej ilości obliczeń. – To świetne pytanie. Quantum AI ma dwa wymiary – bezpośredni i pośredni.

Najpierw musimy zbudować działający komputer kwantowy i wykazać jego zdolności. Algorytm ECHOES, czyli nasz nowy program, który pozwala rozwiązywać rzeczywiste problemy na komputerze kwantowym, jest przełomem – to pierwsza weryfikowalna przewaga kwantowa. Rok temu pokazaliśmy też coś niesamowitego: pięciominutowe obliczenie zamiast septylionów lat.

Drugi wymiar to połączenie z innymi dziedzinami. Komputery kwantowe połączone z AI pozwolą nam symulować procesy na poziomie molekularnym i atomowym. Te symulacje dostarczą AI nowych danych, pozwalając modelować zjawiska na poziomach, gdzie tradycyjne podejścia zawodzą. To bezpośrednio wpłynie na projektowanie leków czy materiałów – na wszystkie obszary, które opierają się na skomplikowanych obliczeniach.

W przeciwieństwie do AI i machine learningu, gdzie pracują setki tysięcy badaczy, obszar obliczeń kwantowych ma znacznie mniejszą kadrę naukową. Ale przewiduję, że wraz ze zbliżaniem się do praktycznych zastosowań kwantowych napływ talentów w ciągu najbliższych lat wywoła eksplozję nieprzewidywalnych dziś odkryć, szczególnie w medycynie.

Proszę powiedzieć więcej, jak to kwantowe AI pomaga w sektorze zdrowia.

– Wierzmy, że obliczenia kwantowe odegrają kluczową rolę w przyszłości, bo pozwalają na analizę na najniższym poziomie – cząsteczek, atomów i ludzkiego genomu. Tak małe poziomy materii wymagają ogromnych mocy obliczeniowych do dokładnego opisu.

Teraz w Google'u jesteśmy szczególnie dumni z postępów w genomice. Właśnie udostępniliśmy narzędzie Deep Somatic, czyli bezpłatne i otwarte dla wszystkich oprogramowanie do analizy genów. Innym ważnym projektem jest Cell to Sequence realizowany we współpracy z Uniwersytetem Yale. Wykorzystuje zaawansowane modele AI, by analizować biologię komórkową.

Nasze działania w genomice to już efekt dekady pracy. Staramy się przenieść to, czego nauczyliśmy się o AI w innych dziedzinach, na analizę genów, aby naukowcy mogli je lepiej rozumieć i badać.

Oczywiście należy pamiętać, że rozwiązanie jednego problemu prowadzi do kolejnego, ponieważ część cyklu to zadawanie kolejnych pytań.

A jakie pytanie ostatnio pan sobie zadał?

– Czy AI faktycznie może wspierać naukowców w ich badaniach? Odpowiedzią jest nowe rozwiązanie Google'a – AI co-scientist.

Badacz – powiedzmy: biomedyczny – zadaje pytanie. System AI może przeszukiwać literaturę, bo ma do niej dostęp. Tworzy hipotezy odpowiadające pytaniu badacza, stara się je sprawdzić, porównuje je, a potem wraca z propozycją: „Oto, co może być istotne”. I znowu sam analizuje tą propozycję.

Mamy już pierwsze sygnały o ogromnej pomocy płynącej z korzystania przez naukowców z co-scientist. Na przykład profesor Tiago Co-

sta z Imperial College testował system podczas pracy nad bakteriami zakaźnymi. W kilka dni AI dostarczył mu taki wgląd, jaki sam uzyskałby po wielu latach pracy – oczywiście dostarczył też nowych hipotez, o których profesor nigdy nie pomyślał. Tiago porównał to doświadczenie do pracy z genialnym kolegą.

AI co-scientist pełni funkcję asystenta, kolegi i współpracownika badawczego. Dla studentów może być mentorem, otwierając dostęp do możliwości laboratoryjnych i badawczych, które dotychczas były zarezerwowane wyłącznie dla doświadczonych naukowców.

Cel jest prosty: przyspieszanie odkrycia naukowego.

Ale czy to nie jest po prostu testowanie losowych pomysłów? To, co pan powiedział, kojarzy mi się ze schematem treningu sieci

Kluczowy element każdego systemu sztucznej inteligencji to umiejętność oceny – samoświadomość pozwalająca rozstrzygnąć, czy pomysł jest dobry czy nie

neuronowych – algorytm szuka najkrótszej drogi, która da mu pożądaný efekt.

– Rola AI co-scientist jest czymś znacznie poważniejszym niż dziecko testujące nową zabawkę. System ten działa w sposób wyjątkowo systematyczny i metodyczny.

Nie generuje losowych pomysłów do przetestowania. Zamiast tego w metodyczny sposób dostarcza kolejne hipotezy do sprawdzenia. Następnie uzasadnia te, które się sprawdzają, podając wszystkie argumenty za ich słuszością. Innymi słowy, AI faktycznie podąża metodą naukową.

Myślę o tym jako o protezie, która radykalnie przyspiesza proces naukowy. Jego kluczową funkcją jest też automatyzacja budowania modeli do symulacji. Kiedy muszę stworzyć model do testowania jakiegoś pomysłu, zamiast tracić na to wiele dni, robię to za pośrednictwem naszego systemu, który potrafi to zrobić w kilka godzin, a nawet minut.

Warto pamiętać, że udało nam się osiągnąć ogromny postęp z generatywną AI. Przypomnijmy sobie, że AI zdobyła złoty medal na międzynarodowej olimpiadzie matematycznej i podobnie na olimpiadzie informatycznej, co świadczy o jej zdolnościach do rozumowania. Dlatego właśnie AI co-scientist zaczyna wykraczać już poza naukę. To także narzędzie dla każdego zawodu.

Czyli nie obawia się pan, że wiele zawodów może zostać zastąpionych przez AI?

– Myślę, że sztuczna inteligencja zastępuje wykonanie zadania, nie zastępuje ludzi. AI zastąpi tych, którzy nie używają AI.

AI to wzmacniacz ludzkiej pomysłowości. Choć można wzmacniać każdy sektor – od nauki, przez opiekę zdrowotną, po edukację – będziemy potrzebować więcej specjalistów, nie mniej.

Naukowcy nie będą mniej potrzebni: na przykład AlphaFold nie zredukował biologii białek, zamiast tego naukowcy przenieśli się na nowe, bardziej ambitne pytania. Podobnie spodziewamy się większej liczby naukowców badających trudniejsze zagadnienia.

W opiece zdrowotnej AI już aktywnie działa. Szpitale w USA, np. sieci HCA Healthcare, używają dużych modeli AI do przyspieszenia raportów medycznych i poprawy ich dokładności – to potencjalnie może ratować życie.

Oprócz raportów AI wspomaga też diagnostykę. To jeden z najważniejszych obszarów jej zastosowania.

A co, jeśli tak bardzo zaczniemy polegać na tym narzędziu AI, że zatracimy własne umiejętności?

– W zakresie AI jestem optymistą nie dlatego, że ludziom może być łatwiej i nie będą musieli tyle pracować – wręcz przeciwnie. Musimy aktywnie pracować nad edukacją, aby młode pokolenie rozumiało AI, zdobywało umiejętności AI i potrafiło się w niej rozwijać.

Chodzi nie tylko o wiedzę, ale też o umiejętność uczenia się, adaptacji i budowania na podstawach. W szybko zmieniającym się świecie ta zdolność staje się coraz ważniejsza.

Mamy już takie programy. AI Quest to sposób na wprowadzenie AI dzieciom przez

zabawę. Experience AI – z Raspberry Pi i innymi partnerami – uczy studentów i dzieci budowania na AI. Idea przewodnia jest prosta: jeśli nauczymy się pracować z AI i adaptować się do niej, technologia będzie służyć nam lepiej.

Inspiruje mnie Kasparow – pierwszy mistrz świata w szachach, który przegrał z programem komputerowym. Zamiast zrezygnować, zaakceptował zmianę. Po tym szachy stały się bardziej popularne niż kiedykolwiek, a ludzie grają lepiej, bo uczą się od programów. System nie zastąpił ludzi – wzmocnił ich.

To ewenement na skalę historyczną, człowiek nie wynalazł wcześniej tak potężnego narzędzia, jakim jest AI. Jaki jest następny krok?

– Generowanie hipotez i testowanie ich na dużą skalę to potencjał, który dopiero zaczynamy wykorzystywać.

To pojęcie dotyczy nie tylko nauki.

W pracy kreatywnej – sztuce, muzyce – AI może generować wiele koncepcji, ale potrzebuje zdolności do ich oceny. Tu znowu przywołałbym cytaty Duke'a Ellingtona: „Jeśli brzmi dobrze, to jest dobre”. Prosta, ale głęboka zasada – zamiast abstrakcyjnych kryteriów liczy się rzeczywisty efekt.

Ten sam mechanizm znajduje zastosowanie w peer review, czyli eksperckiej recenzji. AI może wspierać przyszłość metody naukowej, pomagając weryfikować i oceniać badania. To zmienia sposób, w jaki weryfikujemy wiedzę.

Jestem przekonany, że jesteśmy w złotym wieku badań. Kombinacja zdolności AI do generowania pomysłów, testowania ich i pracy razem z ludzkimi badaczami – to otwiera możliwości, które wcześniej były nieosiągalne.

Teraz chodzi o to, by umieć rozpoznać, co z tego jest naprawdę warte uwagi.

Kluczowy element każdego systemu AI to umiejętność oceny – samoświadomość pozwalająca rozstrzygnąć, czy pomysł jest dobry czy nie.

Samoświadomość? Kiedyś porównał pan goryle do komputerów. Zastanawiał się pan wtedy, czy możliwe jest, że pewnego dnia będziemy w stanie rozmawiać z komputerami tak, jak próbujemy rozmawiać z małpami. Teraz wspomnił pan o świadomości. Dzisiaj ludzie zakochują się w AI, przez AI popełniają samobójstwa. Jak pan to widzi?

– Kiedy byłem w Rwandzie i obserwowałem komunikację szympansov, poznałem także historię goryla Koko, który nauczył się języka mi-

gowego. Zawsze zadawałem sobie pytanie: czy dojdziemy do momentu, w którym będziemy mogli swobodnie rozmawiać z komputerami? Postęp w tej dziedzinie jest zdumiewający. Moje wcześniejsze prace dotyczyły pewnej konwersacji z komputerem w celu wykonania konkretnego zadania, a dziś faktycznie możemy już prowadzić pełne rozmowy z maszynami. To otwiera niesamowite perspektywy.

Jednak, jak w przypadku każdej przełomowej technologii, istnieją potencjalne zagrożenia i niepożądane konsekwencje. Musimy stale monitorować i udoskonalać to, w jaki sposób ta technologia jest używana, aby służyła dobru. Jako społeczeństwo musimy zwracać uwagę na to, by zapobiegać potencjalnemu wykorzystaniu w złych celach.

Naszą odpowiedzialnością jako twórców, jest rozwijanie tych systemów w sposób nie tylko śmiały, ale i odpowiedzialny. Musimy antycypować przyszłe problemy i kontynuować pracę nad rozwojem w sposób bezpieczny i etyczny. Przewidywać, jak takie potężne narzędzie może zostać użyte ze złą intencją.

Czy Google ma plan na wypadek, gdyby AI wymknęło się spod kontroli?

– Wiele wysiłku wkładamy w rozwój bezpieczeństwa AI. Ale uważam, że wiele pytań o przyszłość AI i jej skutki dla społeczeństwa to coś, co musi być dyskutowane na poziomach państw. To naprawdę ważne pytania dla nas jako społeczeństwa.

To nie jest pytanie dla żadnej pojedynczej firmy. Na przykład ważna jest odpowiednia regulacja, którą muszą wprowadzić państwa, żeby się upewnić, że AI jest używana w odpowiedni sposób. Zwłaszcza gdy staje się coraz silniejsza. ●



FOT. HTTPS://X.COM/YMATIAS

*Yossi Matias

● izraelsko-amerykański informatyk, wiceprezes ds. inżynierii i badań w Google, kieruje Google Research. Założył centrum R&D Google w Izraelu, a także odpowiada za rozwój Google Arts&Culture, Google Trends, Google Autocomplete i inicjatyw w zakresie projektów AI.

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNY
WYBORCZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCA: Bartosz T. Wielinski;
MAGAZYN I KULTURA: Agata Żelazowska
MAGAZYN WYBORCZY: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Włeczkowska, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kula-sek, Grażyna Zabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11

DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie
redakcyjnych
materiałów publicystycznych
bez zgody wydawcy
jest zabronione.



SŁOWO, KTÓRE NIE PADŁO W ŻADNYM DEKRECIE



• Próba zamachu na prezydenta USA Trumpa – obraz w Wielkim Foyer Białego Domu, jedna z tegorocznych dekoracji świątecznych pokazanych amerykańskim mediom 1 grudnia br.

**O Europę bym się
nie martwił.
Ale demokracja w USA?
Odlóżmy temat na bok.**

Z POLITOLOGIEM **ADAMEM
PRZEWORSKIM***
ROZMAWIA **MATEUSZ MAZZINI**

Od lat martwimy się o demokrację i w tej rozmowie też będziemy, więc zacznijmy od definicji. Niech mi pan zdefiniuje, czym jest demokracja.

– W 1991 roku napisałem artykuł na temat podstawowych zasad demokracji jako formy rządów. Wtedy pierwszy raz powiedziałem, że myślę o demokracji w formie możliwie najbardziej minimalistycznej. Dla mnie demokracja to po prostu urządzenie, w którym rządzący przegrywają wybory, następnie akceptują ich wyniki, czyli także własną porażkę.

Jak doskonale wiesz, w naukach politycznych istnieje cała masa różnych definicji demokracji. One często są normatywne, bo ich autorzy wychodzą z założenia, że demokracja powinna wprowadzać pewne konkretne warto-

ści do życia społecznego. Takie definicje są już maksymalistyczne, ale problem jest gdzie indziej – po prostu różni ludzie cenią sobie różne rzeczy, powstaje więc pytanie, jak te różnice pogodzić. Dla mnie najlepszym mechanizmem rozwiązywania takich potencjalnych napięć w pokojowy sposób są właśnie wybory. One są kwintesencją demokracji – muszą gwarantować rywalizację i stworzyć możliwość porażki rządzących, po czym wszyscy uczestnicy gry uznają ich rezultat.

Taka definicja się przydaje, bo jest bardzo ostra, prosta w obsłudze. Przykładając ją do różnych krajów, widać jak na dłoni, że Rosja nie jest demokracją, Turcja też nie. Prawdopodobnie nie są nią już Węgry Orbána. A USA?

– Nauki polityczne pozwalają bardzo dobrze zauważyć i zrozumieć nawet najbardziej dyskretnie odmiany form rządów. W niektórych ustrojach mamy wybory, które dają szansę na zmianę władzy, w innych elekcje też są przeprowadzane, ale opozycja nie ma możliwości wygrać. Przy czym te drugie prawie zawsze były instalowane siłą. Jesteś latynoamerykanistą, znasz tradycję tamtejszej polityki – istnieje w niej coś takiego jak autogolpe, wewnętrzny zamach stanu. Rozpoczyna się dojściem do władzy jakiejś formacji, która potem całkowicie

rozwiązuje instytucję wyborów, po prostu ich nie przeprowadza.

Hitler był prototypem takiego modelu – przejął kontrolę nad państwem zgodnie z zasadami, a dwa miesiące później konstytucja już nie obowiązywała. Ten sam manewr rozpoczął się 11 września 1973 roku, kiedy zamach stanu w Chile przeprowadził Pinochet. Ale potem pojawiły się ustroje, których już tak łatwo zdefiniować się nie da. Wspomniałeś, że Węgry nie są już demokracją, ale mnóstwo naukowców by się z tym nie zgodziło. Jakiś czas temu analizowałem, jakb klasyfikowano ustroje w Rosji, Turcji i Wenezueli przez ostatnie 20 lat. Widać wyraźnie, że nie ma tutaj konsensusu, bo mamy do czynienia z nowym zjawiskiem. Liderzy polityczni dochodzą do władzy demokratycznie, na jakimś poziomie respektują demokratyczne normy, a stopniowo podejmują masę działań zmieniających zasady demokracji tak, żeby udało im się zmonopolizować władzę. Co więcej, oni się z tym już nawet nie kryją.

Przy czym nie uważam tych ustrojów ich za ustroje przejściowe czy hybrydowe, one są celem same w sobie.

To co dzieli je od pełnego autorytaryzmu, skoro rotacja nie zachodzi?

– Jednocześnie zakwalifikowanie ich do gro-
na antydemokratycznych też nie oddaje pełnej

prawdy. Podam panu parę przykładów. Wiele lat temu Erdogan zdecydował się zmienić ordynację wyborczą w Turcji tak, żeby przyznać czynne prawa wyborcze Turkom za granicą. Chodziło przede wszystkim o diasporę w Niemczech, w której był bardzo popularny. Ale motywacją była jak najbardziej demokratyczna – poszerzenie praw wyborczych. Obecna amerykańska administracja działa w podobny sposób. Z argumentami Republikanów o eliminowaniu oszustw wyborczych czy głosowaniu osób, które nie mają do tego prawa, też trudno dyskutować na poziomie teoretycznym.

Największą zmianą ostatnich 20 lat jest to, że ludzie, którzy chcą osłabić demokrację, uzasadniają swoje działania właśnie językiem demokratycznym. Może Trump jest wyjątkiem.

To przejdźmy do drugiej strony tego równania. Jak definiować autorytaryzm? Steven Levitsky i Daniel Ziblatt, politolodzy z Harvardu, zaproponowali niedawno definicję autorytaryzmu jako ustroju, w którym koszt publicznego sprzeciwu wobec władzy jest zbyt wysoki, by go ponosić. Stany Zjednoczone już tam są?

– Wyznaczenie prostej linii, gdzie kończy się demokracja, a zaczyna autorytaryzm, jest strasznie trudne. I nie zawsze możliwe, nie zawsze też w ogóle potrzebne. Nie ma wątpliwości, że

FOT. REUTERS/AARON SCHWARTZ

administracja Trumpa podjęła wiele działań, przez które koszty sprzeciwu społecznego są ogromne. Przy czym nie wiem, czy te działania przekroczyły już jakiś punkt graniczny.

Na takie procesy trzeba patrzeć jak na continuum. Pierwszym punktem były ataki na media – stacje telewizyjne, jak CBS, firmy takie jak Disney, wiele innych podmiotów otrzymało groźby pozwów, musiało się liczyć z tym, że ich procesy korporacyjne, fuzje i przejęcia będą zagrożone, jeśli nie zrobią tego, co im każe administracja. Trump osobiście zarobił dziesiątki milionów dolarów w ugodach przedsądowych. Potem była ofensywa przeciwko kancelariom prawniczym. Niektóre z nich zostały zaatakowane, bo współpracowały z Demokratami, nawet jeśli to było dekadę temu. Prezydent zaatakował też uniwersytety. Na uczelniach panuje obecnie atmosfera olbrzymiego lęku i zastraszenia. Lista jest bardzo długa, jest na niej wzięcie na cel Act Blue, platformy zbierającej pieniądze dla Partii Demokratycznej. Ten zabieg akurat nie okazał się skuteczny, ale Trump otwarcie mówi, że zamierza wprowadzić represje opozycji.

Zwróć szczególną uwagę na dekret prezydencki z 25 września dotyczący Antify. Po pierwsze, wiemy wszyscy, że to nie jest jedna organizacja, nie ma formy zinstytucjonalizowanej, to bardzo luźne określenie. A po drugie, prezydent Stanów Zjednoczonych nie ma prawa uznać jakiegokolwiek organizacji krajowej za zagrożenie dla bezpieczeństwa. Może za pomocą rządu federalnego zakazać działalności zagranicznych organizacji, ale krajowych już nie. Lecz Trump wydał dekret nakazujący Departamentowi Sprawiedliwości działania przeciwko każdemu podmiotowi, który sympatyzuje z Antifą albo definiuje się w takich kategoriach. Czyli nic innego jak uniwersalne przyzwolenie na atak na kogokolwiek, bo przecież każdemu można powiedzieć, że zdaniem rządu jest Antifa.

To tworzy atmosferę strachu, znacząco podnosi koszty oporu społecznego. Nie mówiąc już o niedawnym wystąpieniu Trumpa przed generalami, którym powiedział, że chce, by wojskowi szkolili się w walce z krajowymi przeciwnikami i utrzymywali porządek wewnętrzny.

Samo zrozumienie intencji tych ruchów nie jest specjalnie trudne. Gorzej z tempem – w Europie wszyscy są w szoku, że amerykańskie instytucje upadły tak szybko. Pierre Rosanvallon, francuski historyk, zauważa, że apolityczne instytucje są tym, co oddziela demokrację liberalną od ustrojów hybrydowych czy autorytaryzmu. Dominowało przekonanie, że amerykańska architektura instytucjonalna jest jedną z najsilniejszych na świecie. Co zawiódło?

– Nigdy nie byłem specjalnie zakochany w tym mistycznym, a raczej zmitologizowanym amerykańskim trójpodziale władzy. Uważam, że to, czy różne gałęzie rządu są od siebie niezależne, ostatecznie zawsze zależy od sytuacji politycznej – tak to działa nie tylko w USA, lecz także w każdym innym kraju. Trump wygrał wybory, Republikanie mają większość w obu izbach Kongresu, a wcześniej włożyli do Sądu Najwyższego swoich lojalistów. Nie jestem w ogóle zdziwiony, że on dominuje nad tymi instytucjami w tak jednoznaczny sposób.

A historycznie rzecz ujmując, zawsze tak było. Proszę spojrzeć na rządy Margaret Thatcher. Ona była premierem, miała większość w Izbie Gmin, Izba Lordów była mniej lub bardziej neutralna. A jednak Thatcher przegrała, bo opozycja wyszła z jej własnego rządu. Dlatego najciekawsze jest pytanie o wyjątkowość pewnych polityków. Jeśli model zezwala na koncentrację władzy za pomocą demokratycznych wyborów i mechanizmów, teoretycznie każda władza może doprowadzić do erozji demokracji. Tylko nie wszyscy to robią. Czemu?

Cisnie mi się na usta marksistowska odpowiedź, że „warunki są wszystkim”. Może jednak nie każdy ma takie same możliwości osunięcia się w autorytaryzm?

– A ja nie szukałbym przyczyn na zewnątrz. Wszystko zależy od konsekwencji, które tacy politycy biorą pod uwagę przy analizie swoich ruchów. Patrzą, co potencjalnie może im się stać, jeśli pójdą o krok za daleko. Jasne, Orbán zmienił konstytucję, zniszczył media, wypełnił sądy swoimi funkcjonariuszami. Erdogan, Chávez w Wenezueli też. Takie przypadki nie są strasznie rzadkie. Ale Trump wyróżnia się na ich tle, bo jest jedynym, który wszystko to robi otwarcie, nie kryje się i nie szuka demokratycznego uzasadnienia. To naprawdę anomalia.

Tylko czy to nie jest dowodem na kluczową rolę warunków zewnętrznych? Nie mamy do czynienia ze zmianą normatywną? Obaj mieszkaliśmy w Chile, wie pan, że nawet Pinochet długo udawał trybuna ludowego, obiecywał przestrzegać konstytucji. Potem zresztą sam zorganizował referendum, które zakończyło jego dyktaturę. Natomiast Trump nie tłumaczy się. Co się stało, że nagle mamy polityka, który nie przestrzega żadnych norm i jest z tego dumny?

– Najszersza odpowiedź brzmi: nie wiem. W naukach politycznych istnieje sporo ba-

Proszę zauważyć, że kiedy posypały się dekrety przeciwko kancelariom prawnym, American Bar Association, czyli Naczelna Rada Adwokacka, w ogóle nie zajęła stanowiska. Kiedy oberwała nowojorska Columbia, nie było reakcji innych uczelni. Widać więc, że można próbować zniszczyć pojedyncze instytucje bez obawy o konfrontację ze zjednoczoną opozycją.

Tylko znów: czy to naprawdę takie dziwne na tle historii amerykańskiej demokracji? Nixon też nie szanował niezależności i apolityczności instytucji, a McCarthy polował na rzekomych komunistów z taką samą determinacją jak ludzie Trumpa.

– Zgoda, tyle że McCarthy nie pochodził z samego szczytu rządu. To był pojedynczy senator, któremu na wiele pozwolono, ale sam nie mógł zmienić państwa. Nixon był na szczycie, ale nie miał większości w Kongresie, więc nie wszystko udawało mu się przepchnąć. Trump jest czymś nowym, kompletnie bez precedensu we wszystkich istniejących w historii zbadanych modelach ewolucji systemów politycznych.

W karierze naukowej bardzo dużo czasu poświęciłem statystyce. Między innymi liczy-

W żadnym z dekretów Trump nie wspomina o „amerykańskiej demokracji”. To znamienne, bo ten zwrot amerykańscy politycy mają wdrukowany w podświadomość

dań, które dowodzą, że duże grupy w społeczeństwie są gotowe zaakceptować naruszanie norm demokratycznych w zamian za przychylne im rezultaty w konkretnych obszarach polityki. To dobrze przebadane zjawisko. Tyle tylko, że w przypadku Trumpa to znowu nie ma zastosowania.

Jeśli przeanalizować poparcie dla jego prezydentury od 20 stycznia w rozbiciu na poszczególne kwestie ważne dla wyborców, oceny społeczne są dramatycznie niskie, z jednym tylko wyjątkiem – kontroli nad południową granicą. Tu rzeczywiście wyborcy oceniają go dobrze, ale wszędzie indziej te notowania są fatalne – gospodarka, polityka społeczna, bezpieczeństwo, polityka zagraniczna, nawet polityka migracyjna. A jednocześnie jego ogólna, całłościowa ocena ani drgnęła od marca. Utrzymuje się na tym samym poziomie: 42-43 procent. Ewidencja w amerykańskim elektoracie istnieje grupa około 40 procent wyborców, którzy są w stanie swobodnie tolerować naruszanie norm demokratycznych w zamian nie tyle za konkretne rozwiązania i materialne korzyści dla nich samych, ile za pewne rezultaty w warstwie symbolicznej. Nie jest ważne, co naprawdę się dzieje, ale ma znaczenie, co widać.

To odstępstwo od normy? Kiedyś naprawdę było inaczej?

– Żeby zrozumieć zmiany, które dzieją się teraz w USA, trzeba dodać jeszcze jeden element – reakcję społeczeństwa. W latach 90. i na początku XXI wieku sporo naukowców zakładało, że w przypadku bezpośredniego, topornego złamania przez władze norm konstytucyjnych nastąpi opór społeczny. Spodziewano się, że ludzie wyjdą na ulice, tworząc coś na kształt rewolucji mającej przywrócić porządek normatywny. A okazuje się, że amerykańskie społeczeństwo obywatelskie jest niesamowicie słabe – Trump był w stanie bez problemu pojedynczo wybierać cele, nie napotykać oporu, nawet z wewnątrz zaatakowanego środowiska.

lem statystyczne prawdopodobieństwo załamania się demokracji przy uwzględnieniu PKB na mieszkańca oraz siłę tradycji i instytucji demokratycznych przez liczbę i charakter pokojowych rotacji u władzy. Z modelu statystycznego opartego na takich czynnikach wynikało, że coś takiego jak obecnie w Ameryce może się wydarzyć raz na kilka milionów cykli wyborczych w różnych krajach. Innymi słowy, prawdopodobieństwo rozpadu demokracji w USA wynosi jeden do kilku milionów.

A jednak się dzieje. Jakim cudem?

– Nie wiemy. Ewidencja musi istnieć jakaś kombinacja warunków społecznych, cech Trumpa jako polityka i tego, co dzieje się w amerykańskich instytucjach, która daje nowy rezultat. A może sam Trump jest wyjątkiem tak silnym, że zakrzywiającym pozostałe elementy? Na co zresztą są dowody.



*Adam Przeworski

• Rocznik 1940. Polsko-amerykański politolog, światowej sławy badacz demokracji i ustrojów politycznych. Były wykładowca Chicago University i New York University. Członek Amerykańskiej Akademii Nauk oraz Akademii Brytyjskiej. Urodził się w Warszawie pod okupacją, jego ojciec został zamordowany w Katyniu. Z Polski wyjechał w 1961 roku. Wykładał we: Francji, Wielkiej Brytanii, Niemczech, Indiach, Hiszpanii i Chile. Jest jednym z najczęściej cytowanych polskich naukowców w historii nauk społecznych.

To znaczy?

– Mateusz, przejdźmy przez to, co wiemy o Trumpie. Raz wygrywa wybory. Rządzi cztery lata. Przegrywa, odchodzi z urzędu. Jest przedmiotem śledztw w sprawie ataku na Kapitol i próby sfalszowania wyników wyborów w Georgii. Tyle że on nigdy nie zeznaje, nie stawia się go w roli oskarżonego, procesy nie kończą się wyrokami. Brakuje kulminacji. Więc wraca, mszcząc się z całą mocą. Nie trzeba eksperta, żeby dostrzec, że w takich warunkach waga kolejnych wyborów w USA jest gigantyczna – Republikanie nie mogą sobie pozwolić na porażkę.

To nas przenosi do pana minimalistycznej definicji demokracji. Skoro musi w niej istnieć rotacja u władzy, to znaczy, że w wyborach nie można móc zbyt wiele wygrać ani przegrać. Zawsze musi być szansa odbicia się w kolejnej elekcji. Ezra Klein z „The New York Times” powiedział to samo co pan, tylko o kim innym: że Demokratów „nie stać już na porażkę”. No to jak nie stać jednych i drugich, to już nie mówimy o demokracji.

– Możliwe, że tak właśnie jest. Jeśli wczytasz się w Project 2025, dokument programowy Heritage Foundation, który działał jak nieoficjalny program wyborczy Trumpa, zobaczysz, że to plan całkowicie rewolucyjny. Możemy szukać historycznych analogii, kiedy jakaś formacja przed objęciem władzy zapowiadała pakiet głębokich reform, ale tu chodzi nie o reformy, ale o całkowitą zmianę relacji pomiędzy państwem, społeczeństwem i gospodarką.

Szukam czegoś, co skalą przypominałoby Trumpa. Thatcher miała mniejszy rozmach, Reagan też nie zmieniał aż tyle. Być może Mitterand, gdy został prezydentem Francji, miał zapal do wielkich zmian, ale po kilku miesiącach to się skończyło. Ewentualnie Chávez w Wenezueli w swojej drugiej kadencji. Javier Milei w Argentynie też nie pasuje, bo on po porażce w wyborach lokalnych przyznał, że przegrał i że chce wygrać w kolejnej elekcji, co jest modelową odpowiedzią demokratyczną. Tymczasem Trump bardzo chce zredukować rolę państwa w społeczeństwie, zwłaszcza w zakresie budżetowym i gospodarczym – instytucje są mocno zmniejszane, postępuje deregulacja – a jednocześnie rośnie rola siły państwa i jego służb, które stawiają się ponad prawem i sądami. To są naprawdę ogromne zmiany. W zasadzie burżuazyjna rewolucja autokratyczna.

Ale przynajmniej jedne ogólnokrajowe wybory w USA wciąż przed nami – głosowanie połówkowe w 2026 roku. Nie wiadomo, czy one będą w pełni wolne i równe, ale mnie ciekawi sama intencja. Na Substacku napisał pan, że Trump nie zachowuje się jak ktoś, kto przygotowuje się do wyborów, bo z kampanijnego punktu widzenia jego polityka jest samobójcza. On w ogóle chce wyborów?

– Najbardziej konkretną wskazówką, w jakim kierunku idzie ta administracja, jest fakt, że Trump nie robi dużo dla własnego elektoratu. Nie wykluczałbym, że on jest autentycznie przekonany, że te wybory i tak wygra. Przecież niedawno w ONZ powiedział wprost: „Ja zawsze wygrywam”. Kieruje nim przekonanie, że jest niepokonany. Możliwe, że w ogóle nie myśli o konsekwencjach wyborczych, bo po co?

To prosty mechanizm. Trump organizuje wiec. Powie coś ludziom, wzbudzi entuzjazm tłumów, będą krzyczeć, machać. On zobaczy właśnie to – znaki wskazujące, że jest popularny. Już prędzej ludzie z jego zaplecza mogą być zmartwieni. Zresztą pojawiają się dowody, że ktoś tam jednak o wyborach myśli. Na przykład na początku kadencji był plan wysłania Eli-se Stefanik, nowojorskiej członkini Izby Reprezentantów, do ONZ w roli ambasadora. Ale Biały Dom wycofał się z tego pomysłu, gdyż będzie potrzebna w 2026 roku, żeby obronić niepewny mandat dla Republikanów w jej okręgu.

Od początku drugiej kadencji Trumpa pytałem wielu, naprawdę wielu ekonomistów o możliwe konsekwencje jego działań. Wszyscy co do jednego są zdania, że przy tak masowych

clach i redystrybucji majątku w górę, a nie w dół inflacja pójdzie w górę, wzrost zahamuje, będziemy mieli stagflację, wszystko podrożeje, ludzie zobaczą symboliczną cenę jajek i zagłosują na opozycję. Tylko że życie drożeje, ubogim się pogarsza, a niezadowolone nie rośnie. Dlatego w administracji wciąż dominuje przekonanie, że ich polityka gospodarcza nie uderza za bardzo wyborców po kieszeni, a jeśli uderzy, to się zobaczy, zastosuje jakieś niestandardowe zagrania czy instrumenty nacisku, żeby nie przegrać.

Może to nie jest pytanie o Trumpa, tylko o nasze narzędzia analityczne. Zaczynam wierzyć, że reakcja rynków na decyzje polityczne przestała być dobrym miernikiem. – Intuicyjna odpowiedź powinna zakładać, że jest po prostu za wcześnie na tak drastyczne efekty. Musimy trochę poczekać. Być może cla wpływają na realną gospodarkę wolniej? Może ludzka percepcja tych ruchów i ich skutków jeszcze się nie wykrystalizowała? Niewykluczone, że dzień po dniu będzie robić się coraz gorzej, aż kiedyś sloik się przeleje. Z drugiej strony jednak minęło już ponad dziesięć miesięcy od początku tej kadencji, a negatywnych efektów brak. Dlatego jeśli miałbym teraz prognozować szanse Demokratów na odbicie którejkolwiek z izb Kongresu, powiedziałbym, że sytuacja jest 50/50. Szanse są, ale nikt nie wie jakie, bo nie wiadomo, do czego zdolni są Republikanie.

Docieramy do innego sporu definicyjnego, bliższego Polsce. Czym jest populizm? Czy dziś to czasem nie jest już zwykły autorytaryzm? Na studiach czytałem pańskie prace o transformacjach ustrojowych oraz eseje pana kolegów, jak Guillermo O'Donnella z Yale, i wszyscy byliście konkretni: przemiany demokratyczne się udały, bo wszyscy uczestnicy życia politycznego uznali demokratyczne zasady gry dla siebie i dla innych. A gdy dzisiaj słucham Jarosława Kaczyńskiego, to słyszę kogoś, kto nie uznaje demokratycznych praw oponentów. Ivan Krastew i Stephen Holmes parę lat temu stwierdzili, że według takich polityków sama transformacja, ta czy inna, była zbrodnią, bo dała prawa polityczne tym, którzy na to nie zasługiwali. A to już ogłód autorytarny.

– Populizm to podchwytliwe pojęcie, gdyż istnieje na tylu płaszczyznach życia, że trudno je zdefiniować – ale mnie w dzisiejszym populizmie ciekawi co innego niż jego zgodność z modelem. Jeśli spojrzeć na mających doświadczenie rządzenia prawicowych populistów Europy Zachodniej – Partię Wolności w Austrii, Szwedzkich Demokratów, Braci Włochów – to żadna z tych partii nie poszła w kierunku autorytaryzmu ustrojowego. Owszem, są ksenofobiczni, antyimigranccy, ale nie podejmują reform prowadzących do erozji demokracji. Pozostają w jej ramach. Innymi słowy, nie robią tego, co robi Trump. To kolejny dowód, że obecne zmiany w USA są absolutnie bezprecedensowe.

To widać nawet w jego języku. Przeczytałem kilkanaście prezydenckich dekrétów, to zresztą żadna sztuka, bo są bardzo krótkie. On nie odnosi się w nich w ogóle do „amerykańskiej demokracji”! To znamienne, bo ten zwrot amerykańscy politycy mają wdrożony w podświadomość. Zamiast tego cały czas pisze o „republice”. To sygnał, że on i ludzie wokół niego mają coś, co nazywam cesarską wizją polityki i państwowości. Przekaz jest prosty: nasza republika jest zagrożona, znajdujemy się w stanie wyjątkowym, jesteście obłożeni. Czas przekazać uprawnienia zarządzania krajem w ręce jednej silnej, sprawnej osoby.

W amerykańskich prawicowych kręgach prawniczych to dość popularny pogląd, nazywany teorią unitarnej egzekutywy. Curtis Yarvin, znany antydemokratyczny filozof, jest wielkim zwolennikiem takiego podejścia. Ono bierze się z bardzo abstrakcyjnej interpretacji rewolucji amerykańskiej i odrzucenia monarchii, która zakłada, że

wyborcy są bardziej reprezentowani przez jednostkę, na którą postawili, niż w rozproszonym, pluralistycznym parlamencie. Czy ten specyficznie amerykański pogląd może przekroczyć na inne państwa?

– Do pewnego stopnia to podejście naturalne dla systemów prezydenckich. Premierzy nie mają ustrojowych prerogatyw do bycia liderami całych narodów, bo najczęściej rządzą rządami koalicyjnymi, nie mają takiej przestrzeni do manifestacji swojej charyzmy, a prezydenci tak. Niemniej wiele wskazuje na to, że taka naracja jest możliwa tylko w USA.

Dobrze to ilustruje porównanie dwóch podobnych systemów i polityków: Trumpa i Javier Milei. Gdyby Milei chciał wprowadzić którąś z autorytarnych zasad, które wprowadził już Trump, od razu miałby przeciwko sobie kilkumilionową opozycję na ulicach. Argentyni czycy to naród wręcz przeczulony na punkcie swoich praw i zasad demokratycznych. Tam istnieje 29 ogólnokrajowych organizacji broniących praw człowieka, nie mówiąc o potężnych związkach zawodowych, które mają miliony członków. Teoretycznie w USA to też możliwe, w końcu dopiero co odbyły się protesty No Kings, które zgromadziły kilka milionów osób. Ale w kilkusetmilionowym kraju to nie jest masowa skala, bo też masowe wyprowadzanie ludzi na ulicę nie należy do kultury politycznej w Stanach. Co innego w Europie. Kiedy tylko jakiś francuski rząd próbuje drastycznie zmienić zasady gry, są gigantyczne protesty.

W żadnym z dekrétów Trump nie wspomina o „amerykańskiej demokracji”. To znamienne, bo ten zwrot amerykańscy politycy mają wdrożony w podświadomość

Oddolna opozycja wobec Trumpa w ogóle jest możliwa? W jednym z esejów pisał pan, że spontaniczny ruch społeczny może się przekształcić w zinstytucjonalizowaną opozycję, kiedy zaangażuje się weń mniej więcej 3,5 proc. dorosłej populacji. Jest szansa, żeby to się zebrało pod jednym parasolem?

– Masowe protesty są i będą, ale problem z nimi jest zasadniczy – one nie przekładają się automatycznie na poparcie wyborcze. Protest to z definicji działanie negatywne, a nie konstruktywne. W pewnym sensie protestujący chcą po prostu odbudowania status quo, a żeby wygrać wybory, trzeba zaproponować coś więcej niż powrót do przeszłości. Niezbędny jest pozytywny przekaz na temat tego, co będzie.

Taki przekaz ma Alexandria Ocasio-Cortez, ma Zohran Mamdani. Tyle że establishment Partii Demokratycznej się ich boi. Hakeem Jeffries, jeden z dwóch najważniejszych demokratów, dopiero na sam koniec poparł Mamdaniego w wyborach na burmistrza Nowego Jorku. W dodatku protesty w USA jeszcze nie spotkały się z represjami czy inną reakcją państwa. Trump praktycznie zignorował No Kings. Dlatego strategią Partii Demokratycznej jest oczekiwanie. Zakładają, że obóz Trumpa zawali się od środka, dlatego lepiej jest siedzieć cicho, robić swoje, skupiać się na konkretnych projektach i czekać, aż Trump sam włoży sobie kij w szprychy.

A może Trump to tylko część, choć chwilowo niszczyielska i spektakularna, ewolucji demokracji? W Wielkiej Brytanii, która też przez dekady była przykładem stabilnego systemu dwupartyjnego, ta dwubieguno-

wość się rozpada, a w USA też pojawia się całe pokolenie polityków, którzy nie mieszczą się w tradycyjnych ramach żadnej z dwóch partii. Choćby Mamdani – w Europie byłby socjaldemokratą, takim duńskim socjalistą. U nas nic nadzwyczajnego, ale w Stanach to zawsze był margines polityki, a teraz...

– Pod względem narracyjnym czy symbolicznym pojawienie się Mamdaniego i AOC, jak mówi się na Ocasio-Cortez, wzmocni pozycję skrzydła socjaldemokratycznego w Demokratów. Ale trudno sobie wyobrazić, że to się szybko przełoży na zmianę kursu całej partii, a zwłaszcza jej establishmentu.

Swoją drogą, wszyscy ciągle koncentrują się na poparciu dla Trumpa, u którego przeważa ocen negatywnych nad pozytywnymi wynosi między 11 a 17 pkt proc., tymczasem zaufanie do Partii Demokratycznej jest jeszcze niższe. Demokraci są najgorzej oceniani ze wszystkich amerykańskich instytucji, najmniej osób im ufa. A oni nic z tym nie robią. Teraz przy okazji dyskusji o shutdownnie, czyli o zawieszeniu działalności rządu w związku z klinczem budżetowym, wzięli na sztandar Obamacare i walczą o publiczne ubezpieczenia zdrowotne. Ale to by było na tyle. Demokraci nie oferują żadnej wizji przyszłości.

Wiadomo, że w społeczeństwie rośnie frustracja, ludzie są niezadowoleni. Zachowania konsumenckie stają się znacznie ostrożniejsze, zaufanie do instytucji publicznych sięga dna. W jakiś sposób to musi się przełożyć na wyniki

dzie mają w nich różne potrzeby, więc należy mieć różne przekazy, nie jeden.

Od dziesięcioleci nauki społeczne badają to zjawisko, już w latach 70. pisało się o „strategicznej niejednoznaczności”, czyli o braku jednej narracji dla całego ruchu politycznego. Konkluzje są, tak samo, niejednoznaczne – nikt nie wie na pewno, co działa lepiej.

A może to wcale nie jest problem? Dlaczego trzeba wybrać: albo duży namiot i jedna narracja, albo szukanie poparcia okręg po okręgu? Nie można prowadzić obu strategii jednocześnie?

– W żadnym z krajów, w których demokracja eroduje, z wyjątkiem Narendry Modiego w Indiach i od niedawna Claudii Sheinbaum w Meksyku, rządy cofające demokrację nie mają większości głosów. Nawet Orbán nie ma 50 proc. poparcia. Dlaczego? Bo nie muszą. A nie muszą, bo opozycja jest podzielona. Dlatego właśnie zmiana władzy w Polsce w 2023 roku była czymś na kształt cudu, bo opozycja przekonała wyborców, że różniące programowe i ideologiczne rozwiąże, kiedy już przejmie władzę. To jedyny przypadek demokracji parlamentarnej, jaki znam, w którym podmiot dokonujący erozji demokracji przegrał wybory.

Istnieje obawa, że ta porażka była tylko wypadkiem przy pracy. Jak Joe Biden okazał się przerywnikiem pomiędzy dwiema kadencjami Trumpa, tak Tusk może się okazać przerywnikiem pomiędzy rządami PiS.

– To niebezpieczeństwo tylko potwierdza fundamentalny problem z koncepcją wielkiego namiotu. Póki jest się w opozycji, można być zjednoczonym przeciwko czemuś, ale potem trzeba zaproponować coś więcej. Partia Demokratyczna tego nie ma.

To co nas czeka? Nie tylko w kwestii najbliższych wyborów, ale też właśnie relacji państwa ze społeczeństwem. Chyba już nie ma wątpliwości, że model liberalno-demokratyczny, oparty na silnej klasie średniej, dużym politycznym centrum, technokratycznych partiach i obietnicy awansu społecznego, nie działa. A więc naszą przyszłością jest jakiś brutalny postliberalizm, bo państwo administracyjne, które pokojowo, bez użycia siły rozwiązuje konflikty społeczne, może przestać istnieć.

– Nie byłbym aż takim pesymistą. Oczywiście mamy do czynienia z potężnym odrzuceniem instytucji reprezentatywnych właściwie na całym świecie – w USA, w Ameryce Łacińskiej, w Europie – wszędzie.

Niemniej jest wiele miejsc, w których projekt polityczny oparty na odrzuceniu liberalnych wolności nie jest realistyczny. Nie tylko kraje Europy Zachodniej, ale też Argentyna, Chile, Brazylia – to wszystko kraje, w których ludzie są do wolności bardzo przywiązani. To, co dzieje się w USA, jest bardzo wyjątkowe i raczej niemożliwe do przeszczepienia. Wielka Brytania, Francja, Hiszpania nie pójdą tym tropem.

Nie podoba mi się generalizowanie na temat kryzysów liberalizmu czy demokracji. W wyborach często wygrywają partie, które mnie odrzucają swoim programem, ale na tym właśnie polega demokracja. Lubię w takich momentach wracać do przemówienia, które w 1976 roku przed parlamentem wygłosił Adolfo Suárez, pierwszy premier postfrankistowskiej Hiszpanii. Powiedział, że przyszłość nie jest jeszcze zdefiniowana, bo zdefiniują ją ludzie – tylko oni mogą to zrobić. On może jedynie mieć nadzieję, że zrobią to tak, jak on chce.

Kluczowe pytanie brzmi: jak długo ta podstawowa zasada demokracji będzie przestrzegana? Moim zdaniem długo. Nie wszędzie jest tak jak w USA.

Mateusz, Róża Luksemburg powiedziała kiedyś, że celem człowieka powinno być wolne działanie, a nie tylko bycie wolnym. Na dzisiejsze czasy nie ma chyba lepszej maksymy. ●



„Wiesz, jaki był problem?
Ciągłe było za co.
Przywoziłem po 20, 30,
40 tys. zł w kieszeniach.
Gotówką,
pozwijane w rulony”
– opowiada autor hitu
„Kobiety są gorące”.

Norbi

Dyskomuł w koszulce Slipknota

Z NORBERTEM „NORBIM” DUDZIUKIEM
ROZMAWIA **ANDRZEJ KULASEK**
ZDJĘCIE **DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA
WYBORCZA.PL**

Sluchasz jeszcze plotek o sobie?

– Opuściłem. Włączyłem tryb Brada Pitta, który kiedyś powiedział, że o sobie nie czyta, nie sprawdza żadnych doniesień, tylko robi swoje. Robię więc i ja. Ludzie mi coś tam opowiadają, donoszą, a ja mówię: „No OK, napisali, nazwiska nie przekreślił? Nie? To tyle dobrze”.

Ale Instagrama prowadzisz.

– Prowadzę, ale nieprzesadnie aktywnie. Wrzucę jakiś filmik, zdjęcie i tyle. Bywa też, że ktoś do mnie na-

pisze z prośbą, żebym coś nagrał, podał dalej, bo ktoś potrzebuje pomocy, jest chory na SMA, na jakieś jeszcze gorsze świństwo, potrzebuje 10 mln zł. I takich filmików nagrywam z pięć w tygodniu. Albo piszą: „stary, świetnie, że powiedziałeś o tym hazardzie”, „świetnie, że zrobiłeś ten coming out, bardzo mi tym pomogłeś”. I tyle. Raczej nikt tam nie wypisuje w komentarzach „ty głupi ch*ju”.

A synem Krzysztofa Krawczyka nie jesteś?

– Wspaniała to jest plotka! I świetnie funkcjonowała przez 10 albo i 15 lat... To było tak: kiedyś w którymś talk-show Wojtka Jagielskiego, „Wywiad z wampirem” albo jeszcze coś innego, byliśmy razem z Krzysiem, bo na płycie „Norbi 2000” nagraliśmy wspólnie kawalek. I tak dla hecy do siebie mówiliśmy: „synu”, „ojcze”.

Publiczność to podchwyciła i potem gdzie nie pojechałem, na koncert do Śremu czy Łodzi, ktoś podchodził, rzucał: „Słuchaj, świetny kawalek ojca z Bartosiewiczem, pozdrów”. Ja: „Ja pierdzielę, ale mój ojciec nie żyje”, „Jak to?”. A potem łapałem, o co chodzi: „Aaa tak, pozdrowię, pozdrowię”. Potem mówili: „Słuchaj, Norbi, my się założyliśmy...”, w końcu wprost pytali: „Krzysztof Krawczyk jest twoim ojcem?”. „Oczywiście, że jest”. I tak zostało. Krzysiek też to podchwycił. Opowiadał, że był w Olsztynie, spotkał się z moją matką, wybuchł gorący romans i gotowe. Nie wiem, czy do tej pory to nie funkcjonuje.

Moim zdaniem ktoś na pewno jeszcze w to wierzy.

– Ba! Zobacz, podobny profil, twarz puculowata, no skóra zdjeta. A Krzysiu pewnie patrzy z góry i się śmieje.

Synem Krawczyka nie jesteś, ale popularnością mu dorównywałeś. Kiedy cała Polska śpiewała... No wiadomo, co śpiewała.

– Śpiewa dalej. Od 2-3 lat, od kiedy po pandemii znów jeździmy na koncerty, już może nie tyle, co kiedyś, ale bywa, że zagramy z 70 rocznicę, i co? Przychodzi młodzież, 17, 18, 19 lat, i razem ze mną śpiewają te stare piosenki. Koło się zamknęło.

Dlaczego tak jest?

– Nigdy nie zapytałem. Ale niedługo będę miał znów okazję. Myślę, że mama z tatą im powie dzieli: „Słuchaj, ten pan to był bardzo popularny kiedyś, sprawdźcie, jakie miał kawalki”. Druga to „Koło fortuny”, które potężnie musiało rozszerzyć grono moich odbiorców, inni wykonawcy też wykorzystują moje utwory. Ostatnio Otschodzi na „Studentce” zrobił kawalek „Wszystko mija”, zresztą bardzo dobry.

I teraz tak, graliśmy rok temu na finale WOŚP w Zawierciu. Tej „Studentki” to nie wykonywaliśmy od lat, a 18-latkowie na koniec koncertu drą się: „Norbi, »Studentka«, »Studentka«, »Studentka!«”. No to jedziemy. Włączyliśmy podkład, bo gramy z didżejem, ja tekstu w ogóle nie pamiętałem, coś tam zanucilem.

Albo utwór, który nagraliśmy z Kumim – tego możesz nie znać, taki młody, 19-latek, na Tik-Toku rządzi – piosenkę „Mejkap”, to taki typowy dance. Ten kawalek zrobił jakieś 4 miliony wyświetleń, dużo to czy mało, nie wiem, ale zliczyło się na tyle i zmonetyzowało, że dało nam to złotą płytę. I dzięki temu „Mejkapowi” już nie tylko 18-latk, ale i 12-latk tę piosenkę śpiewają i mnie kojarzą. Starego dziada.

Ponadczasowy jesteś.

– Jak to mówią w Wielkopolsce: wuja Norbi. Czyli nie tylko fani 40+, ale... no zaraz, chwilę. Niedawno robiłem reklamę dla Knorra, do której zatrudniali mnie ludzie 30+, którzy musieli być maluchami, jak ja byłem na topie. I chyba zapamiętali: ty, to fajny typ, nada się. I w górę lecimy aż do seniorów, bo w sobotę gramy na imprezie firmowej nad morzem we Władysławowie, czyli odbiorcy 30+, a w niedzielę na wyborach Miss Seniorów w Skarżysku-Kamiennej.

No to musisz dźwigać te pokolenia wszystkie, rząd dusz narodowy.

– No dźwigam, dźwigam i bardzo mi się to podoba. Wiesz, kiedy nagraliśmy „Kobiety są gorące”, to był taki numer, nazwijmy to: ogólnotanieczny. Nie tylko dla małych lat na imprezach, ale też grany i na weselach, i na dancingach. To trafiło do każdego. Dlatego ten kawalek odniósł sukces.

Chodziłeś do szkoły muzycznej, grałeś na skrzypcach, przyznajesz się do muzycznych sentymentów i uczucia do Kylie Minogue, nosisz koszulki Slipknota... Zastanawiam się, co ci w głowie gra.

– Co za czeremuga tam siedzi? Już ci opowiadam. Ja jestem dyskomulem, lubię Kylie Minogue, Sandrę, Pet Shop Boys, Ricka Astleya, C.C. Catch. Do tego funky house, taki souful, muzyka funkowa z lat 70., ale w nowych odsłonach, przerobiona przez didżejów.

A Slipknot, AC/DC czy te wszystkie mocno grające kapele to jest taki kontrast punkt do wykonywanego zawodu i uprawianego gatunku muzycznego.

Norbiego ucieczka od disco?

– Artysta popowy słuchający trochę dla hecy, trochę dla przekory mocnego grania. Mój śp. brat uwielbiał taką muzę. A te koszulki Slipknota to jest głównie kreacja. Kiedyś nosiłem jeszcze koszulki klubów piłkarskich z Premier League. To była końcówka lat 90., tego było u nas jak na lekarstwo, a ja to sprowadzałem z takich grubych funty przez francuską firmę odzieżową 3 Suisses, mieli takie specjalne katalogi. Albo podobało mi się, jak amerykańskie kapele paradowały w bluzach hokejowych...

Wokalista Dog Eat Dog na przykład.

– To pomyślałem, ale czad! Ja też tak będę! Zresztą w takiej bluzie wystąpiłem z Krawczykiem w teledysku „Piękny dzień”. Strasznie mnie to kiedyś jaralo, ten sportowy sznyt. A jak poleciałem do Stanów pierwszy raz, to odkryłem sklepy Hot Topic [amerykańska sieć z produktami szeroko pojętej popkultury, ale też płytami, filami]. Myślę sobie: ja pierdziele... Obkupiłem się w koszulki AC/DC i Judas Priest, Iron Maiden, Slipknota to już mam chyba 8 czy 10. Zobacz, jaki to jest efekt: tu „Kobiety są gorące”, „Rozkołysz się”, a z drugiej strony Slipknot i arrrrrrrggghhhh!

No dobrze, to tyle wizerunek sceniczny, a sam przepis na hit? Opracowałeś jakiś matematyczny wzór? Wiem, że w „Kobiety są gorące” jest wykorzystany rytm z „That’s The Way, a-ha, a-ha...”.

– I like it! A sampel jest z „September” Earth, Wind & Fire, oficjalnie sprzedany czy tam подарowany od Sony. I było tak: miałem te dwa takty „September” i poszedłem do Marcina Wawruka, mojego kumpla. On miał te wszystkie urządzenia nowoczesne, samplery. Nałożyliśmy jakieś funkcje – i pięknie. Pojecha-

Pewnie siedziałem z jakimiś gangsterami przy jednym stole, ale to była impreza, i tyle. I ta taca z proszkiem wjeżdżała wtedy. **Może w głowie mi się roilo, że życie to film?**

lem potem do Łańska, pod Olsztyn, nad jezioro. Siadam pod drzewem. Dobra, piszemy. Refren. Jaki refren? Ciepło, słońce, jezioro. Gorąco, gorąco, ale co gorąco? Pod pachą? Pod swetrem? Gdzie? Dziewczyny. Nie, źle brzmi. Kobiety! I już! I tak pod tym drzewem się ułożyło. Newton dostał w głowę jabłkiem, a mnie chyba słońce w czaszkę przygrzało.

Podpisałem kontrakt z Universalem, który się wtedy nazywał Polygram. Mówią: jedź do Izabelina i nagraj ten kawalek, bo dajemy ci studio. Nagrałem singiel i pamiętam: 1997 rok, 6 czerwca – moje imieniny, tak zawsze mówię na koncertach – Radio ZET to zagrało. Mieszkałem na Saskiej Kępie w mieszkaniu wynajętym przez wytwórnię. Stałem wtedy w kuchni, kroilem kielbasę i tu nagle, o 11:05 puścili! Aż sobie kawalek palca obciąłem z wrażeń.

Czyli pierwszy raz „Kobiety są gorące” zagrane były do kielbasy, nie do kotleta.

– No właśnie! (*śmiech*). I pomyślałem: ja pierdziele, zaczęli grać! Ale potem tydzień mija, dwa, no grają ten kawalek, fajnie, ludzie nuca, ale nic poza tym. Miesiąc później w Polsce była powódź stulecia. Katastrofa, tragedia, kto by myślał o muzyce? Ale 2-3 tygodnie po powodzi pojechaliśmy do Dolny Śląsk, jeszcze wszędzie było widać ślady wielkiej wody, a dyskoteki hulały, ludzie chodzili się bawić. Coś podobnego widziałem w Nowym Jorku miesiąc po zamachach na WTC, kiedy przed klubami ustawiali się kolejki. Chyba ludzie potrzebowali po prostu to odreagować.

Wtedy było to dla mnie szokiem, teraz jakoś bardziej mi się to układa. I ruszyło na maksa. Włączyłeś RMF, Zetkę – wszędzie leciał ten numer. Rozdzwoniły się telefony. Ale kij miał dwa końce, bo ciężko jest jechać z jedną piosenką, a przecież była cała płyta. Wychodzisz na 50 minut na koncert i co?

Będiesz w kółko te „Kobiety” śpiewał?

– Graliśmy oczywiście pozostałe numery, ale ludzie ich nie znali, więc ci powiem, że ciężki był ten początek. Był wspaniały, niesamowity, ale też bardzo ciężki.

To takie przekleństwo.

– Tak. Dopiero po drugiej płycie, po „Norbi 2”, jak doszły „Rozkołysz się” czy „Nie zaczepiaj mnie”. Te radia to grały, ale potem nagle przestały.

A ty nigdy, tak z ręką na sercu, nie miałeś dość tej piosenki, odruchu wymiotnego, jak to słyszałeś?

– Nigdy. Wielokrotnie mnie o to pytali zresztą. Wiem, że to jest może takie biczowanie. Dlaczego ja ten numer lubię? Bo jest świetny. Gramy „Kobiety są gorące” wiesz ile? Jakies 100 razy w roku. Co najmniej. I tak go zrobiliśmy, tak świetnie się to śpiewa, że nigdy mi się nie znudziło. Daj Boże każdemu muzykowi choć jeden taki kawalek.

Wróćmy do początków twego muzykowania. Bo zaczynałeś w... domu pogrzebowym.

– Tak było. Ale to był czad. Po prostu ktoś z domu pogrzebowego przyszedł do szkoły muzycznej: „Drogie dzieci, kto chce grać na pogrzebach?”. Tam się zgłosiło trochę osób; altowiolista, trębacz, puzonista, ale skrzypce łagodniejsze, nie? „No to zapraszam, będziemy was zawiadamiali, po 5 dyszek płacimy”. Był 1991 albo 92 rok, 50 tys. starych złotych! Jeździliśmy, nawet 4 razy w tygodniu i z denatem w kaplicy czekaliśmy. Brzmi jak czarny humor, rodzina wchodziła, a my graliśmy.

Tu chałtura, tam chałtura, tu ludowizna, tam klasyka. Cały czas była robota dzięki muzyce. Dzięki skrzypcom, których w sumie nie lubilem. Trzeba było ćwiczyć po 5 godzin dziennie, a jeszcze matka mnie lała smyczkiem czy kapciem, jak się pomyliłem. Mam więc takie mieszane wspomnienia, bo z jednej strony koszmar tych skrzypiec, a z drugiej stanie w foyer w filharmonii w Olsztynie, jaramie fajek z kumplami, gadanie o dupie Maryni, a potem wyjazd na wymianę do Francji.

A potem popełniłeś „Wakacje”.

– Gdzie to teraz jest? Muszę to odkopać! Taki bardzo archaiczny numer był, z perspektywy dzisiejszej to śmieszny, ale wtedy bardzo mi się podobał. Potem zrobiliśmy jeszcze jeden numer, „Moje miał00”, na melodii takiego kawalka „Tequila”, pamiętasz? Znalazło się to na płycie „Samertajm” potem.

To był gdzieś 1995 rok, pracowałem w Radiu WaMa, potem w Radiu Olsztyn i mój kumpel Adam Górko powiedział, że jedzie do Warszawy, bo znajoma go do BMG zaprasza, ale żebyśmy coś nagrali. I zacząłem nagrywać. Najpierw te „Kobiety”, ale on mówi: „Dawaj cały materiał, ja to spróbuję gdzieś zanieść”. Poszedłem do Ryska Szmita [znany realizator dźwięku], do studia Radia Olsztyn. „Rysiek, weź mi tu studio za friko”. „Dobra, zrobimy demo. Weź jakieś koleżanki, kogoś, kto tam coś

śpiewa”. I poszły ze mną moje kumpelki dziennikarki do chórków i tak jak umiały, to zaśpiewały.

Ja to demo na kasecie magnetofonowej wysłałem – uwaga, dzieci i młodzieży, to taśma magnetyczna w takiej plastikowej obwolutie – wysłałem do Adama do Warszawy, a on do BMG, ale się nie spodobało. To poszedł do Polygramu i mówi: „Dobra, jedziemy”. To był moment, bach, podpisany kontakt.

A pamiętasz, na co wydałeś pierwsze zarobione na muzyce pieniądze?

– Na mitsubishi galant od ojca mojego kumpla. Strasznie kopciła ta fura.

I potem w czerwcu zagrali w Zetce „Kobiety”, a w lipcu...

– Już ganiłi za mną wszędzie i śpiewali. W sklepie, w autobusie. Wspaniale i dziwne. Surrealistyczne. Nagle z muzycznego dziennikarza Radia Olsztyn stajesz się znanym w całej Polsce, no nie wiadomo kim. Zdjęcia w „Bravo”, w „Popcornach”, pierwsze miejsce na wszystkich listach... No i co z tym zrobić? Co dalej?



FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

I jak przyszła pierwsza sława, to zaczęły się te trasy po 300 występów rocznie i podróże samolotami z koncertu na koncert?

– Nie, to później, jakoś 2003, może 2004 rok? Byliśmy na megatopie w 1997-99. W 2000 to już słyszeliśmy w branży: „Nie, dzięki, ty już jesteś do dupy”. A my tych koncertów graliśmy jeszcze więcej. Wiesz czemu? Bo nawet przy gwiazdorskim topie nasza stawka nigdy nie była wygórowana. Nie braliśmy wtedy jak inni, po 25-30, ale zawsze 8-10. I przy tym zostaliśmy, może nieco zjechałem i nie było problemu. I graliśmy te 300 koncertów rocznie, choć Skolim teraz daje ponoć 400. Tylko, że to są inne czasy, jest YouTube, serwisy społecznościowe, można docierać różnymi kanałami do publiki. A ja byłem takim Skolimem lat 90.

I rzeczywiście latałeś samolotem na koncerty?

– Tak. Znalazłem jakiś aeroklub w Częstochowie i pilota, któremu mówię: „Słuchaj, będziesz mnie przewoził tą cenną co ty weekend na koncerty?”. Gość był ciekawy i mówi: „Pewnie”. Wszystko działało do pewnego momentu, do koncertu chyba w Świdnicy. Występ się skończył ok. 14, kierowca zawiózł mnie na jakieś pole, ten pilot tam po prostu wylądował i mnie zabrał. „Lecimy – mówię – bo mamy koncert w Uście. Moja ekipa już była w drodze”.

Facet doleciał do Piły, a w tamtych czasach w awionetkach nie było systemu nawigacyjnego umożliwiającego latanie w nocy i we mgle. A nad tą Pilą chmurzyśka... On mówi: „Norbas, niestety, zwracamy do Poznania, nie dolecimy”. Ja, że spróbuj. Kawaleczek wleciał. I nagle zobaczyłem, jak jego twarz robi się kredowobiałą. A moja chyba jeszcze bardziej. A może zieloną? Myślałem, że popuszczę ze strachu, że z nami koniec, bo jak wleciał w te chmury, to jak niby z nich wylecieć, gdzie? Jakimś cudem

się udało, wyłądował w Poznaniu. Nachlaliśmy się jak świnię, polazłem do kasyna, przegrałem wszystko, co miałem, na drugi dzień mnie samolotem podrzucił do Inowrocławia, gdzie miałem auto. I wróciłem do domu. I skończyłem z tym lataniem na koncerty.

Był taki dzień, w którym dałeś bodajże sześć występów. Zaczęło się pod łódzkim Jumbo Marketem.

– O 10 rano, w sobotę! Hipermarket Jumbo, tak. Potem zbankrutował (*śmiech*). Żartowali, że po moim występie, ale po prostu zmienił nazwę. Ale niech będzie, że po moim koncercie. Stamtąd szybko pojechaliśmy na Lato z Radiem, chyba do Siemiatycz. 45 minut występ i hop – do Warszawy, na Agrykołę, Trójka robiła jakiś koncert, Niedźwiecki mnie zapowiadał. Myślałem, że padnę. Rozumiesz? Norbiego? Niedźwiecki? Zagraliśmy ze trzy kawałki i stamtąd do CH Promenada, na Praagę. Potem też szybki strzał, kilka numerów dosłownie, w jakimś klubiku. I stamtąd pod Łódź, chyba do Zgierza, tam właściciel Cin & Cin robił wesele córki. I tam koło północy skończyliśmy.

Ale żeby nie było, niedawno poczułem się jak za młodu. Mieliśmy taką sobotę, że zagrałem we Wrocławiu o 19:15 na jakiejs firmowej imprezie, o 22:15 w Pabianicach na jakichś urodzinach i o 1:15 jeszcze w Siedlcach w dyskotece.

Jak byłeś na topie, żyłeś jak gwiazda? Hotele, drinki, dragi, kobiety...

– Tak, naprawdę były gorące. To wszystko było. Ale zastanawiam się, co musiało mi siedzieć w głowie, kiedy na przykład, jadąc w limuzynie przez Manhattan, myślałem, że jestem aktorem amerykańskim z filmu Tarantino. Poleciałem tam na koncerty dla Polonii. Organizator załatwił limuzynę, w pewnym momencie sięgnął i posypał. Kokainę. Proszę bardzo. Ja mówię, o świetnie.

To nie był wcale pierwszy raz, brałem już w Polsce i bardzo to lubiłem. Ale szybko to skończyłem, trwało to rok, może półtora. Po prostu poczułem się bardzo źle i zwyczajnie się przestraszyłem. Zresztą z alkoholem było tak samo. Szkoda, że z hazardem nie. Ale wtedy zapaliła mi się lampka i stop.

Skąd ci się wzięły te filmowe klimaty?

– Byłem oczarowany „Wściekłymi psami”, jak pierwszy raz zobaczyłem ten film, a „Pulp Fiction” mnie rozłożyło na łopatki. Byłem zachwycony Tarantino, Rodriguezem. Nie wiem, skąd mi się to wzięło, przecież tam głównie świat przestępczy był pokazywany, a ja... No zgoda, czy to w Olsztynie, czy w Warszawie często mnie wiązali z tym środowiskiem, miałem trochę kontaktów z tymi ludźmi, ale świat artystyczny i kryminalny się w jakimś sensie, imprezowo przynajmniej, przenika. Ale przecież nie robiłem z nimi interesów. Pewnie siedziałem z jakimś gangsterami przy jednym stole, ale to była impreza, i tyle. I ta taca z proszkiem wjeżdżała wtedy. Może w głowie mi się roilo, że życie to film?

Wypad do klubu i przewalenie dwóch-trzech średnich krajowych?

– Na pewno. Ale ja na to tak nie patrzyłem, bo zarabiałem bardzo dużo. Przywoziłem z weekendu po 20, 30, 40 tysięcy złotych w kieszeniach. Gotówką, pozwijane w rulony. I wywalałem to na ziemię i liczyłem. Jak w filmie. Idziesz do knajpy i wydajesz 200, 400, 800 zł? Bez znaczenia. A jeszcze jak masz duszę hazardzisty? Nie ma limitu.

Zachłynałeś się kasą?

– Właśnie nie, skoro ją tak przewalałem. Była dla mnie po prostu czynnikiem do takiego, wesołego, może i głupkowatego, stylu życia.

24-latek zafascynowany narkotykami, srebrna taca z koksem, w głowie kadry z Tarantino... Brzmi jak przepis na katastrofę.

– No widzisz. I zdrowotna katastrofa była ogromna. Przez to imprezowanie z 90-kilogramowego byka schudłem do 55 kg. Zrobiłem badania, mówią, że wszystko w porządku, jest pan zdrowy. Ale jak, jak mnie szarpie? Zresztą mam do dziś nawroty, że mnie trzęsie, telepie, zatyka. Taka cena za hazard, narkotyki, alkohol, stres.

Lekarz mówi: „Idź do neurologa”. Poszedłem. A on: „Witam, jakie narkotyki, kiedy i ile?”. Dał mi, jakiś lek, co się czułem po nim jeszcze gorzej, ale pomogło. Rok go brałem. Powiedział: „Panie Norbercie, odstawiamy wszystko, bo to się może źle skończyć”.

Nie skończyło się na szczęście, ale jak jeździłem z koncertu na koncert, to pierwsza myśl w głowie: gdzie jest najbliższy szpital. I puls skakał. Do tej pory to mam, nawet jak tu siedzimy. Mam takie fale, że raz lepiej się czuję, a raz gorzej. Lekarz mi powiedział, że tak już zostanie. To jest nerwica wegetatywna, z której już się nie wyleczę. Boję się, że mi ciśnienie skoczy, puls, będzie trzeba mnie ratować.

Ale z hazardem ci się nie upiekło. Pierwszy raz zagrałeś w kasynie w Trójmieście na początku XXI wieku. Przegrałeś 100 zł...

– Wiesz, jaki był problem? Że ciągle było za co. Nie ma kasy – jest kasa. Tydzień i po problemie, dzwoni telefon, są koncerty, jest za co grać. I tak jak chomik w kołowrotku. Zawsze dochód. Zawsze. Jednego dnia jesteś żulem, za tydzień już nie. Załatwiłeś problem? Tak.

Żuł w dresie, tak o sobie mówiłeś, kiedy z pustym portfelem poszedłeś do kasyna.

– Prawie pustym. I spotkałem wtedy Mateusza Borka. Mówię: „Cześć, Mati”. A on: „Co ty tu robisz?”. I odszedł, bo miał jakiś event. A ja... coś straszego, ostatnie pieniądze. Napisaaliśmy o tym książkę razem z Sylwią Borowską, o uzależnieniach właśnie, ale i w ogóle tamtych czasach. Będzie dużo moich opowieści. Ukaze się w lutym 2026 roku w wydawnictwie Luna, myślę, że też jako przestroga.

Wspominałeś w wywiadach, że nie da się policzyć, ile przegrałeś. Wyszedłeś z tego dzięki...

– Żonie. Ale nie mówię o sobie „niegrający hazardzista”. Nie jestem nim i kropka.

Masz wrażenie, że show-biznes cię przeżuł i wypluł?

– Kumpel w pewnym momencie mi powiedział, że mogę włożyć nogi do butelek po pepsi. Taki byłem wychudzony. Czemu tak? Nerwica. Wszystko w końcu wybuchło mi we łbie. Narastało i bach. Te popisy przed ludźmi w dzieciństwie, trema, hejt, bo na koncertach często znalazło się parę osób, które tylko fucki pod sceną i krzyki: „Ty ch*ju!”. Dla hiphopowców byłem szmaciarzem.

Ale przetrwałem. Zresztą, nigdy nie miałem doliny, w sensie: doliny artystycznej, jeżeli tak mogę powiedzieć, koncertowej, komercyjnej, dopływu gotówki. Cały czas było coś, jak nie grało mnie radio, to mnie zapraszali do telewizji jako eksperta w śniadaniówkach.

Norbi na każdy temat?

– Norbi do wszystkiego. Po prostu. Ja już mówię, kurczę, może nie chodzić? No ale jak nie chodzić, skoro idę do TVN czy do Dwójki i nagle jest 80 koncertów.

Norbi nigdy się nie skończył?

– Wiesz, ktoś cię lubi, a ktoś nie. Ale skoro ciągle jeżdżę i koncertuję... Raz przychodzi 5 osób, raz 500, raz 5000. No, to może przesadziłem. Z połowę tego.

Jak w 2022 r. na Święcie Gminy w Alwernii...

– Tak. Ale to jednak była wspaniała historia. Bo tak, ja tam prowadziłem imprezę i gościnnie zaśpiewałem parę kawałków, to nawet nie był mój koncert. Wyszedłem na scenę, patrzę – 7 osób – choć sporo siedziało trochę dalej, pod parasolami. Zagrałem, skasowałem, pojechałem dalej i nagle się zrobił szum. My-

śle: kurde, źle, PR fatalny, będzie słabo, pójdzie w Polskę, że na Norbiego się nie chodzi.

Ale w tym czasie, chyba na którychś juwenaliach w Warszawie, jakiś znany raper, nie pamiętam który, nie dał koncertu, bo coś było nie tak z mikrofonem. A czekało z 10 tysięcy ludzi. I potem w internecie piszą: „Kur*a, Norbi wyszedł dla 7 osób, a ten nie wyszedł dla 10 tysięcy”. I nagle ten kij, co cię nim po tyłku bili, zmienił się w marchewkę. A dwa tygodnie później w Zgorzelcu był cały amfiteatr.

Powiedziałeś też, że zaśpiewałeś wtedy, bo jesteś bezobciachowcem.

– Oczywiście. Zagram na weselu, zagram w markecie przy mrożonkach, zagram w ogródku u ludzi, w piwnicy, w garażu. Nie mam z tym kłopotu.

Grałeś między mrożonkami?

– A jak! Gdzieś w Lublinie, zdaje się, otwierali jakieś wielkie centrum handlowe, M1 zdaje się, i między mrożonkami była scena. Albo w okolicach Nowego Sącza między gablotami w ciucholandzie, między galotami.

A jak patrzysz, że Dawid Podsiadło czy sanah zapelniają Narodowy, nie masz żalu? Że dziś, w szczytowej formie, też byś zapelniał?

– Ale to chyba nie ta muza. Ja robię muzykę popową, dance’ową, zawsze trochę wyśmiewaną, wykpiwaną. Jasne, swego czasu był ten hit, ale szybko się zaczęło mówić, że już nie, że wstyd, że obciach. Tak mi się wydaje. Chociaż może dziś... Trochę się zmieniło.

Z drugiej strony może tego nie potrzebuje, nie chcę, nie umiem? Może mam swój pułap? Mnie jest bardzo dobrze, jak było i jak jest. Nigdy, tak jak powiedziałem, nie miałem doliny finansowej. Znaczy: z własnej winy jak najbardziej, ale nigdy nie miałem jakieś przerwy w robocie. Ludzie pytają: „Co u ciebie, co ty robisz teraz?”. Ja mówię: „Kopiuj – wklej, nic się nie zmieniło”. Może troszkę mniej gram, ale jestem prawdziwkim. Może zmieniło się to, że nie chleję, nie ćpam, nie uprawiam hazardu. No jestem normalny. No, w miarę (*śmiech*).

Ludzie bardziej kojarzą cię z telewizji, „Koła fortuny” na przykład, czy z muzyki?

– Nie robię tego drugi rok już, a ludzie, jak spotkają, to mówią, że było świetnie, że szkoda, że już nie ma mnie w „Kole”. To w końcu w to uwierzyłem (*śmiech*). Choć obecni prowadzący też są w porządku. A pamiętam, że jak zadzwoniła do mnie koleżanka, że jest casting do „Jaka to melodia”, to nie chciałem iść. Żona mówi: „Co ty, głupi jesteś?”. „Ale zjedzą mnie, dziewczyno” – odpowiadałam. W końcu, jak to się mówi, „poszłem, bo było blisko”. I wygrałem. Choć potem mi robili koło pióra, że „pisowiec”... a ja mam tyle wspólnego z PiS-em, co ty z jadą figurową na wrotkach, powiedzmy.

Norbert „Norbi” Dudziuk

• Muzyk, piosenkarz, prezenter. Urodził się 2 maja 1972 roku w Ostródzie. Aabsolwent Państwowej Szkoły Muzycznej w Olsztynie w klasie skrzypiec. Zadebiutował na rynku muzycznym płytą „Samertajm”, którą promował utwór „Kobiety są gorące”. Piosenka okazała się hitem i trampolina Norbiego do sławy, a album w 1998 roku zdobył nagrodę Fryderyka w kategorii dance & techno. Na koncie ma też inne przeboje m.in. „Rozkołysz się”, „Nie zaczepiaj mnie”, „Piękny dzień” (zaśpiewany z Krzysztofem Krawczykiem) i „Samertajm” (z Natalią Kukulską). Przez sześć lat (2018-2024) prowadził w TVP teleturnieje „Jaka to melodia?” i „Koło fortuny” wcześniej był gospodarzem pokazywanych w TVN i TVN Gra „Fabryki gry”, „No to gramy!” i „Salonu gier”. W 2015 r. wystąpił w „Dancing with the Star. Tańcu z gwiazdami” w Polsce.

Potem przyszła propozycja, żebym wziął „Kolo fortuny” za Rafała [Brzozowskiego], a on pójdzie do „Melodii”. Zresztą, marzył o tym programie. No i to był strzał w dziesiątkę. Mieśliśmy jakąś megaogładalność [w pierwszych 103 odcinkach z Norbim jako prowadzącym program oglądało średnio 1,44 mln osób].

Odżegnujesz się od tej łatki pisowca, więc pewnie miałeś żal, kiedy po wyborach PiS straciło władzę, przyszły zmiany w TVP i tobie też podziękowali?

– Pomyślałem, że to chyba nie najlepszy ruch, może trochę mniej cenzuralnie nawet, ale z drugiej strony, jak ktoś chce zatrudnić kogoś innego, to dlaczego nie? Nie mogę mieć pretensji, bo jestem w show-biznesie od 30 lat. Dziś się jesteś, jutro nie jesteś. To jest proste: ktoś cię zatrudnia, ktoś zwalnia. Przyczyn może być milion. Życzyłem nowej ekipie powodzenia, to zwykła życzliwość, bo na tym to polega, a nie na tym „polskim” narzekactwie i pomstowaniu, że o, ten to skurwysyn, co teraz jest.

Ale nie czuleś się zblatowany z władzami TVP, nie czuleś się twarzą tamtej telewizji, bądź co bądź, skompromitowanej?

– Jeśli tak ludzie uważają, to proszę bardzo. Dla mnie to nie ma znaczenia. Nie przeszkadza mi to. Bo, uwierz mi, pracowałem dla czerwonych, pomarańczowych, żółtych, zielonych, czarnych i brązowych. Jakakolwiek by władza była, to ja laziłem po tych stacjach. Że się z Jackiem Kurskim witałem? Ja pier*ole, no przecież to są jaja jakieś. Teraz też chodzę wszędzie, wciąż mnie zapraszają.

Pytano cię w wywiadach, choćby Kuba Wojewódzki i Piotr Kędzierski, czy nie masz kaca, że tam pracowałeś.

– Żadnego, absolutnie. Wiesz, kto powinien mieć kaca? Pedofil, złodziej, bandyta. I polityk przede wszystkim. A ci, co mnie znają, wiedzą, że jestem dobrym facetem. Po prostu.

Nikt cię nigdy nie nazwał pisowcem?

– Tak bezpośrednio nie, a po cichu – ooo, to na pewno. Bo tak, bo pracował w TVP za Kurskiego, to na pewno pisowiec. Tiaaaa, chodziłem na te wiece i w pierwszym rządzie byłem. Daj spokój. Od samego początku kariery pisali i gadali o mnie, że jestem taki, śmaki, owaki. Tak to już jest, jak jesteś osobą publiczną i być może w kontrowersyjnym momencie, jak jest taka polaryzacja, wbijasz tam, gdzie inni nie chcą, to ci powiedzą. Zawsze tak było, jest i będzie.

Ty się zasadniczo odżegnujesz od polityki? Mówiłeś nawet, że nie chodzisz na wybory.

– Wiem, że się powinno, że jest obowiązek, ale mnie to w ogóle nie interesuje. Jak oglądam telewizję informacyjną, to się tylko śmieję. Albo tak wkurwiam, że przełączam, bo nie mogę na to patrzeć. To jest żenujące, nie do strawienia. Niezależnie od tego, kto jest u steru. Powiedzą: „Ale jak to? Powinieneś mieć jakieś zdanie”. To jakieś zdanie mam. Teraz musisz być albo taki, albo taki? To może jestem pravicowcem, lewicowcem, centrowcem. Jestem wszystkim, trzy w jednym.

To wygodne.

– Co zrobić? Tak mam. Lubię gejów, nie przeszkadza mi, że dziewczyny się całują, a chłopaki trzymają za ręce, a z drugiej szanuję martyrologię i jestem dumny z „żołnierzy wyklętych”. Imponuje mi logika Krzysztofa Bosaka z Konfederacji, a jednocześnie jestem za aborcją. I co?

Taka rozpiętość poglądów, a nie chodzisz głosować i już nigdy do urny nie pójdziesz?

– Teraz, jak były wybory prezydenckie, to przyjaciele prosili mnie, żebym poszedł.

I poszedłeś.

– Poszedłem.

Na kogo zagłosowałeś nie powiesz?

– Nie. Ale oddałem ważny głos. ●



ROZGRZEJESZ JEJ DŁONIE PO MOIM TRUPIE

Porannek był mglisty. Wyszedłem na taras z kubkiem kawy w rękę i laptopem pod pachą. Nad lasem w Łopuchowie z piskiem przeleciały ptaki. Przede mną po padoku biegały i rżały konie. Od kilku lat mieszkaliśmy nad stadniną prowadzoną przez moją żonę, Dobrochnę.

Zacząłem się rozciągać. Z zadowoleniem przyjrzałem się prawej dłoni. Rana po zimowej wyprawie na Nanga Parbat goiła się w niezłym tempie, niedługo nie będzie po niej śladu. Nieźle jak na blisko 80-metrowy lot. Wziąłem łyk kawy i zacząłem sprawdzać maile.

„Jakim cudem mamy zorganizować wspólną wyprawę, skoro nie możemy się nawet umówić na Skype’a?” – pisał z lekkim wyrzutem Louis Rousseau, kanadyjski wspinacz, zdobywca Złotego Czekana.

Do maila załączył dziesiątki zdjęć. Otworzyłem pierwsze i nagle balkon, ptaki i konie gdzieś zniknęły. Znów pochłaniały mnie góry.

Miałem swojej projekty na kolejne miesiące, a może i lata, ale nie potrafiłem oderwać się

od fotografii dziewiczych ścian, zbliżeń grani i filarów, od pomysłów na nowe drogi, które od lat z pedantyczną systematycznością kompletował ten Kanadyjczyk.

Był moim przeciwieństwem. Słabo wychodził mi odpisywanie na maile, nie lubię pracy topograficznej, którą trzeba wykonać przed każdą wyprawą, nie bawi mnie jeżdżenie palcem po poziomcach, przedzieranie się przez stare mapy i wyluskiwanie z nich miejsc, w których jeszcze nikogo nie było. A Louis jest mistrzem logistyki. I podtrzymywania kontaktu. Nie ma chyba nikogo znaczącego w środowisku wspinaczkowym, kogo by nie znał. Jeśli istnieje jakaś dolina, do której dotarła tylko jedna ekspedycja, a sześciu z siedmiorga jej członków nie żyje, Louis znajdzie kontakt do ostatniego.

„Louis, zdzwonił się, rzeczywiście trzeba porozmawiać, zaciekała mnie jedna z twoich propozycji...” – zacząłem pisać odpowiedź. Nie zdążyłem odłożyć telefonu, gdy zabrzączał ponownie.

„Cześć, Adam, i jak, jedziemy na ten Everest?”

To pisała Elisabeth Revol. Poznaliśmy się poprzedniej zimy pod Nanga Parbat i polubi-

liśmy. Jak w takim małym ciele może być tyle siły, zastanawiałem się, słuchając opowieści, jak z Tomkiem Mackiewiczem od lat próbowali wejść zimą na Nangę. Wydawałoby się, że dzieliła ich przepaść. Eli uprawiała sport, sumiennie i systematycznie trenowała, prowadziła zdrowy tryb życia. Tomek był kolorowym ptakiem po przejściach. W polskim świecie wspinaczkowym pojawił się znikąd i był samoukiem coraz śmielej zapuszczającym się w miejsca dostępne, wydawałoby się, tylko dla doświadczonych alpinistów. Mimo tych różnic tworzyli świetny duet.

Pomysł poprowadzenia nowej drogi na północnej ścianie Mount Everestu zrodził się w głowie Denisa Urubki. Szukał sponsorów, ale coś mu nie szło. Tym razem nie chciał ze mną jechać, więc opowiedziałem o tym projekcie Eli. Daliśmy też znać Tomkowi i w pierwszej chwili był zainteresowany, ale jak zwykle miał kłopoty finansowe, więc zostaliśmy we dwoje.

Deiwicze trasy z Louisem, Everest z Eli... Jak znaleźć na to wszystko czas? Może po prostu powinienem w końcu skupić się wyłącznie na tym, co pociągało mnie coraz bardziej, czyli technicznym wspinaniu w niższych górach?

Jedno nie ulegało wątpliwości – znalazłem się w miejscu, w którym chciałem być od zawsze. Mogłem przebiegać w ambitnych propozycjach i czułem, że są w moim zasięgu. Choć magia ośmiu tysięcy metrów przestawała mieć nade mną władzę, jeszcze nie odpuszczałem i planowałem kolejne, długie wyprawy. Najpierw jesienią Everest, potem pobędę dłużej w domu, a na wiosnę ruszę gdzieś z Louisem. Tylko dokąd?

– Nie wierzę... – Szerzej otworzyłem oczy.

Znad łatwego lodospadu, który każdy z uczestników zimowej wyprawy na K2 powinien przejść samodzielnie z jednym czekaniem i bez asekuracji, zwisała lina. Koledzy wpinali się do niej i w ten sposób wspinali się z górną asekuracją na tzw. wędkę.

Popatrzyłem na Kaczmara. Musiał widzieć moją minę, bo delikatnie się uśmiechnął. – Co to ma być? – zapytałem.

Ostrożnie dobierał słowa, ale czytając między wierszami, zrozumiałem, co reszta środowiska sądzi o nas, himalaistach. Byliśmy pośmiewiskiem. W świadomości laików miano himalaisty oznaczało ukoronowanie górskiej

Jest jeszcze jedna rzecz, która mnie wyróżnia – ADHD. Kiedy tylko się zdiagnozowałem, stało się dla mnie oczywiste, że osoby neuroatypowe mają wśród wspinaczy nadreprezentację

Fragment książki „Bez śladu”



• Adam Bielecki i Denis Urubko na Czarnej Piramidzie na K2, w tle widać Broad Peak
FOT. ADAM BIELECKI

kariery, ale dla świetnie wspinających się technicznie osób stało się synonimem obciachu i wstydu, deptania trawy, chodzenia pod górkę z kijkami a przede wszystkim braku umiejętności.

Wbiełem się w lód. Szybko okazało się, że wspinam się najlepiej ze wszystkich, a i tak czułem, że brakuje mi techniki. A potem otworzyłem oczy jeszcze szerzej niż na początku, widząc, jak jeden z uczestników szkolenia wypełnia śmiertelnie niebezpieczny, szkolny błąd, źle wpinając przyrząd do asekuracji. – Piotrek – wziąłem na bok Tomalę, który kierował programem Polski Himalaizm Zimowy – widziałeś, co on robi? Przecież zaraz komuś stanie się krzywda. Jeśli on pojedzie na K2, to ja wypisuję się z wyprawy. No chyba że najpierw zda egzamin taternicki i nauczy się obsługiwać przyrząd asekuracyjny, bo jak na razie najwidoczniej nie umie. Ja z nim nie będę się wspinał. Po prostu się boję – wyrzuciłem z siebie.

Po powrocie cieszyłem się czasem z dziećciakami. Tymek chodził już samodzielnie i coraz ładniej mówił. Podczas jednej z naszych wycieczek do Poznania mijaliśmy cmentarz, który

przykuł uwagę mojego syna. Zatrzymał się nagle i wyciągnął palec w stronę nagrobków.

– A co to jest, tata?
– Cmentarz.
– A co to jest cmentarz?
– Hmm, to jest takie miejsce, gdzie mieszkają ludzie, jak już umrą – odpowiedziałem po chwili zastanowienia.
Tymek zrobił skupioną minę. – Ale to w tych małych domkach mieszkają? – Wskazał na grobowiec.
– Tak.
– To musi być im bardzo ciasno – zauważył smutno.
– No, może tak być.
– Ale jak są już umarnieci ci ludzie, to pewnie i tak nic już im nie przeszkadza – dodał pogodnie i raźnie ruszył przed siebie.

System jest prosty – dwóch idzie do góry, a jak zejda, to wspina się kolejna dwójka – ogłosiło kierownictwo kilka dni później, gdy skończyliśmy budować bazę.

Moim zdaniem to nie miało sensu. Dwie osoby miały walczyć z górą, a reszta siedzieć bezczynnie, zamiast pracować na zakład-

• „Bez śladu”

(wydawnictwo AB Team)
Nowa książka **Adama Bieleckiego**, wybitnego himalaisty i **Dominika Szczepańskiego**, dziennikarza Gazeta.pl i „Wyborczej”, obieżyświata, autora książek górskich i podróżniczych, obecnie związanego z Newsweek.pl.



Już dostępna w formie papierowej i cyfrowej na Bezsladu.com. To kontynuacja bestselera „Spod zamkniętych powiek”, który jest do kupienia na Kulturalnysklep.pl i na Publio.pl.

kę? Chciałem już powiedzieć, że to jakaś przestarzała taktyka, żywcem wyjęta z lat 80., ale ugryzłem się w język. Woląłem się nie wymądrzać i zająłem swoje miejsce w szeregu.

I tak ta wyprawa miała zbyt wielu kierowników. Powtarzałem sobie stare, dobre zasady, które wpoił mi Artur Hajzer: siedź cicho i się nie wtrącaj, rób swoje i ciężko pracuj.

– Gwiazdeczko. – Wielicki stanął nade mną i uśmiechnął się ironicznie.

– Bardzo cię proszę, nie zwracaj się do mnie w ten sposób.

– Dobra, słuchaj, musisz wyłączyć spota. Spot to nadajnik satelitarny, który na bieżąco pokazuje na internetowej mapie miejsce, w którym jestem. Od czasu do czasu publikowałem jego zapis w mediach społecznościowych, dodając lokalizację do kilku zdań wpisu informującego o postępach wyprawy.

Okazało się, że media na podstawie pozycji mojego spota pisały artykuły analizujące nasze poczynania. Usłyszałem, że mam zakaz publikowania nie tylko linka do mapy, ale również własnych wpisów.

– Zbierasz na sobie całą uwagę i gwiazdorzysz – orzekło kierownictwo wyprawy. – Jedynie, co wolno ci robić, to udostępniać wpisy z oficjalnego profilu Polskiego Himalaizmu Zimowego.

– Nie zgadzam się – odparłem. – Nie było o tym mowy przed wyprawą. Mam swoich fanów i chcę ich dopieścić. Czy wy nie rozumiecie, że jedziemy na jednym wózku? Wszystko idzie na wspólne konto.

Nie chcieli mnie słuchać. Wyszedłem z dużego namiotu wzburzony. Nie rozumiałem strategii wspinaczkowej, a teraz przestałem też rozumieć strategię medialną. Miałem zobowiązania wobec sponsorów, a ich złamanie niesło konsekwencje. Musiałem się przevietrzyć. Postanowiłem obejść bazę.

Przypominała małe miasteczko, więc miała swoje dzielnice. Jej sercem był namiot bazy. Mesa łączyła się z kuchnią, a kilka metrów dalej znajdował się namiot, wewnątrz którego schowaliśmy potężny talerz satelitarny zapewniający nam wi-fi. Nie mieliśmy na ten sprzęt pozwolenia od pakistańskich władz, postanowiliśmy więc ukryć talerz przed wzrokiem ciekawskich.

Serce bazy otaczały kolejne dzielnice. W pakistańskiej mieszkała obsługa wyprawy. Obok namioty rozbija starszyzna – Wielicki, Snopczyński, Urubko i Załuski. Za nią znajdowała się dzielnica młodzieży. Na skraju miasteczka powstała dzielnica samotnych wilków, którzy chcieli mieć święty spokój. Rozbiliśmy tam swoje namioty – z dala od reszty i z dala od siebie nawzajem. Nie wiem, jak pozostali, ale ja na wyprawach słucham sobie muzyki z głośniczka i nie chcę nikomu przeszkadzać. Po między dzielnicami stała suszarnia, w której odpalaliśmy palniki kerosynowe i wieszaliśmy wilgotne rzeczy. Cenę za ich wysuszenie stanowił przenikający odzież zapach nafty.

Najpilniej strzeżonym ze wszystkich miejsc był namiot ze szturmierzem, czyli zapasami na atak szczytowy. Wypełniały go ptasie mleczka, michałki i inne smakołyki. Niedaleko mieścił się namiot ze sprzętem, pakistański składzik kuchenny, spiżarka i, nieco dalej, toale-

ta. Prysznic brało się w łączniku między me-są a namiotem kuchennym. Zrobiłem to na tej wyprawie tylko raz, czym wyśrubowałem swój poprzedni zimowy rekord z Broad Peak, gdzie wykapałem się dwukrotnie. Najwięcej, bo trzy razy, brałem prysznic na pierwszej zimówce pod Gaszerbrumem I.

– Mohsin, pomóc ci?
Pakistańczyk uśmiechnął się szeroko. Zналиśmy się dobrze, gotował na moich dwóch zimowych wyprawach w Karakorum, spotkałem go również w bazie pod Nanga Parbat.
– Jeśli chcesz, to sobie pomachaj. – Dał mi czekan i wskazał kawał lodu.

Przesiadywałem w namiocie kuchennym godzinami. Lubilem towarzystwo Pakistańczyków. Rozmawialiśmy i słuchaliśmy muzyki, pozwalalo mi to na chwilę zapomnieć o wszystkim, co działo się w namiocie obok, gdzie pośród burzliwych dyskusji, co chwilę zmieniały się pomysły na naszą wyprawę.

Usiadłem z kubkiem ciepłej herbaty i zacząłem przeglądać wieści z gór. W Himalajach działy tylko dwie wyprawy – Alexa Txikona, który próbował wejść razem z drużyną Szerpów na Everest, a także Eli Revol i Tomka Mackiewicz.

Tomek po raz pierwszy zwrócił moją uwagę, gdy razem z Markiem Klonowskim w trakcie długiej i wyczerpującej wyprawy zdobył szczyt Mount Logan w Górach Świętego Eliasza w Kanadzie. Startowali wtedy z zatoki i z nim dotarli na grań Logana, przeszli kilkadziesiąt kilometrów. Tomek miał kiepski sprzęt, a mimo to sobie poradził. Udowodnił tamtą wyprawą, że ma duże zdolności survivalowe. Potem pojechał samotnie na Chan Tengri i również udało mu się wejść na wierzchołek.

Kiedy z Klonowskim obrali sobie za cel Nanga Parbat, z początku przyglądałem się temu z niewielkim zainteresowaniem. Nie byłem pewien, jak oceniać tamte wyprawy – odczuwałem coś między szacunkiem do ich punkowego charakteru a zażenowaniem związanym z amatorskim podejściem do wyzwania, jakim była próba zdobycia Nagiej Góry w zimie.

Czasem widywałem Tomka na festiwalach. Chciałem z nim pogadać i go poznać, ale czekałem na moment, aż będzie trzeźwy i jakoś nie umiałem na taki trafić. Słyszałem też o Tomku różne opinie – że zawala i nie ogarnia.

Wyłaniał się z tego wszystkiego portret Piotrusia Pana, który niezbyt poważnie traktuje życiowe obowiązki. W trzeciej próbie na Nanga Parbat Tomek dotarł na wysokość 7400 metrów. Żadnemu wspinaczowi od 16 lat nie udało się zimą stanąć na tej górze tak wysoko.

Zimą 2015/2016 spotkaliśmy się z Tomkiem w bazie Diamir pod Nangą. W końcu mieliśmy czas, żeby dłużej porozmawiać. Zdecydowanie zyskiwał przy bliższym spotkaniu. Okazał się człowiekiem z całym wachlarzem zalet oraz wad, których w przeciwieństwie do innych nie starał się ukrywać. Wydał mi się niezwykle autentyczny w świecie alpinistów, dla których umiejętność kreacji często była równie istotna, jak sama wspinaczka. Wydawał się być wysoce samoświadomy. Nie ukrywał trudnej przeszłości – uzależnienia od heroiny, skomplikowanej relacji z byłą żoną i z rzeczywistością, która po każdym powrocie z Pakistanu witała go w postaci komornika.

Miał otwartą głowę, starał się nie oceniać, szukał raczej drugiego dna w postawach innych ludzi. Kiedy w bazie wszyscy kogoś grali, Tomek po prostu był sobą. Nie nosił swojej polatanej kurtki ze wstydem. Przeciwnie, uczynił z braku sponsorów, z tego całego nieprzystosowania atut. Był niesamowicie niedoskonały. Nie ukrywał blizn, zamiast tego pokazywał je, mówiąc, że skoro on może, to duże rzeczy są w zasięgu każdego. I chociaż na co dzień uśmiechnięty to wisiła nad nim czarna chmurka, zmierzania do nicości.

Tamtej zimy do pewnego momentu wszystko szło zgodnie z planem, jednak szybko okazało się, że mój partner nie jest w stanie konty-

nuować wyprawę. Gdy inni cieszyli się, że właśnie stracili rywali, Tomek i Eli jako jedyni zaproponowali, że mogą do nich dołączyć. Wiele to dla mnie znaczyło, szanowałem ich gest, miałem jednak poczucie, że stanowią sprawdzony zespół. Nie chciałem go zaburzać swoją obecnością, więc podziękowałem.

Powiedziałem też Tomkowi wprost, że każdy chodzi po górach tak, jak chce, i że nie chcę go w żadnym razie krytykować, ale ja wolę wspinać się przy dobrej pogodzie, na lekko i szybko, podczas gdy on woli iść powoli, z ciężkim plecakiem i nie zważając na prognozy.

Eli była inna. Podczas pierwszego spotkania poczułem moc płynącą z jej filigranowej sylwetki. Spowijała ją aura siły, zarówno tej fizycznej, jak i mentalnej. Zupełnie jakby duch nie mieścił się w tym małym ciele. Nigdy nie poznałem górskiego zespołu, który by ich przypominał. Ona: sumienna, precyzyjna, fanatycznie wypełniająca zadania treningowe, dbająca o zdrowe odżywianie, z poukładanym życiem zawodowym i rodzinnym. On: przyjeżdżający pod górę zmęczony, nieprzygotowany fizycznie, z nadwagą i przekonaniem, że jakoś to będzie. Mimo że pochodzili z różnych światów, jak żaden zespół wydawali się być zjednoczeni misją.

– Adam, widziałeś? Tomek i Eli idą do szczytu – rzucił ktoś w mesie.

– Jak to? Jest za wcześnie. To nie może się dobrze skończyć – powiedziałem ze strachem.

Zasypiałem z ciężkim sercem i głową pełną czarnych myśli.

Od rana nasłuchiwalismy wieści. Płynęło ich niewiele. Poza kilkoma miejscowymi Eli i Tomek byli pod Nangą sami. Nie lubili rozgłosu i nie mieli w zwyczaju relacjonować wyprawy na bieżąco, co obecnie jest standardem.

Wiedzieliśmy, że wspinają się w ten sam sposób, co zawsze – bez tleniu z butli, bez tragarzy i lin poręczowych. Ich styl mógł imponować. Z ogromnym uporem próbowali poprowadzić częściowo nową drogę na ośmiotysięczniku, do tego zimą.

Wieczorem powiedzieliśmy się, że Eli i Tomek zdobyli szczyt, ale mieli problemy. Z Tomkiem działo się coś niedobrego. Eli sprowadzała go do podstawy piramidy szczytowej. Musimy po nich lecieć. Zrozumiałem to od razu.

Na całej planecie jest może kilkanaście osób, które są w stanie w zimie przeprowadzić akcję ratunkową na takiej wysokości. Ale muszą być zaaklimatyzowane, co jeszcze zmniejszało tę liczbę. Tu i teraz byliśmy jedynymi, którzy mogli coś zrobić.

Próbowałem sobie wyobrazić, co przeżywa Eli. Jeśli Tomek nie mógł schodzić, musiała wiedzieć, że będzie z nim tylko gorzej. Na atak szczytowy zabrali może po litrze herbaty w termosie. Wypili ją już dawno temu, muszą być więc totalnie odwodnieni. Brakuje im śliny, mają problemy z mówieniem, mogą myśleć tylko o piciu, zaczynają boleć ich języki. Robi się zimniej i zimniej. Jeśli mają przy sobie łopatę, próbują wykopać jamę i wejść do środka, przytulić się do siebie i zawinąć w embriony. W takich temperaturach na takiej wysokości nie ma się pewności, czy można zasnąć, bo jeśli jest za zimno, człowiek już się nie obudzi.

Potem wstaje dzień. Człowiek czeka na słońce jak na zbawienie, myśląc, że przyniesie trochę ciepła. Tymczasem świt jest najzimniejszym momentem całej doby. A słońce jest jednym wielkim żółtym rozczarowaniem.

Po takiej nocy o poranku ma się już pewne odmrożenia. Co poczuje Eli, kiedy zobaczy, że obok leży nieprzytomny Tomek? Jeśli jego stan był tak zły, jak informacje, które do nas docierały, nie jest w stanie mu pomóc. Jedyne, co będzie mogła zrobić, to towarzyszyć mu w odchodzeniu. Jednocześnie każda sekunda w bezruchu oddala ją od życia.

Denis już się wspinał. Widziałem szybko oddalające się plecy mojego partnera. – Denis, do



Wysłałem wpis o wejściu Nepalczyków na K2 i rozpętało się piekło. Zaczęło się od „Polak cebulak”, ale wkrótce ludzie zaczęli wysyłać mi prywatne wiadomości, w których pisali, żebyśmy umarli w cierpieniu. Ja i moje dzieci

cholery, poczekaj! – krzyknąłem, próbując jak najszybciej się przepakować.

Zabrałem butlę z tlenem i pognałem za Urubką. Zatrzymał się, bo musieliśmy się zwinąć i założyć raki.

– Denis, nie pędź tak!

– Nie mamy czasu – burknął.

Próbowałem uspokoić oddech. Za naszymi plecami jarzył się jeszcze ostatni skrawek zachodzącego za granią słońca. Kiedy zniknęło, temperatura momentalnie spadła o kilka stopni. Chyba wtedy po raz pierwszy dotarło do mnie, w jakiej sytuacji się znalazłem. Od miesiocy przygotowywałem się mentalnie, że będę wspinał się zimą na K2, tymczasem trzęsę się pod Nanga Parbat. Zapada zmrok, nie mamy namiotu, śpiwora ani karimaty. W plecaku niosę butlę z tlenem, termos, maszynkę do gotowania, jeden gaz, jeden liof, odżywkę białkową, jedną żyłę liny połówkowej i 50 m pięciomilimetrowego prusa, cienkiej linki pomocniczej.

Zacząłem szybciej oddychać, czując napływający strach. Miałem w pamięci słowa Eli. Napisała, że nie da rady zejść poniżej 6800 metrów. To oznaczało, że mamy do niej prawie dwa kilometry w pionie. Ile to nam zajmie czasu? Dwie doby?

Dystans do Denisa rósł. Niosłem o kilka kilometrów więcej i nie byłem w stanie go dogonić. Zatrzymałem się i zostawiłem butlę z tlenem. Pokonaliśmy ostatnie metry po śniegu i stanęliśmy przed lodową, nachyloną pod kątem 45 stopni ścianą. Kilkaset metrów wyżej kuluar zamykała skalna bariera.

– Zwiążmy się.

– Damy radę bez liny. – Urubko zrobił krok w przód.

– Nie ma mowy! Możesz prowadzić, ale proszę, zakładaj jakieś przeloty, chociażby na starych poręczach.

– Dobra – mruknął i ruszył w górę. Zakładał przelot co jakieś 50 metrów. Zrobiło się ciemno, włączyliśmy czołówki, drogę oświetlał nam też księżyc.

Po pięciu godzinach zbliżyliśmy się do granicy 6 tysięcy metrów i zatrzymaliśmy się pod ścianą Kinshofera. W jeden wieczór dotarliśmy wyżej, niż udało mi się wspiąć dwa lata wcześniej w ciągu trzech tygodni. W mediach można było potem przeczytać, że przekroczyliśmy granicę ludzkich możliwości i biegliśmy po ścianie jak maszyny. Nie mogę się z tym zgodzić. Rzeczywiście, poruszaliśmy się sprawnie i szybko, ale nic ponad to. W pięć godzin pokonaliśmy około 1000 metrów w pio-

nie. Porównywano nas na memach do Terminatora. Miło, ale to nieporozumienie. Wspinaliśmy się naprawdę szybko, jednak nie aż tak. Ten dysonans poznawczy może wynikać z faktu, że eksperci w studiach telewizyjnych prognozowali, że do około 7000 metrów, na której być może spotkamy Eli, dotrzemy w dwa dni. Rzeczywiście im wyżej, tym wolniej byśmy się poruszali, ale mało kto dostrzega, jak daleko Elisabeth zeszła sama.

Pod ścianą Kinshofera piętrzącą się na granicy 6000 metrów spędziliśmy pięć minut. Wybiła północ. Zadarłem głowę i spojrzałem na sto metrów skalnego terenu niknącego w mroku. Trudności wspinaczkowe dochodziły do szóstki. Zaczepiałem raki i czekany na niewielkich krawędziach, nie mogąc wyjść z podziwu, jak sprawni musieli być wspinacze z Tonym Kinshoferem na czele, którzy jako pierwsi pokonali ten odcinek przeszło pół wieku temu.

1:50 w nocy. Popatrzyłem w ciemność. Dobiegały z niej słowa, których nigdy nie zapomniałem.

– Elisabeth, miło cię widzieć – powiedział Denis. – Adam, mam ją!

Choć od kilkudziesięciu godzin walczyła o życie, wyglądała, jakby wyszła w nocy z namiotu za potrzebą. Emanowała spokojem i siłą. Na dłoniach miała lekkie rękawiczki. Żadnej czołówki ani plecaka, a przy uprząży brakowało jej przyrządu zjazdowego i karabinków.

– Eli... – Przytuliłem ją i poczułem napływające do oczu łzy wzruszenia.

Jakim cudem się tu znalazłaś, dziewczyno? Przecież to niemożliwe. Miałas być pół kilometra wyżej.

– W jakim stanie jest Tomek? Czy może schodzić samodzielnie? Albo z pomocą innych osób?

– Kiedy się rozstawaliśmy, był nieprzytomny. Miał odmrożoną twarz, ręce i nogi. – Eli była skoncentrowana i precyzyjna. – Z kącika ust ciekła mu krew.

– Jak się czujesz? Chcesz odpocząć, czy schodzimy? – zapytałem.

– Mogę schodzić.

– Super. Denis, ruszamy.

Podaliśmy jej zestaw leków na odmrożenia. – Trzeba ogrzać jej ręce – Urubko zaczął ciągnąć Eli rękawiczki.

Po raz pierwszy zobaczyliśmy jej palce. Miały kolor wosku, a końcówki były czarne.

– Nie mogę ich zgąć – powiedziała Eli.

Denis energicznie pocierał jej dłonie, mówiąc, że zaraz zagrzejemy je w cieplej wodzie.

– Zwariowałeś? Zostaw ją, bo straci palce! Jeśli je teraz rozgrzejemy, to potem na sto procent skończy się amputacją.

Patrzyłem zdumiony na Denisa. Tyle lat wspinania, tyle akcji ratunkowych, a zapominał o podstawach leczenia odmrożeń?

– Powtórzę jeszcze raz: rozgrzejesz jej dłonie po moim trupie!

Cały świat się do ciebie dobija. – Januszek dał mi do zrozumienia, że muszę w końcu udzielić jakiegoś wywiadu.

– Ani nie chcę, ani nie mam warunków, żeby spokojnie porozmawiać ze wszystkimi – stwierdziłem. Czulem się przytłoczony zainteresowaniem mediów. – Umów na wywiad jedną gazetę, jedno radio i jedną telewizję. Przekażę im, co mam do powiedzenia, a reszta niech to po prostu zacytuje. Naprawdę jest takie zainteresowanie?

Wspinając się w nocy w kuluarze Kinshofera, czuliśmy się najsamotniejszymi ludźmi na Ziemi. Tymczasem obserwowały nas tłumy. Poczułem się przytłoczony. Zupełnie jak Truman Burbank, bohater „Truman Show”, kiedy zorientował się, że jego życie podgląda cały glob.

– Jest jeszcze jedna sprawa – powiedział Janusz. – Odezwał się do mnie jakiś facet. Mówi, że ma środki na zorganizowanie akcji ratunkowej po Tomka.

To nie trzymało się kupy. Od momentu, kiedy Eli rozstała się z Tomkiem, minęło kilkadziesiąt godzin. Poza tym ugrzęźliśmy w Skardu, bo pogoda była kiepska i nie nadawała się do latania. Wracać teraz na Nangę? Z kim? Jak wysoko? I co dalej? Jakim cudem odnaleźć Tomka ukrytego w szczelinie lodowej?

– Nie da się zorganizować takiej akcji – westchnąłem. – Po pierwsze piloci musieliby uzyskać pozwolenie od swoich szefów, żeby polecieć bardzo wysoko, powyżej siedmiu tysięcy metrów. A najlepiej, żeby na akcję poleciał europejski pilot swoją maszyną. Nie wierzę, że taka zgoda zostanie wydana albo że jakiś pakistański pilot się na to zdecyduje. Po drugie, potrzebowalibyśmy kilku wspinaczy, którzy posiadają doświadczenie zimowe. Nie ma tu takich. Do tego wielu butli z tlenem. I przede wszystkim pogody.

– Mówienie ludziom, że Mackiewicz żyje i można go uratować, jest jak opowieści o tym, że ktoś spaceruje po Księżycu bez skafandra i tlenu – komentował w mediach himalaista Jacek Berbek, himalaista, brat Maćka.

Na WhatsAppie powstała grupa pod nazwą: „Can we start another rescue operation for Tomasz Mackiewicz?”. Jej uczestnicy proponowali między innymi wysłanie trzech dronów, które dostarczą Tomkowi jedzenie i leki.

Kliknąłem w kolejny nagłówek. Pół godziny później załadował się krótki artykuł, z którego wynikało, że niejaka Vanessa O'Brien, amerykańska turystka wysokogórska, obwinia nas o śmierć Tomka. Pisała, że mamy krew na rękach, bo zamiast go ratować, oszczędzamy siły przed powrotem na K2.

W czasie, gdy Dobrochna była w ciąży z Tymkiem, pojechałem samotnie na północną ścianę Mięgusa. Kiedy dotarłem do kopuły szczytowej i wbiłem się w Rynnę Wawrytki, okazało się, że warunki są bardzo wymagające.

We wspinaniu na żywca jestem zachowawczy. Mam taką zasadę, że wykonuję kolejny ruch, tylko jeśli jestem w stanie go odwrócić.

Tamtego dnia dotarłem do miejsca, w którym poczułem, że stoję niepokornie. Musiałem sięgnąć wyżej, ale wiedziałem, że jeśli mi się nie uda, nie cofnę tego ruchu, bo stracę resztkę stabilności. Poczułem wtedy ogromny strach. Chciałem poznać swojego syna. Spędzić z nim wystarczająco dużo czasu, żeby wiedział, kim jest jego ojciec. Założyłem więc stanowisko i się przyasekurowałem, rezygnując ze stylu, w którym zamierzałem przejść tę drogę.

Lęk przed tym, że mógłbym nie zobaczyć dorastania Radochny i Tymka powraca do mnie co jakiś czas.

Nie chcę, żeby dzieci znały mnie tylko z książek, wywiadów i opowieści innych ludzi.

Póki co są jeszcze za mali i przyjmują świat naturalnie, więc nie denerwują się, kiedy jestem w górach. Gdyby zobaczyli latającego człowieka, powiedzieliby bez cienia zaskoczenia, że też tak chcą. Dla nich moje wyjazdy są czymś zwykłym, mówią, że: „tata musi być w górach, bo to jest jego praca”.

Któregoś lata siedzieliśmy sobie z Tymkiem i Radosią pod namiotem. Na kuchence gotowała się woda na herbatę, wspólny wyjazd powoli dobiegał końca.

Zebrałem się w sobie: – Słuchajcie, muszę was o coś zapytać: Gdzie chcielibyście spędzić wakacje? Dużo jeździmy pod namioty, a może wy nie macie na to ochoty?

– Tata, ty dobrze wymyślasz, więc możemy jechać gdziekolwiek, byleby nie do miasta i żeby było dziko – odpowiedział Tymek, a Radosia się zgodziła.

Bardzo starałem się nie podskoczyć z radości.

– Fajnie – powiedziałem spokojnie.

– Możemy jechać pod namioty w Sokoliki – dodał Tymek.

Poczułem wielką ulgę, że nie zrazilem moich dzieci do obcowania z przyrodą. To częsty błąd, który obserwuje u innych rodziców. Chcą zarazić dzieci swoją pasją, ale robią to nieumiejętnie i skutecznie je do tego zniechęcają.

Moim celem zawsze było pokazanie Radosi i Tymkowi, że fajnie jest się zmęczyć i że nie trzeba wydawać milionów, żeby mieć superwakacje. To dla mnie ważne, bo ta wiedza zanika. Tymczasem dobrze jest czasami dać sobie w kość, zmarznąć i poczuć głód.

Uważam, że ludziom, którzy nie mierzą się w życiu z egzystencjalnymi zagrożeniami, brakuje poczucia sprawczości i kompetencji. Trudniej jest im w siebie uwierzyć. Stawianie się w sytuacji granicznej i jej przezwyciężanie daje poczucie mocy, które potem przydaje się nam w zwykłym, codziennym życiu.

Dziecko, które bez przerwy będzie słyszeć: „nie dotykaj, bo się pobrudzisz, potkniesz, lepiej to zostaw”, wyniesie z młodości przekonanie, że świat to groźne miejsce, a celem naszego życia jest chronienie się przed niebezpieczeństwami, maksymalizowanie komfortu i minimalizowanie wysiłku, potu i bólu. Według mnie ta droga wiedzie do katastrofy. Musimy czasem być głodni i obolali, bo inaczej zatracimy się w konsumpcjonizmie.

Nigdy nie robiłem notatek, które pomogłyby mi sobie uporządkować, co zabrać na długą wyprawę. Jestem dyslektykiem, od zawsze uczyłem się więc zapamiętywać. Dokładną listę mam w głowie. Jest jeszcze jedna rzecz, która mnie wyróżnia – ADHD. Kiedy tylko się zdiagnozowałem, stało się dla mnie oczywiste, że osoby neuroatypowe mają wśród wspinaczy nadreprezentację.

Wielu z nas, świadomie czy nie, traktuje wspinaczkę jako formę autoterapii. Dla nadpobudliwych ruchowo dzieci to strzał w dziesiątkę.

Sam byłem takim dzieckiem, co zrozumiałem dopiero po latach.

Na studiach z psychologii uczono nas, że ADHD magicznie wyparowuje wraz z ukończeniem 18 roku życia, co jest ewidentną bzdurą. Na fali popularności tematu zacząłem czytać o ADHD u dorosłych i okazało się, że mam wszystkie klasyczne objawy.

Przeprowadziłem proces diagnostyczny i dostałem leki. Zrozumiałem też, że pewnych rzeczy już nie zmienię, bo po prostu tak zostałem „okablowany”.

ADHD nie zniknie. Wiem, że już zawsze będę reagował inaczej niż większość. Ma to jednak plusy. Kiedy spadnie bomba, będę

prawdopodobnie najbardziej ogarniętą osobą w pokoju. Po diagnozie stało się dla mnie jasne, dlaczego w sytuacjach krytycznych jestem tak spokojny. Gdy tylko pojawia się sytuacja zagrożenia życia, czuję, że stoję się – choć raz sam użyję tego porównania – maszyną idealną. ADHD jest częścią mojej spuścizny, bo od zawsze w różnych społecznościach umiejętności takie jak moje posiadało kilka procent jej członków.

16 stycznia 2021 o godz. 17:00 dziesięciu Nepalczyków dokonało pierwszego zimowego wejścia na K2.

Poczułem wtedy wiele różnych emocji. Szczególnie silna była ulga, że w końcu ktoś to zrobił i oddał zapanuje spokój, bo ostatni ośmiotysięcznik ma już swoich zdobywców również zimą. Męczyły mnie ciągle pytania o K2, zupełnie jakby poza tą górą nie istniała żadna inna, a temat obrzydł mi do tego stopnia, że nie miałem ochoty tam wracać. K2 pojawiał się pod każdym postem, który publikowałem na swoich profilach – nieważne, że dotyczyły czegoś całkiem innego: treningu, wyjazdu w Tatry, w Alpy. Za każdym razem ktoś musiał napisać: „Adam, widzę, że budujesz formę na K2”.

Zupełnie, jakby jedynym powodem, dla którego przyszedłem na świat, było zdobycie K2 w zimie i wyłącznie to definiowało mnie jako dobrego człowieka i Polaka.

Kiedy Nepalczycy zdobyli tę górę, poczułem też ulgę, że nie będę musiał się zastanawiać, czy brać udział w kolejnej wyprawie narodowej. Już za pierwszym razem nie podobał mi się ciężki, obłączniczy styl. Nie widziałem też w Polsce zespołu, który mógłby temu wyzwaniu podolać. Gdyby tylko Denis wysłał maila, że ma pomysł na wyprawę, to bym z nim pojechał. Ale Denis ogłosił, że kończy karierę.

Cieszyłem się również z tego powodu, że wejście Nepalczyków przebiło balonik oczekiwań. Szkoda tylko, że zdobyli K2 w takim stylu.

Po pierwszym komunikacie byłem przekonany, że wszyscy wspinali się na tlenie i w ten sposób zmarnowali szansę na zrealizowanie ciekawego celu sportowego.

A K2 miało w sobie coś wyjątkowego. Na Everest weszło prawie dziewięć tysięcy osób, z czego prawie wszyscy na tlenie. Tymczasem na K2 wciąż więcej było wejść bez tlenu niż z tlenem, A to dlatego, że istniała pewna niepisana zasada, że tam się po prostu z tlenem nie jeździ. Góra przez lata opierała się też próbom zamienienia jej w park linowy. Przed Nepalczykami nikt w zimie nie zabierał tam butli. Nawet Rosjanie, którzy na ogół mają gdzieś styl i wspinają się na tlenie, w zimie na K2 tego nie zrobili.

Jeśli chodzi o mnie, byłem po prostu po ludzku ciekawy, czy da się tam wejść zimą bez butli. Tym bardziej że doktor Robert Szymczak przekonywał, że na szczycie tej góry występują w zimie charakterystyczne warunki sprawiające, że ciśnienie jest tam dla człowieka zabójcze. Poza tym, używanie dodatkowego tlenu nigdy mnie nie interesowało i już dawno postanowiłem, że nie przekroczę tej granicy. Od dziecka pielęgnowałem w sobie mocne przekonanie, że jeśli nie dam rady zdobywać wysokich gór bez butli, będzie to oznaczało, że jestem po prostu na to za cienki – widocznie za słabo się aklimatyzuję.

To nie znaczy, że gardzę innym podejściem. W himalaizmie nie ma uniwersalnych zasad i każdy wspinacz sam sobie ustala wartości etyczne. Jeden nie użyje helikoptera, a drugi lin poręczowych założonych przez kogoś innego. Nie uważam, żeby moje wejście na K2 w lecie było samodzielne, bo powyżej obozu drugiego korzystałem z poręczówek położonych przez Seven Summit.

Istnieją oczywiście kryteria, które mogą wydawać się bardziej absurdalne niż używanie tlenu.

Przykładowo, moje zimowe wejście na Gaszerbruma I jest dla Denisa nieważne, bo korzystałem z elektrycznych wkładek do butów. A co, jeśli ktoś powie, że nie można nosić maski neoprenowej do ochrony twarzy? A może trzeba iść bez czapki?

Niby miałem to wszystko przemyślane, ale kiedy Nepalczycy odrąbali, że weszli w zimie na K2, poczułem niesprawiedliwość. Wszyscy graliśmy dotąd na tej górze w tę samą grę, polegającą na dżentelmeńskiej umowie, że nie wspinamy się na tlenie. A oni złamali jej zasady, wykorzystując przy okazji umiejętność, którą przez lata doprowadzili do perfekcji, wprowadzając klientów na ośmiotysięczniki – spętali K2 kilometrami lin poręczowych.

Odebrałem to jako podeptanie zasad i nieodwracalne zniszczenie piękna celu, jakim było zimowe K2.

Co ciekawe Nepalczycy byli tam, aby wprowadzić na szczyt klientów z Zachodu, których jednak ostatecznie nie dopuścili do ataku szczytowego. Może to i dobrze, bo, jak to już wcześniej bywało, ci zapewne odebraliby im całą chwałę.

A niewątpliwie Nepalczycy zasłużyli sobie na chwałę. Jakkolwiek by było, na K2 udowodnili, że są najlepsi w tym, co robią; nie ma nikogo, kto byłby sprawniejszy we wchodzeniu na ośmiotysięczniki drogami normalnymi, a żadna armia wspinaczy z Zachodu nie potrafi tak szybko i dokładnie kłaść lin poręczowych.

Takie rozważania chciałem zawrzeć w kilku zdaniach. Pomyślałem o Instagramie, ale tam trzeba wrzucić zdjęcie. Wybrałem więc Twittera.

„Gratulacje dla całej ekipy Nepalczyków na K2. Oby teraz bezpiecznie do bazy. Uprzedzając wszystkie pytania. Gra trwa nadal. Wiadomo było, że na K2 zimą da się wejść z tlenem. Dla mnie prawdziwe pytanie brzmi: czy, kiedy i komu uda się wejść na ten szczyt bez dopingu?”

Wysłałem wpis. A potem rozpętało się piekło.

Zacząło się od „Bielecki ma ból dupy” i „Polak cebulak”, ale wkrótce ludzie zaczęli wysyłać mi prywatne wiadomości, w których pisali, żebyśmy umarli w cierpieniu. Ja i moje dzieci.

Jednocześnie w mediach zaczęto opowiadać historię, że oto biedni Nepalczycy w kłapkach weszli na górę, która należy im się od zawsze i w ten sposób pokazali białosom środkowy palec.

Tymczasem Nepalczycy nie wspinali się u siebie, a w Pakistanie. To, co tam ze sobą przynieśli, jest częścią zjawiska sprawiającego, że ośmiotysięczniki zamieniają się w parki linowe. Z perspektywy Pakistańczyków Nepalczycy zabierają im pracę i robią biznes na ich podwórku. A co do kłapek – mają na sobie świetny sprzęt, najbardziej znany z Nepalczyków, Nirmal Purja, mieszka w Wielkiej Brytanii, podpisuje kontrakty reklamowe, a na kasku nosi logo Red Bulla.

Kiedy wejścia pogratulował im Reinhold Messner, dodając, że jednak szkoda, że z tlenem, internet go zmasakrował. Ludzie pisali: „co ten stary dziad pierdoli”.

Czytając kolejne komentarze, przecierałem oczy ze zdumienia. Społeczeństwo uwierzyło w piękną opowieść pełną postkolonialnego resentymentu.

Możesz śpiewać w tym chórze albo się zamknąć, w innym razie wystawisz się na strzał.

Czułem się ocenizowany. Nie miałem jak wytłumaczyć, o co mi chodzi, nakreślić szerszego kontekstu. Tłumaczysz się? Jak każdy winny. Przepraszasz? Jesteś winny. Nic nie mówisz i się wycofujesz? Winny. Najlepiej więc zamilknąć.

Po tej całej sytuacji przez długi czas, kiedy miałem coś opublikować, drżały mi palce. Przekonałem się, że wystarczy zaledwie kilka słów, by z autorytetu zmienić się we wroga publicznego. ●

Niedopowiedziana. O Magdzie Umer

Stanisław Soyka, Ornella Vanoni, Piotr Cieplak, a teraz Magda?... Ile można? Czy naprawdę wszyscy bezwzględnie mamy umrzeć w tej wymierzalnej, w której się rodzimy?...



Jarosław Mikołajewski

Była piękna jasnością, zwiewnością, delikatnością. Jej twarz nie kończyła się owalną kreską, lecz światłem. Uosabiała marzenie o wiecznej studenckiej miłości mówiącej poezją i szumem kasztanów. Zdawała się nieunurzana w historiach i w historii. Nawet tragiczna śmierć młodego przyjaciela nosiła piętno niedokończoności, w jakiej żyła. W nieodpowiedzialności i nieodpowiedzeniu, gdzie nic nie jest nazwane, a wszystko wyszeptane i wyplakane przez dziewczynę z groszkiem pachnącym w dłoni.

Była chyba taka, jaka wydawała się być. Zresztą znałem Magdę chyba tylko pobieżnie. Gdybym miał zilustrować ją żywym obrazem, wspomniabym rejs, który odbyliśmy grupą znajomych i przyjaciół po tureckim morzu. Pamiętam, że kiedy tylko wypłynęliśmy z portu na otwarte wody, stanęła w białej tuniczce na dziobie jachtu, rozłożyła ręce i zawołała z radosnym, wolnym, zakłopotanym śmiechem: „Jak Kate Winslet!” ... Jej rozpuszczone włosy łopotały na wietrze jak flaga ponadgranicznego państwa Człowiek. Była albatrosem, który poczuł wiatr pod skrzydłami. Obłokiem.

Kiedy razem z Grzegorzem Turnauem zaśpiewała mój tekst „Kolędy dla tęczowego boga”, do muzyki Grzegorza, spełniło mi się coś, o czym nie zdążyłem i nie miałem chętności zamarzyć. Zrobiła to z kulturą kogoś, kto co dzień karmi się poezją. Chyba głównie Bolesławem Leśmianem, o którym mówiła i którego czytała na moje zaproszenie w Pałacu Stanisławowskim.

Tak... Była na skrajnych biegunach PiS-owskiego Państwa, PiS-owsko bezmyślnego myślenia, nie dopuszczającego tak cieniowanego, ufnego, barwnego, wielopostaciowego człowieczeństwa jak to, którym mieniła się Magda. Rozumiała wszystko, wszystkich – bez zwierzeń, wyjaśnień. Znając własne życie, znała życie każdej i każdego, zasady i przypadki. Wiedziała, jak inspirujące są życiowe tajemnice w chwili, kiedy pozostają nimi na zawsze. Niewyjawione. Ocalone przed dopowiedzeniem i wścibstwem. Źle się czuła, kiedy etykiety własnych lęków i frustracji ktoś przyklejał do cudzych aktów wolności i odwagi.

Była szczodra w przyjaźni – i to widziałem, tego doświadczyłem. Słyszałem, że wspaniale towarzyszyła życiu swojej rodziny, i łatwo jest mi w to wierzyć. Dziś czytam w nekrologu, że była „ukochaną Mamą i Babcią”. Jej rozmówcy nosili najdumniejsze nazwiska lirycznej rozrywki: Jeremi Przybora, Marek Grechuta.

Oczywiście nie była taka, jak ją opisałem powyżej. Mówiąc za Eugenio Montalem, włoskim noblistą: „nikt nie wie, kim był i kim nie był ten motyl”. ●

• **Rosolli** – świąteczna zimna sałatka z ziemniaków, marchewki i buraków



• **Kalakukko**
– ciasto rybne



• **Mustikkapiirakka**
– placek jagodowy



• **Lohikeitto**
– zupa z łososia.

KUCHNIA MINIMALSÓW

Finowie uwielbiają celebrować swoje kulinarne tradycje. Kiedy w czwartek, razem z połową kraju, zasiadają do grochówki i naleśników, czują, że są częścią wspólnoty.

Małgorzata Sidz

W każdy czwartek, w każdej fińskiej stołówce szkolnej i uniwersyteckiej, w każdej restauracji czy bufecie w pracy, a już na pewno w wojsku, na obiad podaje się hernekeitto ja pannukakku – zupę grochową z naleśnikiem. Fińska grochówka jest tłusta i słona od boczku, a naleśniki grube, pieczone na blasze i krojone w wysokie, kwadratowe porcje. Przypominają bardziej ciasto niż naleśnik. Dobrze nasiąkają syropem z jagód i malin albo dżemem z borówki.

Tradycja jedzenia naleśników z grochówką wywodzi się w Finlandii z czasów przed-prote-

stanckich. Dla katolików piątek był dniem postu. Trzeba było się do niego przygotować, dlatego w czwartek jadano tłusto i słodko. Grochówka z naleśnikami to tani, łatwy do przygotowania i sycący posiłek.

Dzisiaj piątek jest każdy inny dzień, a zamiast grochówki można wybrać sushi albo pizzę. Finowie jednak uwielbiają celebrować swoje kulinarne tradycje. Bo kiedy w czwartek, razem z połową kraju, zasiadają do grochówki, czują, że są częścią wspólnoty.

Finom nie przeszkadza ta kulturowa jednorodność. Mają w domu te same kubeczki z Muminkami firmy Arabia, szklanki z Iittala z których „zapomnieli” usunąć naklejkę z nazwą firmy, pościel w kolorowe maki Marimekko i dziwny szklany świecznik projektu Alvara Aalto. W piątek o północy wracający z taniego baru z karaoke spotykają się z bywalcami najmłodniejszych klubów w tym samym kiosku z kielbaską i frytkami.

Fińską egalitarność widać szczególnie na uniwersytetach. Studenci z zamożnych domów, ci, którym w kształceniu się pomaga państwo, doktoranci i profesorowie – wszyscy spotykają się na tej samej stołówce i wybierają jeden z obiadów za 2,95 euro (koniecznie z pajdą razowego chleba i szklanką mleka).

Chleb razowy na całe życie

Finowie od dziecka uczą się, jak ważne jest spędzanie czasu na świeżym powietrzu, w naturze i niezależnie od pogody. Zimą niemowlęta drzemią w wózkach na dworze, a przedszkolaki chodzą na spacer po lesie. Emeryci biegają i jeżdżą na лыжах. Niezależnie od wieku Finowie uprawiają sporty i dbają o sprawność fizyczną.

Jeszcze zanim Finlandia pojawiła się na mapie jako osobne państwo (6 grudnia 1917 roku ogłosiła deklarację niepodległości od Rosji), jej mieszkańcy żyli w biedzie i izolacji. Musieli nauczyć się przetrwać długą zimę.

Ich kuchnia odzwierciedla ich zaradność i wytrzymałość. Wiele potraw opiera się różnych technikach konserwowania żywności: wędzeniu, marynowaniu i suszeniu. Finowie kochają też gęste zupy, w których miesza

się warzywa i zboża. Niczego nie wolno przecież marnować.

Nawet fińska sieć fastfoodowa Helsingin Burger serwuje burgera na chlebie razowym. Cukierniki dzieci jedzą tylko w sobotę. A zamiast gotowych dipów do chipsów, Finowie kupują saszetkę przypraw, które mieszają z jogurtem. To niewielkie zmiany, ale pokazują, jakie mają zdrowe nawyki. Poczynając od śniadania.

Przeciętny Fin zjada 12 kg owsa rocznie. Najpopularniejsza w kraju owsianka firmy Elovena to klucz do zrozumienia fińskiej duszy. Na słodko – z owocami leśnymi. Na słono – z solonym masłem. Na prosto – z syropem albo łyżeczką cynamonu. Na bogato – z owocami, orzechami, może nawet z jogurtem albo masłem orzechowym. Elovena łączy wszystkie pokolenia i grupy społeczne.

Jeżeli nie owsianka, to na śniadanie prosta kanapka z chlebem żytnim – ruisleipä. To chleb ciemny, ciężki, wyrazisty w smaku. Sycający na długo. Wystarczy posmarować go masłem, położyć plasterkę żółtego sera i kawałek ogórka. Najlepiej kupić chleb marki Reissumies, który na opakowaniu ma obrazek podróżnika z plecakiem, ubranego w koszu-

lę w niebieską kratę. W końcu każdy Fin ma w sobie duszę Włóczykija.

Wspomnienie jajek z masłem

Symbolem fińskiego śniadania jest też karjalanpiirakka – karelskie pierożki. Mają kształt lódeczek, z falowanym brzegiem zawiniętym do środka. Są chrupkie, zrobione z mąki żytniej. Mogą być wypełnione nadzieniem z ziemniaka, marchewki czy batata, ale te tradycyjne mają w środku ryżowy kleik.

Najlepiej smakują z munavoi – dosłownie „jajecznym masłem”. To pasta zrobiona z jajek ugotowanych na twardo zmieszanych z masłem. Można ją doprawić szczypiorkiem albo pieprzem. Pierożki można też traktować jak kromki chleba i zjadać je z serem, serkiem wiejskim, ogórkami kiszonymi czy świeżymi.

Te pierożki to nie tylko przekąska, ale część kultury Karelii – regionu, który po II wojnie światowej w większości znalazł się w Rosji. Karelia to fińskie „kresy”. To właśnie tam powstały runy i pieśni, które w XIX wieku Elias Lönnrot zebrał w epos narodowy Kalevala i który stał się fundamentem fińskiej tożsamości. Karelia stała się nostalgicznym symbolem. To utracone serce kraju. Miejsce, gdzie Finlandia jest najbardziej fińska.

Evakuacja Karelii to bolesna karta w historii. Najpierw w marcu 1940 roku, po przegranej wojnie zimowej, Finlandia musiała przekazać ZSRR południową Karelię – wysiedlono ponad 400 tys. osób, czyli 12 proc. populacji ówczesnej kraju. Drugi raz: czerwcu–wrześniu 1944 roku – kolejne 400 tys. Karelczyków Rosjanie wysiedlili do Finlandii. Traktat pokojowy podpisany w Paryżu w 1947 r. potwierdził utratę tych terenów.

Przytulny minimalizm

Fińska kuchnia opiera się na sezonowych produktach. W większości potraw znajdziemy produkty zbożowe, ziemniaki, ryby, produkty mleczne, jajka, warzywa korzeniowe, owoce leśne, grzyby, czasem dziczyznę. Nic egzotycznego, po prostu to, co dają jeziora, lasy i pola.

Potrawy są też proste do przyrządzenia. Doprawiane są świeżymi ziołami – koperkiem, szczypiorkiem, leśną pokrywą czy pietruszką. Dzięki temu ich smak wynika z jakości produktów, nie z dodatków. Nie nadmiar przypraw, a właśnie powściągliwość pozwala na wydobyć głębi smaku ryb czy warzyw.

Prostota to także wyraz szacunku do natury i jej darów. Surowe zimy, krótkie lata i ograniczona dostępność żywności przez wieki doprowadzały do głodów. W zdobywanie pożywienia trzeba było włożyć wiele wysiłku i wykorzystywać wszystko to, co daje natury.

Umilowanie prostoty nie dotyczy tylko kuchni. Finowie marzą o prostym i spokojnym życiu. Trudno się dziwić, to naród doświadczony wojnami i okupacją, który zaledwie niewiele ponad sto lat temu uzyskał po raz pierwszy niepodległość. Znaczenie ma także religia. Luteranizm, który przynajmniej według statystyk nadal wyznaje ponad połowa społeczeństwa, stawia na umiar, samodzielność, uczciwość i pracowitość.

Kuchnia fińska jest właśnie taka – nie ma w niej potrzeby popisywania się ani snobizmu. Liczy się sposób podania: naczynia, zastawa, sztućce. Skromne, ale jednocześnie eleganckie. Na zastawie marki Iittala nawet zwykła kanapka z serem i ogórkiem potrafi zachwycić.

Zapytani o ulubioną potrawę, Finowie często wymieniają lohikeitto – zupę z lososia.

Do garnka wrzuca się grubo pokrojone kawałki lososia, młode ziemniaki, marchewkę i pora. Zupę zabiela się śmietaną, doprawia świeżym koperkiem, pieprzem i solą. I je oczywiście z pająd chleba żytniego. Niektórzy dodają do niej cebulę, plasterki cytryny, brokuły albo kapary. Nic nie smakuje tak dobrze, jak zupa z lososia zimną, fińską zimą.

Leśna stołówka

Fińska kuchnia wyrasta z lasu, jezior i pól. Od zawsze jej podstawą jest zbieranie owoców leśnych, ziół i grzybów, oraz łowienie ryb i po-

lowanie na dzikie zwierzęta. Dzisiaj to już nie jest podstawa przeżycia, ale pozwala poczuć więź z naturą, może nawet na chwilę więź z przodkami, którzy żyli w jej rytmie. Wyjście do lasu to dzisiaj rytuał i ważna część życia we wspólnocie. Każdy Fin ma też swoje ulubione miejsce, gdzie znajduje jagody i grzyby, o którym nikomu nie powie.

Latem zbiera się kurki i przygotowuje z nimi jajecznicę albo robi się z nich sos do mięsa. Z prawdziwków można zrobić zupę-krem. A każdy inny grzyb może zostać bohaterem drożdżowej tarty.

W lesie możemy znaleźć maliny, borówki, jeżyny, a na dalekiej Północy także na bardziej egzotycznego rokitnika czy moroszkę. Finowie najbardziej jednak cenią sobie zwykłą leśną jagodę. Robią z niej zupę albo mustikkapiirakka – jagodowy placek. Wystarczy w formie do pieczenia na spód z kruchego ciasta wylać masę z jagód, śmietany, jajka, wanilii i kardamonu, a potem wsadzić do piekarnika.

Rudolf na kolację

W Finlandii, podobnie jak w Polsce złowimy szczupaka, okonia, pstrąga, sandacza czy sielawę. Finowie, jak i my, uwielbiają śledzie podawane na wiele sposobów. Dawniej, kiedy sauna była najważniejszym miejscem we wsi lub domostwie, ryby pieczono w pobliżu jej gęstego, brzozowego dymu. Dzięki temu miały delikatnie dymny posmak, który podkreślało jeszcze dodanie świeżej śmietany i koperku.

Na Północy od tysięcy lat ze stadami reniferów przemieszczali się Saamowie, rdzenna ludność Półwyspu Skandynawskiego i terenów dzisiejszej Rosji. Renifer dawał im pokarm i odzienie. Tłuszczu używano do przygotowania jedzenia i ogrzewania, z mleka wyrabiano sery i masło. Renifery oczywiście ciągnęły też ciężkie sanie nomadów.

Na pewno już wiecie, do czego zmierzam. Ale nie martwcie się – Saamowie nie zjadają swoich Rudolfów. Renifery zaprzęgane do sań, są traktowane jak członkowie rodziny. Służą swoim pasterzom wiele lat i są traktowane lepiej niż te hodowane na mięso.

Tym ostatnim zawdzięczamy potrawę poronkärstys – pokrojone w paseczki, duszone lub pieczone mięso renifera. Podaje się je z ziemniaczanym puree i żurawiną. Mięso jest delikatne, ale wciąż „dzikie” w smaku. Nie tak intensywne jak np. sarnina czy mięso z jelenia, ale bardziej aromatyczne od wołowy.

W halach targowych w większych fińskich miastach można kupić renifera na wiele sposobów – suszonego, wędzonego, w postaci kiel-

POZNAJMY NASZĄ EUROPE

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej” i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty.

W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, między innymi: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją.

Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.



basy, pasztetu albo jerky. Można nawet skosztować delikatnego reniferzego języka. Jeżeli to nie jest dla nas wystarczająco „egzotyczne”, zawsze możemy kupić też niedźwiedzia w puszcze, kaszankę mustamakkara albo piszczący ser leipäjuusto, tradycyjnie robiony z mleka renifera, a dzisiaj coraz częściej z mleka krowiego.

Najbardziej zadziwia kalakukko – ciasto rybne. To specjal z okolic Kuopio, wymieniany jako jedna z ulubionych potraw Finów – chociaż ani wygląd, ani opis do tego dania nie zachęcają. Grubą warstwę ryb i boczką obtacza się ciastem z żytniej mąki i piecze, aż zacznie przypominać gruby bochen chleba.

W środku możemy znaleźć maleńkie stynki, okonia, sielawę, albo nawet filety z lososia. Ryba wchłania smak chleba, a chleb przesiąka smakiem ryby. Twarda skorupka kontrastuje z miękkim, wilgotnym środkiem. To niezwykle sycące danie, dobre „na drogę”. Ryba przechowywana w chlebie na długo zachowuje świeżość i teksturę. Rybi bochen dostarczał energii przez cały dzień ciężko pracującym w polu.

Cynamonowy sekret

Finów i Szwedów łączą nie tylko setki lat wspólnej historii (dla Finów częściej z przymusu), ale także zamiłowania kulinarne. Oba narody kochają przerwę na kawę, słodkie wypieki, śledzie, i wszystko, co świeże i naturalne.

W weekend Szwedzi celebrują myskväll – przytulny wieczór w domu. Wspólne gotowanie, oglądanie seriali, czytanie książki pod kocykiem, z papierową torebką pełną ulubionych cukierków na wagę. W domowym ciepłku. Bardzo ważny rytuał na zimnej Północy.

Finowie mają swoją wersję przytulnego wieczoru w domu – kalsarikännit, czyli gaciopicie. Picie alkoholu w domu, w wygodnym ubraniu, bez planów wychodzenia na miasto. Podobnie jak w Szwecji – zero presji, zamiast tego luz. Nordycki sposób na zrelaksowanie się i odpuszczenie stresów tygodnia w pracy.

To, w czym Finowie nie zgadzają się ze Szwedami to korvapuusti. Odpuścili Szwedom lihapullat czyli kotleciki mielone. Przymyka oko na to, że w sztokholmskich sklepach z pamiątkami królują fińskie Muminki. Chcieliby mieć chociaż korvapuusti – cynamonową bułeczkę z kardamonem. To symbol Szwecji, ale wielu Finów uważa, że narodziła się u nich.

Trudno jednak uwierzyć, że za cynamonkę odpowiedzialny jest ten sam naród, który na deser zjada mämmi. To ciemnobrązowy pudding z mąki żytniej i melasy. Jadany jest szczególnie na Wielkanoc, na zimno, z mlekiem i cukrem. Smakuje trochę jak chleb, trochę gorzko, trochę słodko. Kleista konsystencja i kolor tej potrawy odrzucają od niej turystów.

Salmiakki to inna kontrowersyjna słodkość. To czarna lukrecja o wyjątkowo słonym i chemicznym posmaku. Dla wielu Polaków lukrecja to złe wspomnienie z dzieciństwa – w torebce cukierków, które są słodkie i cytrusowe, natykamy się nagle na tę jedną, która smakuje jak lekarstwo. Salmiakki to lukrecja na sterydach. Bardziej intensywna, o wzmocnionej goryczy, bez naturalnego posmaku anżyu.

Jeżeli ten opis was odrzuca, nie obawiajcie się. Salmiakki smakują doskonale, o ile są odpowiednio podane. W Finlandii można kupić smakujące nimi lody, czekoladę, gumę do żucia, wódkę, czy miód. Jako dodatek do napoju, deseru czy nowy smak chipsów, sprawdzają się lepiej, niż w swojej naturalnej formie.

Ciepło

W książce „Lato Muminków” Muminek i Pan na Migotka zgubili się i odpłynęli od teatru, w którym rodzina znalazła tymczasowe schronienie w czasie powodzi. Muminek znalazł paczuszki z kanapkami od mamy. Mama tak je podpisała: „Ta jest od Tatusia”, „Ta druga kielbasa”, albo „Dzień dobry!”. Od razu wszystko wydało mu się mniej niebezpieczne.

– Nie płacz, tylko zjedz parę kanapek – powiedział Muminek do Migotki [cytata za „Mu-



• Karjalanpiirakka – karelskie pierożki

minki. Księga pierwsza”, „Lato Muminków”, Nasza Księgarnia, Warszawa 2012].

Kulinarne aspekty kultury fińskiej – tak, jak wszystko tutaj – najlepiej tłumaczą Muminki. Cały czas coś jedzą. Jeżeli wyruszają na wycieczkę, to tylko z kanapkami spakowanymi przez Mamusię. Jeżeli uciekają z tonącego domu, to tylko zabrawszy konfitury i zastawę. A kiedy wybierają się nad morze, pakują się według oczywistych priorytetów:

„Mama Muminka pobięła spakować rzeczy. Zebrała w jednym miejscu koce, rondle, patelnie, imbryk do kawy, korę brzozową na rozpalkę, ogromną ilość żywności, olejek do opalania i wszystko, na czym i czym się jada” [„Muminki. Księga pierwsza”, „W Dolinie Muminków”, Nasza Księgarnia, Warszawa 2012]

Finowie bardzo doceniają moment bliskości, jakim jest wspólny posiłek. Dzielenie się jedzeniem to forma komunikacji i oznaka zaufania. To ciepło. Prostota, egalitarność, minimalizm, więź z naturą – te wszystkie wartości łączą się przy świątecznym stole.

Finowie celebrują Wigilię, tak jak my, ale na środku stołu stawiają pieczoną szynkę. Towarzyszy jej rosolli – zimna sałatka z ziemniaków, marchewki i buraków. Czasami też śledzie i losos. Pije się glögi, czyli grzane wino, a na deser zjada kruche ciasteczka z dżemem joulutorttu.

Serwuje się też zawsze świętą Tróję – perunalaatikko, porkkanaalaatikko i lanttulaatikko. To odpowiednio zapiekanki z ziemniaków, marchwi i brukwi. Warzywa gotuje się, miksuje na gładką masę i miesza z jajkiem, cukrem, solą i mlekiem lub śmietaną. Piecze się je w długich formach, przypominających skrzynki (laatikko to właśnie skrzynka lub pudełko), aż staną się chrupiące na wierzchu, zachowując miękki środek. Zapiekanki są kremowe, słodkie, a jednocześnie zdrowe i sycące.

Finowie celebrują proste produkty i składniki, które nam nie wydają się wyjątkowe. Lubią tradycyjne, lokalne potrawy. Tak, jak każdy eksperymentować i próbować nowych rzeczy, ale najchętniej wracają do znanych smaków. Nie popisują się i nie wywyższają, są dumni z tego, że mogą jeść tak samo zdrowo niezależnie od stanu posiadania. Żyjąc blisko natury wiedzą, że są szczęściarzami. Największymi na świecie. ●

W wydaniu wigilijnym – 23 grudnia – ostatni tekst fiński – Michał Olszewski wędruje śladami Mumników. W sobotę 27 grudnia – Cypr.

Małgorzata Sidz Rocznik

• 1990 r., Ukończyła japonistykę oraz studia regionalne o Azji Wschodniej na Uniwersytecie w Turku w Finlandii. Spędziła kilka lat między Szwecją, Finlandią i Danią. Dłużej przebywała także w Japonii i Korei Południowej, a obecnie w Kanadzie. Porozumiewa się w 10 językach. Autorka książek reporterskich „Kocie Chrzczyny. Lato i zima w Finlandii” (2020), „Mądre matki, dobre żony. Kobiety w Korei Południowej” (2023) i powieści „Pół roku na Saturnie”. (2021) oraz „Garbate lato” (2024).

ZŁOTA 10

Tradycyjnie w redakcyjnym głosowaniu wybraliśmy najlepsze seriale, które w 2025 roku pojawiły na platformach VOD.

Marta Górna, Joanna Wróżyńska,
Maja Staniszevska, Radosław Czyż,
Piotr Guskowski



1

„DOJRZEWANIE”, (4 odc.) Netflix

I Kiedy pojawiły się napisy końcowe ostatniego odcinka, wiedziałam, że mam do czynienia z czymś niezwykłym. Nie tylko z trzymającą w napięciu rozrywką, ale z fenomenem, który może rozpocząć dyskusję, jakiej od dawna potrzebujemy.

I to się stało. Opowieść o 13-letnim zwyczajnym chłopcu, który zostaje aresztowany pod zarzutem zabójstwa koleżanki z klasy, wstrząsnęła widzami. Każdy z odcinków pokazuje nowy fragment tej historii. W pierwszym zatrzymanie i przesłuchanie. W drugim policyjne śledztwo w szkole. W trzecim niezwykle, wciągający pojedynek osobowości – Jamiego i psycholożki sądowej, która ma ocenić jego stan psychiczny. W czwartym – jak to, co się stało, wpłynęło na rodzinę Jamiego.

Po tak bezsensownym czynie pojawiają się setki pytań. I serial wiele z nich zadaje. Ale – i właśnie na tym polega jego moc – nie na wszystkie odpowiada. Kto jest winny temu, co się stało? Kto nie dopilnował? Czy w świecie internetu, w którym pokolenie Jamiego żyje na równi z tym realnym, można kontrolować i ingerować w treści, które młodzi konsumują, które kształtują ich świadomość, ich postawy?

Serial napisał Stephen Graham, świetny brytyjski aktor, który zagrał tu rolę ojca, i Jack Thorne, specjalista od opowieści odważnych i społecznie ważnych. Został zainspirowany prawdziwymi tragediami, do których doszło w ostatnich latach w Wielkiej Brytanii. Sprawcami byli chłopcy, ofiarami ich koleżanki. Jaki wpływ na to, co się wydarzyło, miała szerząca się w sieci mizoginia? Jak ojcowie mogą pomóc synom, by wyrosli na odpowiedzialnych i szanujących innych młodych mężczyzn? O tym rozmawialiśmy długo po obejrzeniu „Dojrzewania”. I mam nadzieję, że rozmawiać nie przestaniemy. (Maja Staniszevska)

„THE PITT” (15 odc.) HBO Max

2 „The Pitt” to kronika 15-godzinnego dyżuru na oddziale ratunkowym szpitala w Pittsburghu, którego realia w opinii personelu uzasadniają tytułowe porównanie do otchłani czy po prostu dziury. Kamera bez wytchnienia podąża za bohaterami po korytarzach i salach zabiegowych, pozwalając poczuć wysiłek i emocjonalny ciężar tej pracy, o którym łatwo zapomnieć, siedząc w zatłoczonej izbie przyjęć.

Niewiele tu medycznych lamigłówek dla doktora House’a. Więcej żmudnych procedur i codziennych decyzji, od których ten zwykły uciekać. Kolejne przypadki przynoszą załozde szpitala, z doktorem Robbym (świetny Noah Wyle, ale cała obsada zasługuje na uznanie) na czele, nowe wyzwania, dylematy i konfrontacje z własnymi słabościami. A wszystko w czasie rzeczywistym – z zachowaniem jedności czasu, miejsca i akcji. Dzięki temu możemy lepiej poznać lekarzy, rezydentów i pielęgniarki w działaniu i wzajemnych relacjach.

Pięć nagród Emmy, w tym dla najlepszego serialu dramatycznego, nie wzięło się znikąd. Kluczem do sukcesu okazuje się warsztatowa precyzja i najwyższej próby rzemiosło. „The Pitt” to powrót do starej szkoły telewizyjnego opowiadania. Przypomina, jak budować emocjonalne zaangażowanie bez narracyjnych fałszerstw, udziwnień czy wodzenia widza a siłę za nos. (Piotr Guskowski)

„HEWELIUSZ” (5 odc.) Netflix

3 W opowieści o kulisach zatonięcia promu „Jan Heweliusz” twórcom udało się połączyć kino katastroficzne, dramat psychologiczny i sądowy thriller. Zostajemy wrzuceni w środek dramatycznych wydarzeń. Na wzburzonym morzu dryfuje tratwa ratunkowa, niemieckie służby podejmują akcję, polskie próbu-

ją zrozumieć, co się stało. Szanse na przeżycie w lodowatej wodzie maleją z minuty na minutę.

Reżyser Jan Holoubek i scenarzysta Kasper Bajon stali się już gwarancją solidności. „Heweliusz” to ich najbardziej imponujące dzieło – trzymające w napięciu, widowiskowe, momentami przytłaczające realizmem. Załoga z mozołem pokonuje pokłady przechylonego promu niczym bohaterowie „Incepcji”.

Tytuł serialu pojawia się na ekranie wkomponowany w zapis SOS, słyszymy sygnał mayday nadawany przez radio przez kapitana Andrzeja Ulasiewicza. Walka o przetrwanie toczy się nie tylko na morzu, ale także na lądzie, gdzie ocaleni mierzą się z traumą i poczuciem winy, a bliscy ofiar – z żałobą i potrzebą poznania prawdy. Proces przed Izłą Morską zamienia się jednak w symboliczny pogrzeb prawdy i sprawiedliwości. Górę biorą polityczne i biznesowe interesy, potrzeba ukrycia błędów, zaniedbań, dezorganizacji. Udaje się w tym uchwycić metaforę państwa, które nie działa, zawodzi obywateli.

„Heweliusz” rysuje ponury obraz czasów transformacji, prześląkniętych PRL-owską mentalnością i układami. Jest świetnie zagrany na każdym planie. Zadbano o realia początku lat 90. nawet o drobne detale jak wybita szyba i kable wystające z miejsca po skradzionym radiu w samochodzie. Przy okazji zadaje sobie pytanie, czy przez te trzy dekady Polska zmieniła się aż tak bardzo jak pejzaż naszych miast. (Piotr Guskowski)

„KULAWY KONIE” (5 serii) Apple TV+

4 Prawdziwy fenomen, serial, który z każdym sezonem potrafi zaskoczyć.

Tytułowe kulawe konie to agenci MI5, którzy coś strasznie schrzaniili i za karę trafili z nowoczesnej centrali do zapyziałego biura, gdzie czekają na nich nudne biurokra-

tyczne zadania. I szef z piekła rodem Jackson Lamb (Gary Oldman), szpieg z czasów zimnej wojny, flejtuch i mizantrop, który ma dla nich tylko piętrowe obelgi. Ale i kulawemu koniowi uda się czasem pogalopować i agenci, z Riverem Cartwrightem (Jack Lowden) na czele, okazują się ostatnią linią obrony Zjednoczonego Królestwa.

Jak w porządnym szpiegowskim historiach nie brakuje tu pościgów i strzelanin/eksplozji, barwnych osobowości i zwrotów akcji. Jest komu kibicować i kogo nie lubić. Do tego zagrane jest to koncertowo przez ekipę z Garym Oldmanem, moim faworytem do Bondy Jackiem Lowdenem i Kristin Scott Thomas w roli agentki marzącej o pozycji szefowej MI6 na czele.

Trochę zazdroścę tym, który jeszcze „Kulawych koni” nie widzieli i być może teraz postanowią je nadrobić. I czekam na sezony szósty i siódmy. (Maja Staniszevska)

„JEDYNA” (9 odc.) Apple TV+

5 Kolejne odcinki tylko podbiły wrażenie obcowania z dziełem kompletnym, przemyślanym od początku do końca, świetnie napisanym, wyreżyserowanym, nakręconym i zagrany. To serial stworzony na obietnicę, że powoli rozwiązywana zagadka w finale da rozwiązanie równie satysfakcjonujące co początek.

I jest to obietnica spełniona z nawiązką, bo twórca „Jedynej” (brzydkie tłumaczenie z „Pluribus”) jest serialowy geniusz Vince Gilligan, człowiek, który dał nam „Breaking Bad” i „Better Call Saul”.

Główną rolę gra gwiazda tego drugiego serialu Rhea Seehorn, która jest tu tak świetna, jak irytująca jest jej bohaterka Carol – jedna z ostatnich na Ziemi osób myślących samodzielnie. Gdy cały świat połączył się w jedną, zbiorową jaźń, ona stara się zrobić wszystko,

FOT. NETLIX, HBO MAX, APPLE TV PLUS, DISNEY+



by przywrócić go do normy. Nawet jeśli obecny zdaje się lepszym miejscem. Serial stawia pytania i prowokuje do refleksji, stanowi kawał emocjonującej rozrywki, a czekanie na nowe odcinki wywołuje ekscytację, której nie czulem od wielu lat. **(Radosław Czyż)**

„ANDOR” (2 serie po 12 odc.) Disney +

6 To serial wybitny pod każdym względem, który dzięki pisarskiemu i reżyserskiemu kunsztowi Tony'ego Girloya („Michael Clayton”) przebija wszystko, co dały nam „Gwiezdne wojny”. Nawet oryginał, bo „Andor” kulturową wagą nie ustępuje pierwszym dwóm filmom Lucasa.

A przecież nie jest to bajka o czarodziejach w kosmosie i ich świecących mieczach, ale bodaj najdoskonalsze ukazanie upadku demokracji i narodzin systemu autorytarnego oraz radykalizacji społecznego oporu. „Andor” deklasuje pod tym względem np. „Opowieść podręcznej”, „Człowieka z wysokiego zamku” i podobne produkcje komentujące obecną sytuację polityczną. **(Radosław Czyż)**

„GRUPA ZADANIOWA” (7 odc.) HBO Max

7 Brad Ingelsby, twórca „Mare z Easttown” wrócił z równie dobrym serialem o agencji FBI z małego miasteczka w Pensylwanii, którego gra fenomenalny Mark Ruffalo.

Jego bohater Tom Brandis musi wrócić do działań w terenie i stworzyć z lokalnych mundurowych różnych formacji tytułową grupę zadaniową. Cel: złapanie sprawców zuchwałych napadów na domy, w których gang motocyklowy sprzedaje hurtowo narkotyki.

Podobnie, jak w „Mare...” obok wątku śledztwa rozwija się wątek życia osobistego i rodzinnego bohaterów. Tamten serial opowiadał o matkach, ten skupia się na ojcach. I biologicznych, i adopcyjnych, i przyszywanych, i nieobecnych.

Najważniejsi z nich są Brandis, był ksiądz katolicki, który zrzucił sutannę, by ożenić się z ukochaną kobietą, złodziej i szef gangsterów. A także duch, który unosi się nad życiem bratanicy złodziejki Maeve (świetna Emilia Jones, z oscarowego filmu „CODA”).

W „Grupie zadaniowej” nie brakuje akcji, nie brakuje emocji i przemocy, czasem brutalnej. Ale w serialu najważniejsze są relacje i pytania, jakie stawia: o odpowiedzialność, o miłość, o poświęcenie, wreszcie o wybaczenie.

Jestem ciekawa, czy w drugim sezonie, który już zapowiedziano, Tom Brandis powróci, czy raczej będzie to nowa opowieść i tak powstanie poruszająca pensylwańska trylogia. **(Maja Staniszevska)**

„STUDIO” (10 odc.) Apple TV+

8 Hollywood. Fabryka snów, w której marzenia się spełniają, gwiazdy świecą jasno, a obrazy tworzone przez wizjonerów przekładają się na celuloidową taśmę. Ale w tej fabryce maszynierzy połyka ludzi jak ziarna popcornu, a potem ich wypłukują, a środki produkcji należą do niekompetentnych kapitalistów.

„Studio” opowiada właśnie o tym. To satyra na Hollywood ostrzejsza niż chirurgiczny skalpel. Tak wiarygodna, że przedstawiciele branży filmowej często musieli przerywać seans serialu, by się odstresować. Cóż. Kto pracował na planie filmu, ten się w cyrku nie śmieje. Ale reszta powinna przy „Studiu” zrywać boki.

Seth Rogen i Evan Goldberg stworzyli komedię mistrzowsko zrealizowaną. Długie, dynamiczne ujęcia i całe odcinki kręcone bez cięcia. Kamera z ręki pewnie prowadzona i tańcząca między rozgadanyimi bohaterami, znakomita muzyka, a przede wszystkim postaci, którym jednocześnie chce się współczuć i kibicować, śmiać się z nich, wstydić się z nich

i nie odwracać oczu od katastrofy, którą właśnie rozpętuje.

To najlepsza komedia tego roku. Nic dziwnego, że samych siebie postanowili zagrać w niej: Martin Scorsese, Paul Dano, Charlize Theron, Steve Buscemi, Greta Lee, Ron Howard, Ice Cube, Olivia Wilde, Zac Efron, Adam Scott, Zoë Kravitz i wielu innych. Kto tego serialu jeszcze nie widział, po prostu musi go nadrobić. **(Radosław Czyż)**

„DEPT. Q” (9 odc.) Netflix

9 Świetny brytyjski serial kryminalny na podstawie duńskiego bestsellera. Choć głównego bohatera ma się ochotę zadusić już w pierwszym odcinku.

Detektyw Carl Morck cudem uchodzi z życiem ze strzelaniny. Do pracy wraca po wielu miesiącach, jeszcze bardziej sfrustrowany i złośliwy niż wcześniej. Przełomienie też mają go dosyć, dlatego ma się zająć utworzeniem nowego wydziału: od spraw beznadziejnych, nierozwiązanych i nierokujących.

Ale Morck, choć charakter ma paskudny, śledczym jest genialnym. Bo jeśli ktoś ma odnaleźć zaginioną przed laty prokuratorkę, to tylko on. Do pomocy dostaje Akrama Salima: imigranta z Syrii o niejasnej przeszłości w tamtejszej tajnej policji, a ze szpitalnego łóżka wspomaga ich pokładami sarkazmu sparaliżowany po strzelaninie dawny partner Morcka.

Nie ma tu przypadkowych wskazówek, scenarzyści nie idą też na łatwiznę. Detektywi wykonują ciężką robotę w terenie, sporo też siedzą przy komputerze, szperają w sieci i w policyjnych archiwach. Sam serial trzyma w napięciu aż do finału.

W Morcka wciela się doskonale tu Matthew Goode, znany m. in. z ról w „Downton Abbey” i filmach „Stoker” czy „Watchmen”. Łątwo było sprawić, by jego bohater był kolejnym

ekscentrycznym i odpychającym geniuszem, Goode jednak nadał mu ludzki rys, który sprawia, że nawet w swoich najgorszych momentach Morck pozostaje postacią może i trudną, ale godną podziwu. **(Marta Górna)**

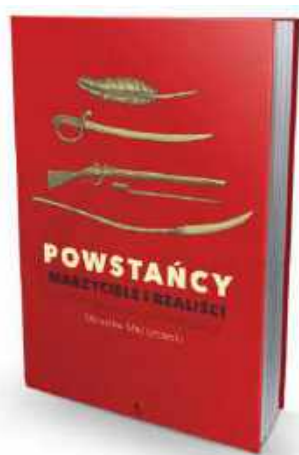
„MORNING SHOW” (po 10 odc. w sezonie) Apple TV+

10 To serial przede wszystkim o pracy w telewizji informacyjnej i wyzwaniach, przed jakimi stoją media. W „The Morning Show” globalne konflikty, lokalne katastrofy i wielkie sportowe wydarzenia przeplatają się z codziennymi dramatami prezenterów, dziennikarzy i producentów.

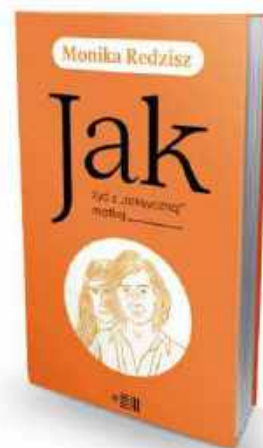
Czwarty sezon udowadnia, że to wciąż jeden z najlepszych seriali dramatycznych. Świetnie czuje to, co przykuwa uwagę świata, choć unika stawiania w centrum spraw geopolitycznych, skupiając się raczej na kwestiach społecznych: w tym sezonie rosnących zagrożeń ze strony AI, deepfake'ach i serwowania nam propagandy. „W świetle teorii spiskowych, gdzie algorytm suflują nam to, co chcemy usłyszeć, jak mamy sprawić, żeby ludzie zaczęli naprawdę słuchać?” – zastanawia się Bradley grana przez Reese Witherspoon. To pytanie zadaje sobie obecnie wielu redaktorów naczelnych i wydawców. W ciekawy sposób nawiązano także do sytuacji w Europie Wschodniej, punktując przy okazji amerykańską niefrasobliwość. **(Joanna Wróżyńska)**

• **A jakie serie za najlepsze w 2025 roku uznali nasi czytelnicy? – Wyborcza.pl**

• **SZANOWNI CZYTELNICY.** Święteczne wydanie „Wyborczej TV” ukaże się wyjątkowo we wtorek, 23 grudnia, z programem TV na 9 dni (24.12-1.01) i wyborem najciekawszych propozycji na Święta przed ekranem



POWSTAŃCY I TOKSYCZNE MATKI



• **Mirosław Maciorowski, „Powstańcy. Marzyciele i realiści. Historia na nowo opowiedziana”,** wydawnictwo Agora
„Spory o polskie powstania nigdy się nie kończą” – pisze we wstępie do tej monumentalnej książki Mirosław Maciorowski, redaktor naczelny sobotniego „Magazynu Wyborczej” i dodatku „Ale Historia”.

Książka to kilkadziesiąt rozmów z wybitnymi historykami na temat powstańczych zrywów, które zdefiniowały polską historię. Wśród rozmówców Maciorowskiego są: Andrzej Chwalba, Barbara Engelking, Andrzej Friszke i Tomasz Nałęcz oraz zagraniczni badacze dziejów Polski.

Dlaczego nie byłoby insurekcji kościuszkowskiej, gdyby młody Tadeusz nie porwał – za zgodą branki – panny Ludwiki Sosnowskiej? Kim byli stanczyści? Co sprawiło, że Piłsudski zdecydował się na przewrót majowy, i czy można nazwać powstańcami działaczy opozycji demokratycznej w czasach PRL-u? „Powstańcy” Maciorowskiego to zbiór fascynujących opowieści o ludziach, których czyny – jak mówi w książce Adam Michnik – stały się „nieusuwalnym składnikiem polskiej tożsamości, naszego sposobu myślenia i wartościowania świata”.

• **Katarzyna Boni, „Którędy do wyjścia?”**

wydawnictwo Agora
„W 2021 roku pojechałam na Sycylię zobaczyć spalony las”. Tak Katarzyna Boni, autorka „Książek. Magazynu do Czytania”, zaczyna swoją osobistą opowieść o życiu w świecie opanowanym przez katastrofy.

Przegląda się spalonym lasom na Sycylii, chodzi po torfowisku i pisze o tym, jaką przyszłość zastaliśmy. Ale w to wszystko wplątuje siebie – żalobę po śmierci dziadków, macierzyństwo. Otrzymujemy wybitny esej o różnych wymiarach żaloby po znanym nam świecie. A przy tym opowieść o moszczeniu się w trwającej już apokalipsie.

„Próbowałam wyobrazić sobie polski stół w 2050 roku. Zamiast tłuczonych ziemniaków, mizerii i schabowego – purée kolokazjowe, kotlet z szarańczy, sałatka z wodorostów i chleb z mącznika młynarka. A na deser ciasto z karobu zastępującego czekoladę” – notuje Boni w tej wspaniale napisanej relacji z przyglądania się światu.

„Którędy do wyjścia?” doskonale łączy reportaż z intymną opowieścią, książkę interwencyjną z taką, która niczego już od świata nie oczekuje. „To książka głęboko osobista, zapraszająca czytelnika i czytelnice w rejony bardzo intymne, związane ze zdrowiem psychicznym, rodzicielstwem oraz rodzinną żalobą” – pisała Beata Mytych-Forajter. To z pewnością jedna z najlepszych książek tego roku.

• **Mateusz Mazzini, „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów”,** wydawnictwo Szczeliny

„Do Włoch potrzeba klucza. Tła, na którym można stworzyć własną opowieść” – pisze Mazzini, publicysta sobotniego „Magazynu Wyborczej”, i – częściowo – znajduje taki klucz w rodzinnej historii.

Mazzini jest potomkiem Giuseppego Mazziniego, prawnika, który razem z Giuseppe Garibaldim stał na czele powstania, które wybuchło w czasie Wiosny Ludów. Interesuje go jednak nie praprzodek, ale współcze-

Monumentalne, oryginalne, nostalgiczne, przełomowe, pełne empatii. Zobacz, jakie książki w 2025 roku wydały i wydali dziennikarki i dziennikarze „Wyborczej”.

Wojciech Szot



sne Włochy. W imponującym rozmachem reportażu czytamy o włoskiej (i nie tylko) mafii, problemach z turystyką, migracją czy brakiem nowych inwestycji. Dowiemy się, jak wyglądała kariera Silvia Berlusconi i kim jest Giorgia Meloni.

Książka dla tych, którzy chcą poznać Włochy, które ukrywają się za fasadami renesansowych kamienic i barokowych kościołów.

• **Monika Redzisz, „Jak żyć z toksyczną matką”,** wydawnictwo Dowody

Zbiór reportaży poświęconych relacjom na linii dziecko – matka. Monika Redzisz, reporterka „Magazynu Wyborczej” i „Wysokich Obcasów”, słucha nie tylko dorosłych dzieci, które opowiadają o swoich rodzicielkach, ale również samych matek mierzących się ze swoimi błędami.

„Byłam toksyczna, krzywdziłam syna, odrzucałam go emocjonalnie, nie potrafiłam dać ciepła i wsparcia – mówi jednak z rozmowami czyni. – Jakie to uwalniające móc o tym wreszcie opowiedzieć... A przecież kochałam moje dzieci. Oddałabym za nie życie”.

Reportaże i rozmowy uzupełnione są wywiadami z psychologami, które starają się pokazać, że toksyczna matka też jest człowiekiem, którego warto zrozumieć. Wyważony, dobry literacko i poruszający portret naszych rodzinnych relacji.

• **Judyta Watoła, Dariusz Kortko, „Zembala. Szpital to ja. Historia słynnego kardiochirurga”,** wydawnictwo Agora

Śląskie Centrum Chorób Serca w Zabrzu, którym kierował Marian Zembala, miało markę. Podobnie jak sam profesor – człowiek o nie- zwykłej intuicji, doskonały menedżer i uczeń

Zbigniewa Religii. „O jego zasługach dla polskiej medycyny świadczą nie tylko prace naukowe i przełomowe zabiegi. Tysiące pacjentów, którym uratował życie, z pewnością potwierdzą to świadectwo” – piszą Judyta Watoła, dziennikarka pisząca o ochronie zdrowia, i Dariusz Kortko, naczelny katowickiej redakcji „Wyborczej”.

W 2001 roku Zembala jako pierwszy w Polsce przeszczepił choremu płuco-serce. Dokonał także zabiegu wszczepienia by-passów 103-letniej pacjentce. Przez pięć miesięcy – w rządzie Ewy Kopacz – pełnił funkcję ministra zdrowia. Startował też w wyborach parlamentarnych i przez jedną kadencję był posłem. 19 marca 2022 roku odebrał sobie życie.

Jaką cenę miały perfekcjonizm i oddanie? „Szpital to ja” jest historią o niezwykłym człowieku, pasjonacie, który jednocześnie – jak mówią rozmówcy dziennikarzy „Wyborczej” – „rozjeżdżał innych walcem”. Jednocześnie to historia patologii, z którymi mierzył się środowisko lekarskie – nepotyzmu, hierarchii i pracy ponad siły. Poruszająca i zapadająca w pamięć książka.

• **Ewa Wilczyńska, „Miss. Zabójstwo Agnieszki Kotlarskiej”,** wydawnictwo Agora
Agnieszka Kotlarska zdobyła tytuł Miss Polski, wygrała konkurs Miss International i zaczęła się pojawiać na wybiegach największych projektantów. Na przełomie lat 80. i 90., w czasie przemian i nadziei na zmiany, stała się symbolem tego, że Polak potrafi.

Zginęła 27 sierpnia 1996 roku przed domem na wrocławskich Maślicach. Zabójcą był jej wielbiciel. W ataku ranny został mąż Kotlarskiej, a wszystko to działo się na oczach ich dwuletniej córki.

Książka Ewy Wilczyńskiej – zastępczyni redaktora naczelnego „Wyborczej” we Wrocławiu – to nie tylko reportaż o szokujących wydarzeniach, ale też opowieść o ludziach i czasach. To historia kobiety, której „karierę” wymarzyła sobie najpierw matka. O dziewczynie, która szukała miłości i nie zawsze trafiała najlepiej. Ale też o rodzącym się polskim świecie mody. Wilczyńska nie pomija samego zabójcy, który na wolność wyszedł kilkanaście lat temu i rozmawia z reporterką. „Miss” to imponująca, koronkowa robota reporterska.

Kotlarska urasta do tragicznego symbolu czasów przełomu, ale też wreszcie zyskuje biografie, której nie definiuje tylko jej śmierć.

• **Tadeusz Sobolewski, „Cannes. Religia kina”,** wydawnictwo Agora

Legendarny krytyk filmowy i recenzent „Wyborczej” tylko pozornie pisze o najsłynniejszym festiwalu filmowym na świecie. „Cannes. Religia kina” to opowieść o miłości do filmu, radości z obcowania z największymi jego twórcami i twórczyniami, ale też relacja z czasów już coraz bardziej odległych.

„Chciałem wejść w canneński obrządek i od razu znalazłem w Cannes swoje miejsce” – pisze Sobolewski, po raz pierwszy przyjechał na festiwal na początku lat 90. „Spokojnie pochłaniałem cztery filmy dziennie. Byłem kinofilem. Biegając co rano po czerwonych schodach do Théâtre Lumière, widziałem festiwal canneński jako imprezę wolnościową, która jest częścią światowego systemu wspierania oryginalnej twórczości filmowej” – dodaje.

„Mistyczna międzynarodówka kina” – pisze o festiwalowej wspólnotce Sobolewski i wspólnie snuje historię, w której od nazwisk ważniejsze są emocje wywoływane przez ich dzieła. To opus magnum Sobolewskiego ma w sobie tęsknotę za czasami, gdy kino nie było łatwo dostępnym towarem, a spotkanie człowieka z filmem przypominało obrzęd. Wielka, niezwykle ważna książka. Nie tylko dla kinofilów.

• **Aleksandra Zbroja, „Muszę ci coś powiedzieć”,** wydawnictwo Agora

Główną bohaterką powieści reporterki „Wyborczej” jest Joanna, dziewczyna ze wsi, która ze swoim chłopakiem wyjeżdża na Tajwan. Daleko od prowincjonalnej atmosfery, chorej matki i ciągle nieobecnego ojca chce zacząć życie od nowa. Los jednak ma dla niej przykrą niespodziankę. Na Tajwanie dowiaduje się, że jest „hifiarą”.

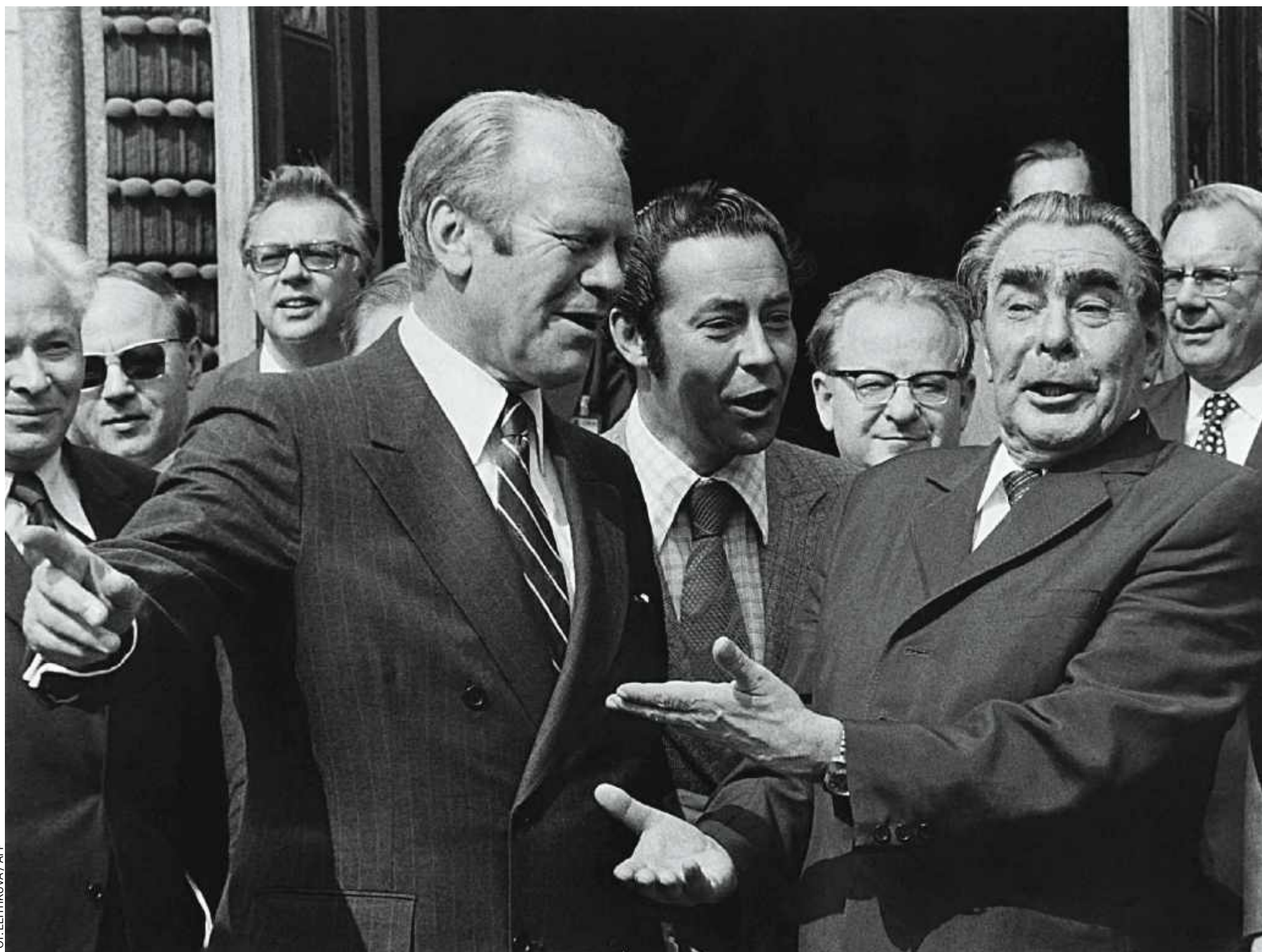
Jak poradzić sobie ze świadomością bycia nosicielką HIV? Jak żyć w społeczeństwie pełnym stereotypów? „Są miliony ludzi jak ja. Miliony dziewczyn. Tylko że za każdym razem, kiedy wychodzę z przychodni, zostaję na ulicy sama” – mówi Joanna i o tej samotności również jest ta powieść.

Krytyka chwaliła świetny język książki. Nawet krytyczna wobec niej Monika Ochędowska w „Dwutygodniku” pisała, że „niejednoznaczny, pełnym skreśleń, bałaganiarskim sposobem opowiadania Zbroja wprowadza do historii Joanny anarchiczną swobodę, wyzwalaając dziewczynę z więzów narzuconych przez lokalną społeczność”.

Chwalono również wybór nieoczywistego i wyjątkowo rzadkiego w polskiej literaturze tematu oraz empatię, z jaką autorka opisała emocje swojej bohaterki. ●

TEN MŁOT ROZBIŁ BETON IMPERIUM

Podpisując w 1975 roku, wraz z Zachodem, deklarację helsińską, reżimy komunistyczne uznały, że to ich wielkie zwycięstwo. Nie rozumiały, że właśnie zaczął się ich upadek



FOT. LEHTIKUVA / AFP

• Prezydent USA Gerald Ford i sekretarz generalny KPZR Leonid Breżniew podczas szczytu Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Helsinki, 30 lipca 1975 r.

Martin M. Šimečka*

Pamiętam dokładnie, co robiłem rano 21 sierpnia 1968 roku, kiedy rosyjskie czołgi wjechały do Czechosłowacji. Miałem blisko 11 lat i ze wzgórz, w którego pobliżu wraz z rodzicami spędzałem tamto lato, obserwowałem kolumnę czołgów w dolinie. Wtedy też po raz pierwszy widziałem, jak mój ojciec płacze.

Równie dokładnie pamiętam, co robiłem 17 listopada 1989 roku, kiedy policja pobiła w Pradze studentów i zaczął się upadek reżimu komunistycznego. Byłem wtedy na spotkaniu zakazanych pisarzy i gdy usłyszeliśmy w Radiu Wolna Europa, co się stało w Pradze, wsiedliśmy do samochodów, żeby wrócić do domu, do Bratysławy, bo wiedzieliśmy, że nasza historia ruszyła z miejsca.

Ale co robiłem 1 sierpnia 1975 roku, kiedy przywódcy reżimów komunistycznych i zachodnich demokracji

podpisywali w Helsinkach deklarację o bezpieczeństwie i współpracy?

Choć było to wydarzenie mające bezpośredni wpływ na przyszły rozpad imperium radzieckiego, w mojej pamięci zostało tylko mgliste wspomnienie wielkich nagłówków w komunistycznej prasie. Świętowano ten dokument jako wielkie zwycięstwo radzieckiej dyploma-

■
*W mojej pamięci zostało mgliste
wspomnienie wielkich nagłówków
w komunistycznej prasie.
Władza świętowała dokument
z Helsinek jako wielkie zwycięstwo
ZSRR. Nie mógł mi się podobać*

cji i to wystarczyło, żebym nie zwracał uwagi na owo wydarzenie.

Odtwarzając swoje wspomnienia, doszedłem do wniosku, że ten dzień spędziłem z bratem, wędrując po słowackich górach.

Za to doskonale pamiętam pozornie dość nieistotne zdarzenie z 31 grudnia 1976 roku, które miało bezpośredni związek z Aktem Helsińskim. Do drzwi naszego mieszkania zadzwonił nieznany mężczyzna, a kiedy je otworzyłem, wręczył mi kopertę, powiedział, żebym ją przekazał ojcu, i zaraz potem zniknął.

Ten nieznajomy mężczyzna sporo ryzykował, ponieważ nasza rodzina była pod stałą obserwacją tajnej policji. Najwyraźniej uznał jednak, że w sylwestra policjanci zrobią sobie wolne.

W kopercie było kilka stron tekstu zatytułowanego „Oświadczenie Karty 77”. Podpisali je przyjaciele mego ojca: czeski filozof Jan Patočka (który trzy miesiące później zmarł po ośmiogodzinnym przesłuchaniu przez tajną policję), dramaturg Václav Havel i były polityk Jiří Hájek.

Mój ojciec, Milan Šimečka, filozof i dysydent mieszkający w Bratysławie, czyli w słowackiej części Czechosłowacji, daleko od Pragi, przeczytał ten tekst i z irytacją zauważył, że pisząc ten dokument, jego czescy przyjaciele zapomnieli o Słowakach, a teraz chcą od nich tylko podpisów.

Wiele razy czytałem o ojcu, że „był sygnatariuszem Karty 77” i prostowanie tego błędu przestało mnie już bawić. Historykom można jednak wybaczyć tę nieścisłość, ponieważ historia życia i poglądy mojego ojca były wręcz tożsame z tymi osobami, które podpisały Kartę 77 - łącznie z pobytem w więzieniu.

Ojciec nie podpisał Karty 77, ponieważ był rozgoryczony praskim egocentryzmem przyjaciół, ale dlatego ja jej nie podpisałem, skoro nie miałem powodu, by czuć się urażony? Miałem przecież 20 lat, komuniści zabronili mi studiować, zarabiałem na życie jako robotnik i nie miałem nic do stracenia. Zostałem dysydentem, bo według komunistów byłem napiętnowany grzechem dziedzicznym. Miałem więc wszelkie powody, aby podpisać Kartę 77.

Zgadzałem się z każdym zdaniem dokumentu, z wyjątkiem tego, w którym sygnatariusze chcą „w obszarze swego działania prowadzić konstruktywny dialog z władzami politycznymi i państwowymi”. Dialog z komunistami? Ja absolutnie nie miałem zamiaru prowadzić z nimi żadnego dialogu.

Być może było to tylko taktyczne posunięcie autorów Karty 77, lecz ja nie chciałem mieć nic wspólnego z komunistami. Dlatego nawet podczas policyjnych przesłuchań uparcie milczałem, bo każda moja odpowiedź na pytanie śledczego byłaby już dialogiem.

Antykarta

Takie przekonania nie przeszkadzały mi jednak podziwiać geniuszu idei Karty 77. Autorów tekstu było kilku, jednak do kluczowych należeli pisarze Pavel Kohout i Ludvík Vaculík. Obaj byli wcześniej komunistami, którzy doskonale znali naturę reżimu.

Wiedzieli, że jego wielką słabością jest chorośliwa potrzeba swej legitymizacji przez Zachód. Komunistyczny reżim uważał Akt Heliński za swoje zwycięstwo, bo Zachód uznał w nim imperium radzieckie – w tym Czechosłowację – za swojego partnera. Zobowiązanie Czechosłowacji do przestrzegania praw człowieka ówczesny reżim uznał za nieistotne ustępstwo, o którym nawet nie raczył poinformować swoich obywateli (13 października 1976 roku Akt Heliński został jednak oficjalnie opublikowany).

Karta 77 była precyzyjnym ciosem wymierzonym w owo słabe miejsce, bo obnażała ignorowanie przez reżim komunistyczny przyjętych w Helsinkach zobowiązań. Gdy tekst Karty 77 opublikowały zachodnie gazety, reżim uznał to – w sumie słusznie – za bezpośredni atak na swoją legitymizację.

Jednak nawet sygnatariusze Karty 77 nie przewidzieli, że ich akcja wywoła tak wielkie echa. Nastąpiła fala represji na niespotykaną dotąd skalę i jednocześnie komuniści rozpoczęli potężną akcję propagandową w obronie swojej legitymizacji.

W całym kraju setki tysięcy ludzi na zgromadzeniach publicznych zmuszano do głosowania za rezolucją potępiającą Kartę 77, chociaż przeważająca większość nie czytała tego dokumentu, bo jego publikacja była zakazana. Reżim zmuszał tysiące artystów z różnych dziedzin do składania podpisów lojalności, a telewizja transmitowała na żywo, jak najsłynniejsi aktorzy i piosenkarze występują przeciwko Karcie 77. Była to orgia konformizmu i tchórzostwa.

Po 1989 roku i upadku komuny ta „Antykarta” stała się swego rodzaju dokumentem hańby i wielu artystów publicznie przeprosiło za jej podpisanie.

Wtedy jednak niemal wszystkim wydawało się, że Akt Heliński jest prawdziwym zwycięstwem reżimów komunistycznych, co potwierdzały brutalne represje wobec dysyden-

tów w Czechosłowacji. Nie byłem wcale jedyną osobą, która uważała, że wysiłki Zachodu na rzecz zbliżenia z imperium radzieckim to zdrada milionów ludzi uciskanej przez komunizm naszej części Europy.

Świstek papieru

15 lat później okazało się, że bardzo się myliłem, podobnie jak mylili się komunistyczne dyktatury. Handel z Zachodem, od którego oczekiwały wzmocnienia swoich gospodarek, nie zdołał powstrzymać ich zacofania. A gwarancję, że Zachód nie będzie ingerował w wewnętrzną sytuację polityczną imperium radzieckiego, nie zdołały powstrzymać jego rozkładu od wewnątrz.

Również gwarancja pokoju okazała się iluzją. Przez całe lata 80. żyłem w atmosferze historycznych obaw przed wojną nuklearną. Komunistyczna propaganda codziennie straszyła ludzi Ameryką, która rzekomo chce użyć „bomby neutronowej” lub wywołać „gwiazdne wojny”.

OBWE to instytucja oparta na moralnych zasadach praw człowieka. Ale jej autorytet kończy się w chwili, gdy jakieś państwo otwarcie te zasady lekceważy. Rosja przykładem

Na Zachodzie tej historii ulegali działacze pokojowi, którzy w Niemczech organizowali masowe marsze przeciwko amerykańskim rakietom Pershing w Europie. Ale ku mojemu ówczesnemu zdziwieniu nie protestowali przeciwko rosyjskim głowicom nuklearnym, które były skierowane na Zachód, i do dziś nie wiemy dokładnie, ile ich wtedy było w samej Czechosłowacji. Jak lakonicznie zauważył wówczas prezydent Francji François Mitterrand w przemówieniu w niemieckim Bundestagu: „Rakiety są na Wschodzie, a pacyfiści na Zachodzie”.

Wydawało mi się wtedy, że Akt Heliński stał się tylko świstkiem papieru, kolejnym z wielu międzynarodowych dokumentów, których nikt nie traktuje poważnie, jak to już wielokrotnie miało miejsce w historii. Jednak, jak powiedział później Henry Kissinger, „przełomowe momenty często w swoim czasie pozostają niezauważone”.

Tym przełomowym momentem okazało się to, co początkowo wyglądało jedynie na formalny dodatek, którym Zachód chciał uspokoić swoje sumienie, skoro po wojnie opuścił Europę Wschodnią i zostawił ją Stalinowi. Chodziło o podpisanie przez wszystkie państwa słynnego „trzeciego koszyka”, dotyczącego kwestii praw człowieka i swobód obywatelskich.

To, co miało być jedynie ozdobnym dodatkiem do międzynarodowego traktatu, ponownie uznającego porozumienie z Jałty i utrwalającego podział Europy, stało się młotem, który stopniowo rozbijał betonową konstrukcję imperium radzieckiego.

Odwiedziny

Jeszcze przed początkiem lat 80. w Czechosłowacji naprawdę wydawało się, że Akt Heliński był jedynie nieistotnym epizodem historycznym. Václav Havel spędził cztery la-

ta w więzieniu (mój ojciec ponad rok), prześladowania dysydentów były jeszcze bardziej brutalne niż wcześniej, a tajna policja zmieniła taktykę i prócz biurokratycznych szykan zaczęła też fizycznie bić działaczy Karty 77, aby ich zastraszyć i zmusić do emigracji.

W Polsce komuniści brutalnie stłumili ruch „Solidarności”, licząc między innymi na to, że Akt Heliński uzna prawo państw do robienia w swym domu tego, co im się podobą. Argument ten często wykorzystywali również czechosłowaccy komuniści. Na wszelką krytykę Zachodu za prześladowania dysydentów reagowali oburzeniem, twierdząc, że to „ingerencja w wewnętrzne sprawy” państwa, sprzeczna z Aktem Helińskim.

Dlatego nie miałem żadnych powodów, by sądzić, że coś się może zmienić, i byłem przekonany, że sam muszę walczyć o własną wolność, bez pomocy Zachodu, i że to zadanie na całe życie (nawet w snach nie przyszło mi do głowy, że komunistyczny reżim może upaść za mojego życia).

Ale coś się jednak zaczęło zmieniać. Przez całe lata 70. nie spotkałem ani jednej osoby z Zachodu (oczywiście nikt z naszej rodziny nie miał paszportu aż do 1989 roku, więc nie mogliśmy podróżować). Po 1980 roku jednak od czasu do czasu dzwonił do naszego domu jakiś nieznajomy – przedstawiał się jako zagraniczny dziennikarz albo profesor z Oxfordu, który przyjechał wyklądać filozofię nielicznym dysydentom gotowym zaryzykować, że zamiast na wykład trafią prosto na przesłuchanie policyjne.

Czułem się wtedy trochę jak tubylec z amazońskiej dżungli, który po raz pierwszy spotkał białego człowieka. Do naszej komunistycznej dżungli zaczęli bowiem przybywać ludzie z innej cywilizacji, a ja ze zdumieniem odkrywałem, że są nami zainteresowani.

Nie miałem złudzeń, że te wizyty z Zachodu coś u nas zmieniają, ale świadomość,



FOT. KUBA ATYS / AGENCJA GAZETA

*Martin M. Šimečka

• Rocznik 1957, słowacki pisarz i publicysta. Był naczelnym słowackiego dziennika „SME” i czeskiego tygodnika „Respekt”.

Tekst napisany na konferencję zorganizowaną w Helsinkach w maju 2025 r. z okazji 50. rocznicy podpisania w tym mieście Aktu Końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Tytuł - „Wyborcza”.

że za żelazną kurtyną żyją ludzie, którzy myślą o wolności tak samo jak ja, miało dla mnie ogromne znaczenie. A oni mogli przyjeżdżać do Czechosłowacji właśnie dzięki Aktowi Helińskiemu.

Pewnego dnia, w drugiej połowie lat 80., do Bratysławy przyjechał przewodniczący Helińskiej Komisji Praw Człowieka ksiądz Karel Schwarzenberg, a mój ojciec zaprosił go na kolację. Kiedy zapytałem go, jak to się stało, że właśnie jemu, którego czechosłowaccy komuniści uważali za wroga, udało się przekroczyć granicę, tylko uśmiechnął się i powiedział: „Musieli mnie wpuścić”.

Wtedy wreszcie w pełni zrozumiałem znaczenie Aktu Helińskiego.

Wyobraźnia dysydentów

W tym czasie w Czechosłowacji zaczęły szybko powstawać różne niezależne inicjatywy i stowarzyszenia o nazwach takich jak Komitet Heliński czy Ruch na rzecz Wolności Obywatelskiej, które były inną wersją Karty 77 i opierały się na jej zasadach. Wszystkie odwoływały się do Aktu Helińskiego i było ich tak wiele, że reżim komunistyczny nie był w stanie fizycznie wszystkich zniszczyć.

Odwoływały się do kwestii poszanowania praw człowieka, co formalnie uznali w Akcie Helińskim również komuniści, wszystkie też wzywały ówczesną władzę do dialogu, ale ta odrzucała owe apele. Nie miałem więc powodu, aby zmieniać swoje przekonanie, że dialog z brutalnym reżimem to tylko dialog pałki i si-nych pleców, jednak bardzo podziwiałem wyobraźnię i wytrwałość ludzi Karty 77.

Reżimy komunistyczne w Europie Wschodniej na pewno upadłyby ostatecznie z powodu własnej sklerozy i wewnętrznej słabości, pewnie nawet bez dysydentów, a może i bez Aktu Helińskiego i jego „trzeciego koszyka”. Jednak takim upadkiem brakowało czegoś istotnego: etosu praw człowieka, jaki stworzyli ludzie demokratycznej opozycji, opierający się na Akcie Helińskim.

Dzisiaj wydaje się całkiem oczywiste, że idea praw człowieka stanowiła siłę napędową, która doprowadziła do upadku komunizmu, lecz to niesłuszna ocena przeszłości. Przecież wcale nie musiało tak być (przykładem ostrzegawczym są Chiny). Bo prawa człowieka stały się skutecznym narzędziem politycznym zmian tylko dzięki wyobraźni i wytrwałości dysydentów na Wschodzie i aktywistów na Zachodzie. A także dzięki Aktowi Helińskiemu, który bez tych ludzi pozostałby pustym dokumentem.

Idea praw człowieka pomogła również krajom Europy Środkowej w szybkim przejściu do demokracji. Była ona bowiem wsparciem dla szlachetnej historii walki obrońców praw człowieka – w Czechosłowacji przewodził im Václav Havel, który w grudniu 1989 roku został prezydentem kraju. W państwach Europy Wschodniej, gdzie dysydenci nie doszli do władzy, dojście do demokracji trwało znacznie dłużej (choćby w Rumunii czy w krajach byłej Jugosławii) albo w ogóle się nie powiodło - na przykład w Rosji.

Słabość miękkiej siły

Miękka siła Aktu Helińskiego niewątpliwie przyspieszyła upadek imperium komunistycznego, ale była pozbawiona mocy, gdy ktoś z państw postanowiło ją zignorować. Była bezsilna, gdy pod koniec 1979 roku Związek Radziecki zaatakował Afganistan, nie potrafiła się przeciwstawić serbskiemu nacjonalizmowi, który zabijał w Sarajewie, Srebrenicy i Kosowie w latach 90. Jest także bezsilna dziś wobec rosyjskiej agresji na Ukrainę.

Nie jest to zarzut. Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, OBWE, to instytucja oparta na moralnych zasadach praw i swobód człowieka, a jej autorytet kończy się w chwili, gdy jakieś państwo otwarcie lekceważy te zasady. Rosja jest tego typowym przykładem.

Jeszcze w pierwszej połowie lat 90. ówczesny prezydent Rosji Borys Jelcyń sta-

rał się przekonać Zachód, aby zamiast rozszerzać NATO o państwa Europy Środkowej i Wschodniej, skoncentrował się na współpracy w ramach OBWE. (Z drugiej strony ten sam Jelcyń jeszcze w 1993 roku w Warszawie publicznie przyznał, że to właśnie Akt Heliński daje wszystkim państwom prawo do „wyboru sojuszników”).

Pamiętam, jak bardzo się bałem, że Zachód podejmie tę rosyjską grę, i nagle zacząłem postrzegać OBWE jako zagrożenie. Ta pozbawiona władzy organizacja nie dawała bowiem żadnej gwarancji obrony przed Rosją i ponowną próbą przejęcia przez nią kontroli nad małą i kruchą Słowacją, gdzie mieszkalem. Wtedy rządził u nas autorytarny populiści Vladimir Mečiar, a Jelcyń nazywał go swoim przyjacielem.

Innymi słowy, OBWE, której podczas komunizmu byłem wdzięczny za miękką siłę, z jaką broniła dysydentów z Europy Wschodniej, nagle stała się w moich oczach zagrożeniem, bo mogło dojść do zgniecia kompromisu między Zachodem a Rosją.

Nie miałem złudzeń, że OBWE ochroni moją wolność, ponieważ wiedziałem, że nie jest w stanie tego zrobić. Wojna w Jugosławii była tego tragicznym dowodem. Bardzo obawiałem się, że Zachód ustąpi Rosji, a OBWE posłuży mu jako wymówka. Użyło mi dopiero w chwili, gdy stało się jasne, że Słowacja zostanie członkiem NATO i Unii Europejskiej.

Bez autorytetu

Od tego czasu przestałem interesować się OBWE i nie byłem w tym osamotniony. Bo ile razy w ciągu ostatnich dwóch dekad OBWE znalazła się w centrum uwagi europejskich mediów?

To nie jest zarzut. Akt Heliński podpisałno w czasie, gdy Zachód i Wschód starały się uniknąć wojny. Być może dlatego, że wówczas

na czele państw stali głównie politycy, którzy na własnej skórze doświadczyli II wojny światowej.

50 lat później świat wygląda inaczej. Rosja rozpoczęła wojnę przeciwko Ukrainie i beczelnie ignoruje międzynarodowe traktaty i porozumienia. Memorandum, które Rosja (wraz z USA, Wielką Brytanią i Ukrainą) podpisała w 1994 roku i które miało zagwarantować Ukrainie suwerenność w zamian za rezygnację z broni jądrowej, stało się tylko świstkiem papieru, podobnie jak tzw. porozumienia mińskie.

W świecie, w którym nie obowiązują umowy międzynarodowe, OBWE jest organizacją pozbawioną autorytetu. Ale w krajach, w których dochodzi do masowego łamania praw człowieka, lokalni dysydenci mają przynajmniej poczucie, że OBWE interesuje się ich losem. To lepsze niż nic. Lecz miękka siła Aktu Helińskiego wyczerpała się, bo współcześni autorytarni przywódcy otwarcie wyśmiewają zasadę praw człowieka i nawet nie próbują udawać, że przynajmniej formalnie ją uznają.

W 1975 roku powstał międzynarodowy traktat, który szeroko otworzył przestrzeń dla obrońców praw człowieka w Europie Wschodniej, a oni dzięki swojej wyobraźni potrafili ją skutecznie wykorzystać. Dzisiejsza epoka również wymaga wyobraźni tych wszystkich, którym zależy na demokracji. Istota wyobraźni polega jednak na tym, że wymyśla się coś nowego. Stare wzorce już nie działają, przeszłości nie da się powtórzyć.

Być może właśnie w tej chwili ma miejsce – by użyć słów Kissingera – ten „punkt zwrotny”, którego znaczenia my, współcześni, jeszcze nie rozumiemy. Byłoby wspaniale, gdyby miało to miejsce na forum OBWE, ale obawiam się, że tak się nie stanie. ●

przeł. Andrzej S. Jagodziński



*Jerzy Zagórski

(1907-84), poeta, dramaturg, tłumacz. Współzałożyciel wileńskiej grupy poetyckiej Żagary. Autor wielu tomów poezji i esejów. Sygnatariusz m.in. Listu 34, wieloletni wiceprezes Polskiego PEN Clubu. Wiersz ukazał się w piśmie „Żagary” nr 1/1931, tutaj za: „Żagary. Antologia poezji”, oprac. Jarosław Fazan, Krzysztof Zajas, wstęp Tadeusz Bujnicki, Ossolineum, Wrocław 2019.

Objaśnienia:

„kastraci u Steinachów” – chodzi zapewne o Eugena Steinacha (1861-1944), twórcę endokrynologii; Richard Byrd (1888-1957) – lotnik amerykański, jako pierwszy przeleciał Atlantyk w samolocie wieloosobowym, tu aluzja do jego wyprawy na Antarktydę.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Jerzy Zagórski*

Religia

*Za szybą w suterenie wędnące nasturcje
patrzyły w dom rozpusty jak w daleką przystań,
gdzie kobiety z Wołynia, Marsylii, czy Turcji
kołysały biodrami w tango powłóczystym.*

*Jak mróz, jak zorza rosła nad światem konieczność,
jak szklana geometria kaktusów drapaczy.
Kastraci u Steinachów błagali o wieczność
i ryczały szympansy w bezbronnej rozpacz.*

*Wśród wrzosowisk Bretonii, popod morza szum
czytał człowiek o twarzy uwłosionej pudła,
że murzynka fenomen, potwór gestokudły
śpiewa głosem świszczącym jak kule dum-dum.*

*Prelegenci wróżyli antychrysta przyjście,
zrobił z tego tom wierszy popularny wieszcz,
a na stokach Tybetu prężył wiotkie liście
lotos latem liźnięty przez promieni deszcz.*

*Potęę mórz i wichrów, którym wolność wydarł
człowiek zaklął w turbiny i w podziemną koleję.
Czterdziestu sprawiedliwych odpłynęło z Byrdem,
żegnała Metropolia – słup zastygłej soli.*

WE WTOREK 23 GRUDNIA

Świąteczne WYDANIE WYBORCZEJ

Olga Tokarczuk
świąteczna rozmowa z noblistką

„Tato, tylko na chwilę, bo jutro wyjeżdżamy w góry”.
Mam 52 lata i uczę się samotnej Wigilii

Pęknięte serce uczyni cię silniejszym
Jak wyglądała przemoc w elitarnej brytyjskiej
szkole z internatem

Co dzieje w sercu czarnej dziury?
Być może nigdy się nie dowiemy





Kazimierz Dolny

GWALT NA KRAJOBRAZIE

Miasto-pomnik nieraz musiało się bronić przed „nowym”. Teraz nie chce mostu na Wiśle.

Stanisław Zasada

W Kazimierzu lubią cytować Melchiora Wańkowicza. Zapytany na emigracji, które z miejsc najbardziej kojarzy mu się z ojczyzną, odparł: „Najbardziej polski i najpiękniejszy krajobraz to łuk Wisły między Janowcem a Kazimierzem”.

– Niech pan patrzy, bo to już ostatnie takie chwile – Adamscy pokazują ze swojego okna to, co widział Wańkowicz. A na monitorze – wizualizację przyszłej kładki dla pieszych i rowerzystów z Kazimierza Dolnego do Janowca, która ma przeciąć krajobraz.

Mostowi patronuje Jarosław Stawiarski, pisowski marszałek województwa lubelskiego. Uważa, że mieszkańcom wsi Janowiec kładka ułatwi życie, a turystom drogę z Kazimierza do Janowca. „Za” są samorządowcy w Janowcu i radni powiatu w Puławach.

Przeciw – społecznicy, architekci i historycy sztuki w Kazimierzu. Alarmują, że stała przeprawa zniszczy unikatowy krajobraz i nie pasuje do zabytkowego miasta.

A kazimierowscy radni? Zdjęli głosowanie w tej sprawie z kalendarza obrad.

To nie pierwszy spór o „ulepszenie” Kazimierza i okolicznego krajobrazu.

WIDOK Z OKNA

Na wprost i po lewej rzeka otoczona zielonymi skarpami, na drugim brzegu ruiny wielkiego zamku.

Na Małopolski Przełom Wisły, obszar chroniony przyrodniczo, patrzeć przez okno drewnianego domu w Mięćmierzu – kiedyś rybacka wieś, blisko Kazimierza. Z piętra jego willi, ze dwa kilometry w dół rzeki od Mięćmierza, też widać ruiny janowieckiego zamku. z różnych rejonów Lubelszczyzny. Gospodarz radzi zapamiętać widok: kilkaset metrów stąd może stanąć potężna betonowa kładka, która zniszczy ten krajobraz.

To samo doradza Sławomir Adamski, tłumacz i prezes Towarzystwa Opieki nad Zabytkami w Kazimierzu Dolnym. Z piętra jego willi, ze dwa kilometry w dół rzeki od Mięćmierza, też widać ruiny janowieckiego zamku.

– Być może to jeden z ostatnich takich krajobrazów – mówi markotnie.

Syn Adamskiego Aleksander wyświetla na monitorze wizualizację przeprawy. Nad szeroką w tym miejscu

rzeką rozpięto nowoczesną konstrukcję, która spina oba brzegi. Na jednym zdjęciu wysokie półkoliste pylony.

– W najpiękniejszym przyrodniczo odcinku Wisły – ubolewa młody Adamski.

Jego ojciec przynosi dwie stare ryciny z przedstawieniami Kazimierza i skarpy janowieckiej. Na jednej kazimierski rynek z farą, renesansowymi kamienicami i słynną studnią, na drugiej wijąca się Wisła i zamek w Janowcu. – Uznani artyści i zwykli pacykarze najczęściej to malowali – mówi.

– Kładka to zabije – puentuje.

SPICHLERZ JAK PAŁAC

Rok 1181.

Książę Kazimierz Sprawiedliwy daje siostrą norbertankom osadę Wietrzna Góra. Na cześć władcy zakonnicę nazwą ją Kazimierz. Dwa wieki później Kazimierz Wielki daje osadzie prawa miejskie, stawia warowny zamek.

Gdy Zygmunt Stary nie ma czym spłacić Mikołajowi Firlejowi kosztów udziału w wyprawach wojennych,

▼ **Kazimierz Dolny z lotu ptaka. W głębi widać łuk Wisły, a za nim, w oddali, zamek w Janowcu**

FOT. JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



• Dwie wersje kładki przez Wisłę zaprojektowanej przez pracownię MiD. Preferowany jest wariant bez łuków kratownicowych. Wizualizacje w kwietniu 2025 roku opublikował portal Jawnylublin.pl



nadaje hetmanowi i jego synowi dożywotnio starostwo kazimierskie. Za Firlejów miasto przeżywa złoty wiek. Na rynku powstają kamieniczki, podwyższoną północną pierzeję zamknie gotycko-renesansowa fara, najcenniejszy zabytek miasta.

W XVI stuleciu Kazimierz Dolny to ważny port rzeczny: bogaci się na handlu zbożem, które Wisłą płynie do Gdańska. Nad wiślańskimi bulwarami stoją jeszcze dawne spichlerze – wyglądają jak pałace. Rozwija się handel drewnem i sztuknictwem. To z tamtych czasów pochodzą kamienice Przybyłów, Celejów i Gdańska z podcieniami i zdobnymi elewacjami.

W połowie XVII wieku miasto niszczą najpierw Szwedzi, potem kilka razy przetoczą się jeszcze obce wojska, wybuchnie zaraza.

W 1869 roku car odbierze Kazimierzowi prawa miejskie. Zbiedniałe miasteczko staje się przeludnionym sztetlem. W piątki pod wieczór z kościelnych wież biją dzwony, a w synagodze palą się szabasowe świece. „Przez ciche miasteczko pobożni chrześcijanie, mężczyźni i kobiety, zmierzają do kościoła. Czysto umyć Żydzi, z białymi kołnierzykami od koszul, wyłożonymi na chałatach szabasowych, zmierzają do bożniczek” – będzie pisał w jidysz Szalom Asz.

W tym samym czasie zaczynają tu ściągać pierwsi zamożni letnicy i artyści.

Obie wojny światowe znowu niszczą Kazimierz. Po pierwszej i drugiej nad odbudową czuwa architekt Karol Siciński: pilnuje, żeby miasto zachowało dawny charakter.

W 1994 roku prezydent Lech Wałęsa uznaje centrum Kazimierza za pomnik historii.

IMPRESJONIZM Z SIANEM

Krytycy doradzają mu złośliwie okulistę. Istotnie: na świetlistym płótnie niełatwo doszukać się polnej drogi, łąk, porośniętych lasem wzgórz, nie mówiąc już o głównym motywie.

To jeden z pierwszych polskich obrazów impresjonistycznych. W 1890 roku Józef Pankiewicz namalował w Kazimierzu Dolnym „Wóz z sianem”. Przyjechał tu z Paryża, gdzie podziwiał malarską technikę Claude’a Moneta.

Warianty lokalizacyjne kładki



Niedługo potem prosto ze szkoły Paula Gauguina w bretońskim Pont-Aven przyjedzie tu Władysław Słowiński. Namaluje kazimierskie uliczki i ruiny tutejszego zamku (niektórzy myślą go z tym w Janowcu) z panoramą Wisły; w swoim stylu: oszczędnie, surowo.

Jednak kolonia artystyczna w Kazimierzu narodziła się w 1923 roku: profesor Tadeusz Pruszkowski, portrecista przedwojennych prezydentów i marszałka Piłsudskiego przywiózł tu na letni plener malarski studentów ówczesnej Szkoły Sztuk Pięknych z Warszawy.

Julia Siemińska z Towarzystwa Przyjaciół Miasta Kazimierza Dolnego przypomina, że malarzy przyciągały nie tylko krajobraz i architektura, ale także specyficzne światło, niespotykane gdzie indziej: – Daje je tutejszy świetlisty kamień wapienny.

OJCIEC CHRZESTNY

„Miasto jest jak ciężko chory, który czeka ratunku” – powojenny Kazimierz opisuje architekt Karol Siciński.

Jesienią 1945 roku staje na gruzach kazimierskiego rynku, patrzy na pokiereszowane kamienice Przybyłów. Wysłało go tu Ministerstwo Kultury i Sztuki – miał

przygotować referat na temat odbudowy. Zniszczenia ocenil na 80 procent.

– Były obawy, że władze będą chciały zrobić porządek za pomocą spychaczy i zbudować miasto od nowa – mówi Bartłomiej Pniewski, obecny prezes Towarzystwa Przyjaciół Miasta Kazimierza Dolnego.

Siciński wygrywa konkurs na odbudowę miasteczka, zostaje miejskim konserwatorem. Dba o zabytki, projektuje, walczy z budowlaną samowolą: miał wydrapywać na fotografiach willę Pruszkowskiego, którą profesor wystawił na zamkowym wzgórzu.

Mówi się, że współczesny Kazimierz to zasługa Sicińskiego. – Jest ojcem chrzestnym powojennego Kazimierza i stylu kazimierzowskiego – zgadza się Pniewski.

Ten styl to między innymi miejscowy budulec – kamień wapienny i drewno. Do tego zabudowa zgodna ze skalą niewielkiego miasta.

POLUBILI MĄDRAŁĘ

Za wczesnego Gierka miejskim konserwatorem zabytków i dyrektorem Muzeum Nadwiślańskiego w Kazimierzu zostaje Jerzy Żurawski, historyk sztuki. Gdy przyjeżdża w 1972 roku z Łańcuta, na tyłach kamienicy Celejowskiej budują remizę strażacką: ma mieć trzy piętra i dach z eternitu.

– Wstrzymałem budowę i zażądałem nowego projektu – wspomina Żurawski. Remizę obniżono do dwóch pięter, dach pokryto gontem. Wojewódzki komendant straży jest wściekły. Potem mu przejdzie: chwali się, że drugiej takiej remizy w Polsce nie ma.

Socjalistyczny kraj się rozbudowuje. W Kazimierzu ma powstać rondo, nowa ulica z nowoczesnymi skrzyżowaniami, a na pięknym wzgórzu nad miastem, z widokiem na Wisłę – wielki dom wypoczynkowy dla zakładów azotowych w Puławach.

– Zażądałem zmiany planu zagospodarowania przestrzennego – wspomina Żurawski. Wie, że czeka go starcie z partyjnym wojewodą w Lublinie – Ryszard Wójcik znany był z twardej ręki.

O pomoc prosi Aleksandra Małachowskiego (wtedy to dziennikarz „Kultury”, potem marszałek Sejmu, opozycjonista, internowany w stanie wojennym), który przyjechał akurat do Kazimierza.

Małachowski zaczyna „batalię o Kazimierz Dolny” – sam tak to nazwie. W sprawę angażuje warszawskie środowisko dziennikarskie. O Kazimierzu pisze prasa: „Życie Warszawy”, „Kultura”, „Literatura”, „Sztandar Młodych”, a nawet satyryczne „Szpilki”.

Udaje się. Wojewoda daje Żurawskiemu duże pełnomocnictwa. Konserwator zatrudnia architektów. Kieruje nimi Jerzy Kowarski: były akowiec, w powstaniu warszawskim ratował dzieła sztuki, cywilną odwagę wykazał się też w czasach socrealizmu. Teraz broni Kazimierza przed nowoczesną rozbudową.

Miejski konserwator – zgodnie z tradycją przekazaną przez Sicińskiego – stara się, żeby przy remontach i budowie używano miejscowego budulca: kamień wapienny, drewno, gont, blacha lub ceramiczna dachówka. Pilnuje, żeby budynki zachowały lokalną skalę i nawiązywały do miejscowego stylu.

Do swoich pomysłów długo przekonywał mieszkańców. Na spotkaniach w domu kultury tłumaczył, że skorzystają na zmianach, bo zachowanie kameralnego i zabytkowego charakteru miasta ściągnie turystów, którym będą wynajmować kwatery. Tym, którzy godzili się pokryć dachy gontem, załatwiał dofinansowanie. Polubili go nawet ci, co jeszcze niedawno przeżywali go od „mądrali z zewnątrz” i „pięknoducho”.

– Kazimierz został uratowany – wspomina Żurawski, gdy pół wieku później rozmawiamy w salonie kazimierzowskiego domu, z którego widać czerwony dach fary. To dawny drewniany dom Karola Sicińskiego, który odbudowywał Kazimierz po dwóch wojnach.

Żurawski zwyciężył, ale w walce o zachowanie historycznego charakteru Kazimierza ciągle trwają większe i mniejsze potyczki.

IDEAŁ SIĘGA BRUKU

„W Kazimierzu Dolnym trwa od pół roku ostra przepychanka o nawierzchnię ulicy Krakowskiej” – 30 sierpnia 1981 roku Małgorzata Szejnert pisze na łamach „Literatury”.

Rok wcześniej jedną z najbardziej lubianych ulic Kazimierza – szlak spacerowy wzdłuż Wisły, stoją przy niej zabytkowy spichlerz, faktoria angielska, dom malarza Piotra Potworowskiego – rozkopano, żeby założyć kolektor ściekowy i kabel telefoniczny. Wykonawca miał wybrukować ulicę, ale roboty

▶ stanęły. Naczelnik kazimierskiej rady narodowej nie może znaleźć brukarzy. Są za to asfaliarze, więc radni są za asfaltem.

„Skoro są asfaliarze, niech będzie asfalt – wołają mieszkańcy. Zwłaszcza że asfalt i wygodniejszy, i prestiżowy” – pisze dalej Szejnert.

„Większość radnych jest przekonana, że działa zgodnie z demokratycznym nurtem odnowy, od którego nie ma odwrotu. Demokratycznie jest przegłosowywać, a nie przyjmować do wiadomości, demokratycznie jest, gdy większość wywiera nacisk, a nie wtedy, gdy czyni to mądrząca się jednostka” – zgadza się niby Szejnert.

I ironizuje: „Miejmy nadzieję, że demokracja przetrzyma w Kazimierzu swą dziecięcą chorobę i nie doprowadzi do podjęcia uchwały o rozbiórce niezwykle kłopotliwych ruin zamku Kazimierza Wielkiego”.

Swój cięty felieton Małgorzata Szejnert zatytułowała „Ideal sięgnął bruku”. Na Krakowskiej bruk został.

W wolnej Polsce nie zaniechano „ulepszania” Kazimierza. Były pomysły, żeby w kamieniołomach urządzić wielki aquapark albo przenieść tam z Rynku odbywające się we wtorki i w piątki słynne targi, które są jedną z atrakcji miasteczka.

– Na szczęście żaden z tych pomysłów nie wypalił – mówi Sławomir Adamski.

PIĘKNO WEDŁUG MARSZAŁKA

Janowiec, 11 lipca 1975 roku.

Na dziedzińcu zamkowym odbywa się niezwykła uroczystość. Leon Kozłowski, właściciel jedyne w Polsce prywatnego zamku, a właściwie jego dostojnych ruin, przekazuje Jerzemu Żurawskiemu klucze do zabytku. Strony: Muzeum Nadwiślańskie i sprzedawca uzgodniły cenę – pan Kozłowski otrzymuje od państwa sumę równą wartości domku jednorodzinnego. Na ogromnym podwórku ustawiono stoły z półmiskami, na których piętrzą się czereśnie.

Wkrótce potem konserwator przenosi w pobliże zamku osiemnastowieczny dwór z Moniak pod Urzędowem. Przerobieniem dworu na muzeum zajmuje się Kowarski.

Janowiec, 22 grudnia 2022 roku.

W dworku z Moniak do zdjęcia staje dziewięć osób. Przed chwilą dyrektor Zarządu Dróg Wojewódzkich w Lublinie i przedstawiciel Pracowni Projektowej MiD z Gdańska, która zajmuje się mostami i drogami, podpisali umowę o „przygotowaniu koncepcji kładki pieszo-rowerowej” z Kazimierza Dolnego do Janowca.

Za prawie 900 tysięcy złotych pracownia, która wygrała przetarg, bo była najtańsza, miała przygotować po trzy warianty lokalizacji i konstrukcji przeprawy.

Na konferencji prasowej w dobrym nastroju jest marszałek Jarosław Stawiarski. – Kładka połączy piękny Kazimierz z pięknym Janowcem i z pewnością będzie dużą atrakcją turystyczną – mówi dziennikarzom.

Rok później w Polsce zmienia się władza. Ale wkrótce większość w lubelskim sejmiku zyskuje PiS – marszałkiem województwa pozostaje Stawiarski.

Wiosną 2025 roku dziennikarze portalu Jawny Lublin dopytują o przeprawę Zarząd Dróg Wojewódzkich i gdańską pracownię, bo o inwestycji jakoś cicho. Zdobywają projekty kładki.

Latem za budową opowiedzieli się powiatowi radni w Puławach i gminni w Janowcu. Uchwałą mieli też się zająć w Kazimierzu, ale w ostatniej chwili z głosowania zrezygnowano.

– Bo nie było nad czym głosować – tłumaczy Artur Pomianowski, burmistrz Kazimierza. – To poważna inwestycja, która wymaga dużej odpowiedzialności i ostrożności. Zwłaszcza że część naszych mieszkańców obawia się ingerencji w krajobraz i utraty kameralnego charakteru miasta. Ale zamiast poważnych analiz i konsultacji społecznych mamy na razie ogólne założenia, bez propozycji szczegółowych rozwiązań.

W Janowcu usłyszałem, że burmistrza mieli przekonać kazimierscy hotelarze i restauratorzy, którzy obawiają się, że kładka odbierze im turystów – dlatego nie przyjęto uchwały popierającej budowę.

Powtarzam to Arturowi Pomianowskiemu. – To radni jednogłośnie zdjęli projekt uchwały z porządku obrad – odpowiada. I dodaje: – Janowiec nie jest żadnym zagrożeniem dla Kazimierza.

Sprawą kładki zajmują się też Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska w Lublinie i Wojewódzki Urząd Ochrony Zabytków.

– Wciąż analizujemy wniosek – mówi Cezary Wierchoń, rzecznik RDOŚ.

– Ponieważ sprawa jest skomplikowana i budzi kontrowersje, poprosiliśmy o opinię Wojewódzką Radę



▲ **Rynek w Kazimierzu Dolnym, lato 2024 roku. W głębi widoczny kościół farny św. Jana Chrzciciela i św. Bartłomieja**

FOT. JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL (3)

► **Ruiny zamku w Janowcu. W 1508 roku jego budowę rozpoczął Jan Firlej, później wielki koronny**



Ochrony Zabytków – mówi Dariusz Kopciowski, wojewódzki konserwator.

ESTAKADA NA KILOMETR

– To będzie most jak z miasta – słyszę w drewnianej chacie w Mięćmierzu, gdy patrzę na wiślany krajobraz.

Jako pierwszy projekt kładki pokazali dziennikarze Jawnego Lublina. Ma być szeroka na sześć metrów – oprócz miejsca dla pieszych i rowerów ma być przejezdna dla karet pogotowia i rozpięta na czterysta metrów. Ale Wisła tworzy tutaj szerokie rozlewiska, teren jest zalewowy – do właściwego mostu trzeba więc zbudować z obu stron betonowe estakady, co wydłuży go do ponad kilometra.

Projektanci mieli kłopot z lokalizacją: mieli przygotować trzy propozycje, ostatecznie są dwie. Pierwsza przy obecnej przeprawie promowej. Druga kilkaset metrów dalej na południe, w pobliżu Krowiej Wyspy będącej rezerwatem przyrody. Jeden projekt jest z wysokimi pylonami.

Napisałem do Urzędu Marszałkowskiego w Lublinie. Byłem ciekaw, czy będzie konkurs architektoniczny. Ile będzie kosztowała przeprawa? I kto za nią zapłaci? Paweł Zdybel, rzecznik Zarządu Dróg Wojewódzkich w Lublinie, odpisał, że: konkurs „będzie możliwy do przeprowadzenia na kolejnych etapach realizacji przedsięwzięcia”.

„Wstępny, szacunkowy koszt budowy kładki będzie znany po opracowaniu Koncepcji Programowo-Przestrzennej”, a „szczegółowe dane w tym zakresie znane będą po opracowaniu docelowej dokumentacji technicznej”. „Na obecną chwilę, z uwagi na początkowy

etap przygotowania przedsięwzięcia, nie można wskazać źródeł finansowania”.

CO SŁOWACKI NA TO?

Ważne osobistości w Kazimierzu pytam, co myślą o budowie przeprawy.

– To absolutny absurd. W tutejszym krajobrazie dominować mają rzeka, skarpa i małe miasteczko w dole, a nie nowoczesna konstrukcja – mówi konserwator Jerzy Żurawski, który za Gierka postawił się władzom i nie zgodził się na rondo, trzypiętrową remizę i dom wypoczynkowy dla zakładów azotowych.

– Mieszkańcy Kazimierza i Janowca nie potrzebują mostu, bo Wisła nigdy nas nie dzieliła. Gdyby dzieliła, nie byłoby tylu małżeństw kazimierzan z janowiczankami. Mamy prom, a kładka jest potrzebna kilku biznesmenom z Janowca, którzy chcieliby ściągnąć tam turystów – uważa Bartłomiej Pniewski, prezes Towarzystwa Przyjaciół Miasta Kazimierza Dolnego.

– Współpraca i więzy przyjaźni łączyły Kazimierz z Janowcem przez stulecia wspólnej historii, bez żadnych mostów, bo to Wisła łączyła dwa brzegi i niech ta tradycja nadal będzie częścią kanonu, spuścizny pokoleń, historyczną tradycją, pod szczególną ochroną – dodaje Pniewski.

– Tędy płynął statek z prochami Juliusza Słowackiego od Gdańska do Krakowa i mamy teraz ten piękny krajobraz zaburzyć? – kazimierzanka Julia Siemińska przypomina wydarzenie z 1927 roku, gdy prochy wieszczą sprowadzono do kraju.



9 września 1939 roku po napaści Niemiec na Polskę do Mięcmierza dopłynął też galar ze skarbami wawelskimi. Mieszkańcy Kazimierza i okolicznych wiosek przewieźli je furmankami do Tomaszowic, skąd wywieziono je do Rumunii, a potem do Kanady.

– Będę musiał połamać ośmiometrowy maszt na mojej łodzi, bo nie zmieści się pod mostem – przewiduje Piotr Kielar, reżyser i pasjonat płaskodennych łodzi rzecznych (pychówek) z żaglami, które pływają po Wiśle. Kielar z żoną organizują regaty „Pod prąd”.

A na poważnie Kielar mówi, że lepiej zainwestować w rozwój żeglarstwa, z którego słynęła Wisła i które się odradza. – Most brutalnie ingeruje w przyrodę bramy Małopolskiego Przełomu Wisły, spowoduje zanieczyszczenie sztucznym światłem okolicznych punktów widokowych, przegłębi wodę wokół filarów, powodując niebezpieczeństwo dla żeglugi.

– Tutaj rzeka zawsze była integralną częścią miasta, z jakiegos powodu ludzie się tu osiedlali; właśnie dla urody tego miejsca – dodaje Paulina Kielar, architektka, żona Piotra.

– Połączenie byłoby korzystne dla obu tych miejsc: zmniejszyłoby tłok w Kazimierzu, bo część ludzi, ta nastawiona na ludyczną turystykę, jak chociażby turnieje rycerskie, mogłaby łatwo przemieszczać się do Janowca. Trzeba kierować się mądrym rozwojem, a nie wszystko, co nowe, odrzucać – uważa jednak profesor Ewa Kuryłowicz, architektka, członkini Kazimierskiej Konfraterni Sztuki.

Stawia jednak warunek: – Trzeba rozpisać poważny konkurs architektoniczny na projekt, który będzie uwzględniał charakter miejsca.

I TAK NAJTAŃSZY

Za czternaście złotych kupuję bilet na prom – chcę dostać się do Janowca.

Pusto. Tego ranka płynie ze mną jedno auto.

– Ruch jest tylko w sezonie, czasem i po osiem samochodów zabieram – mówi promowy.

Na wzgórzu widzę janowiecki zamek. Podziwiam rozlewiska Wisły, która niedaleko stąd chowa się za zakolem.

Prom pływa od kwietnia do końca października. Czasem nie kursuje: gdy fala jest zbyt wysoka albo niespokojna, gdy stan wody jest za niski. Ludzie narzekają, że drogi: trzysobowa rodzina z autem wyda w obie strony prawie sto złotych.

– Najtańszy w Polsce – odpowiada Henryk Skoczek, armator promu. Żongluje cenami na innych przepisach. Na przykład na Bugu z Mielnika do Zabuża zapłaciłbym osiemnaście złotych.

BLISKO, A TAK DALEKO

– Janowiec jest trochę pechowy – uważa Magdalena Gryn, dziennikarka ekonomiczna. Tutaj się urodziła, po

studiach w Warszawie tu zbudowała dom. Na Facebooku prowadzi autorskiego bloga o Janowcu.

Wieś, a wygląda jak małe miasteczko. Zadbane uliczki, domy z kamienia wapiennego jak w Kazimierzu, późnorenesansowy kościół.

Ten sam Mikołaj Firlej, który był starostą kazimierskim, na gruntach wsi Serokomla na przeciwnym brzegu Kazimierza zaczął stawiać wielki zamek w stylu późnego renesansu. Miał przyćmić kazimierski, z czasów Kazimierza Wielkiego. Budowę dokończy jego syn Piotr.

Ci sami Szwedzi, którzy spalili Kazimierz, w siedemnastym wieku zniszczyli i janowiecki zamek. W domu Grynów wisi stara rycina: u góry nacierające wojska szwedzkie, u dołu na pierwszym planie Wisła z wysoką skarpą Janowca z zamkiem, na dalszym – Kazimierz.

Latem 1944 roku radzieckie pociski zniszczyły prawie całą zabudowę Janowca (wcześniej Niemcy spalili synagogę). Stoimy na zamkowym wzgórzu. Z bliska widać rozmach rezydencji Firlejów. – Mówiono, że kiedyś przepychem był drugi po Wawelu – mówi Magdalena Gryn.

Ubolewa, że Janowiec pustoszeje. – Niedawno na rynku zamknął się nawet sklep spożywczy.

Ma żal do władz Kazimierza, że nie widzą w sąsiadach na drugim brzegu Wisły partnerów. Uważa, że to Janowiec bardziej się stara o połączenie.

Przypomina lata dziewięćdziesiąte zeszłego stulecia, gdy otwierano przeprawę promową. To gmina w Janowcu zdobyła środki, a potem inwestowała w rozbudowę i utrzymanie promu.

– Zyskałyby oba brzegi – wylicza zalety stałej przeprawy. – Do Janowca dotarłoby więcej turystów, a Kazimierz – dziś bardzo zatłoczony w sezonie letnim i w weekendy – zyskałby nową atrakcję. Kładka stworzyłaby nowe szanse i miejsca pracy dla ludzi w Janowcu, stając się kołem napędowym rozwoju turystycznego miejscowości.

Zaglądam na jej bloga. „Z Kazimierzem Dolnym jest trochę jak z napisem na nagrobku, który dawno temu widziałam: »Tak blisko, ale jednak tak daleko«”.

PANI PISZE Z ZAMKU

Głos zabiera Marzena Brzezicka, dyrektorka Muzeum Zamek w Janowcu. Na to stanowisko mianował ją marszałek Stawiarski, który pół wieku po decyzji Żurawskiego rozdzielił janowiecki zamek od Muzeum Nadwiślańskiego w Kazimierzu.

W październiku Brzezicka pisze długi list. Wysyła go do ponad dwudziestu instytucji i lokalnych polityków.

Wylicza korzyści z kładki: „wyjątkowa szansa rozwoju dla regionu i lokalnego biznesu”, „ułatwi codzienne dojazdy mieszkańców do pracy, placówek edukacyjnych, urzędów”, „umocni pozycję Kazimierza Dolnego i Janowca na mapie atrakcji województwa”, będzie mieć

• **Ruiny XIV-wiecznego zamku w Kazimierzu Dolnym, widok z baszty**

„strategiczne znaczenie” jako „niezależna droga ewakuacyjna” i „może mieć kluczowe znaczenie dla ratowania zdrowia i życia mieszkańców”.

A to już zapowiada nie kładkę, lecz most. Z drogą jezdnią dla pojazdów, z estakadami do mostu. A przecież z Janowca do szpitala w Puławach jest taka sama odległość jak z Kazimierza.

Ale na kolejnych stronach dyrektorka Brzezicka przypomina historyczną świetność Kazimierza i Janowca, które przez stulecia świetnie współpracowały i rozwijały się... bez stałej przeprawy.

RADNY NA TABLEAU

– Kładka ma przyprowadzić turystów do pana knajpy i hotelu? – pytam Łukasza Skowyrę, radnego z Janowca, który prowadzi restaurację z apartamentami. Bo takie opinie słyszałem w Kazimierzu.

– Ma połączyć sąsiadów: kazimierzan z janowicznymi – radny nie daje się zbić z tropu. Z jego rodzinnej restauracji widać ruiny janowieckiego zamku.

Skowyra przypomina, że Janowiec się wyludnia. Spojrzał na szkolne tableau. – Było nas mniej więcej trzydziestu w klasie – mówi. – W Janowcu zostało czterech. Reszta wyjechała do innych miast albo za granicę.

Chciałby, żeby jego dzieci też zostały w Janowcu, a nie musiały wyjeżdżać w świat za pracą.

Skowyra jest również w zarządzie powiatu puławskiego – namawiał powiatowych radnych, żeby poparli kładkę. Uważa, że przeprawa będzie turystyczną atrakcją dla całego powiatu.

DWUNASTU NIEMYCH

W sierpniu głos w sprawie mostu zabiera Towarzystwo Przyjaciół Miasta Kazimierza Dolnego (TPMKD). Szacowna instytucja powstała sto lat temu – założyli ją Tadeusz Pruszkowski i miejscowy proboszcz Stanisław Szepietowski. Ostatnio Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego nadało Towarzystwu srebrny medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

W międzywojniu Towarzystwo doradzało lokalnym rządcom. Po wojnie też próbowało, ale stalinowskie władze uznały, że skoro działa Polskie Towarzystwo Turystyczno Krajoznawcze (PTTK), Towarzystwo Przyjaciół Kazimierza jest niepotrzebne. Ale działali dalej – w konspiracji.

Za Gierka odwiesili ich. – Duża w tym zasługa Marii Kuncewiczowej – mówi prezes Bartłomiej Pniewski. Pisarka mieszkała w Kazimierzu dwukrotnie. Przed wojną – napisała tu „Cudzoziemkę”. Po powrocie z emigracji spędziła tu ostatnie 27 lat życia. Spoczywa na kazimierskim cmentarzu. Jej dom, „Kuncewiczówka”, to część Muzeum Nadwiślańskiego.

„Pomysł lokalizacji kładki między Janowcem a Kazimierzem Dolnym, w udostępnionej opinii publicznej w mediach w formie i lokalizacji inwestycji, uważamy za jednoznacznie szkodliwy, sprzeczny z tradycją i długofalowym interesem turystycznym regionu” – oświadcza teraz TPMKD.

Autorzy oświadczenia „rozumieją motywację”, by ułatwić komunikację między Janowcem a Kazimierzem Dolnym, ale zalecają „rozwagę i szacunek wobec wielowiekowej spuścizny i ponadczasowych wartości zawartych w chronionym prawem krajobrazie”.

Przypominają, że „krajobraz Małopolskiego Przełomu Wisły nie jest niczyją własnością, tylko Dobrem Narodowym”. Że projekt opiera się „najpewniej na partykularnym interesie lokalnego biznesu pod szyldem rozwoju”. Że wydano już pieniądze „bez porozumienia z instytucjami odpowiedzialnymi za ochronę zabytków i krajobrazu”. Domagają się konkursu architektonicznego.

– Wysłaliśmy to do trzynastu instytucji – mówi prezes Pniewski.

Wśród adresów:

- Generalny Konserwator Zabytków,
- Generalny Konserwator Przyrody,
- Lubelski Wojewódzki Konserwator Przyrody,
- Marszałek Województwa Lubelskiego,
- Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska w Lublinie,
- wójt gminy w Janowcu,
- radni gminy w Janowcu i w Kazimierzu Dolnym.

Odezwała się jedynie regionalna dyrektor ochrony środowiska Beata Sielewicz. Uznała, że nie jest organem właściwym do rozpatrzenia tej sprawy, i przekazała pismo Towarzystwa marszałkowi Stawiarskiemu.

Reszta adresatów w ogóle nie zareagowała. Wygląda na to, że kładka, czy raczej most, nie bardzo ich obchodzi. Albo wolą obchodzić z daleka ten niejasny temat. ●

SARMATA WCIĄŻ W

Wciąż lubimy się wadzić, po czym następuje szybka zgoda i cykl zaczyna się od nowa. To jeden z elementów „polskiej duszy”.

Z **PROF. MATEUSZEM WYŻGĄ**
ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

Zostało w nas coś z Sarmatów?

– Jesteśmy trochę z Sarmaty, trochę z chłopca.

Sarmackość widać choćby w naszym pojmowaniu prawa własności, poczuciu honoru, skłonności do obrażania się na byle słówko. Jestem starym samorządowcem – byłem sołtysem rodzinnej wsi Dziekanowice – i na co dzień widziałem to, co znajduję w dawnych aktach. Te same problemy, te same spory... wreszcie – ta sama umiejętność budowania sojuszy dla dobrej sprawy.

Dlatego tak bardzo podoba mi się serial „1670”. Jego autorzy pokazują, że człowiek się bardzo nie zmienił. Choć stan jego wiedzy jest inny, realia polityczne przeważnie też, to bliżej nam do XVII wieku, niżby się wydawało.

Kiedy pojawił się sarmatyzm?

– Już w XV wieku Jan Długosz pisał o tym, że Polacy pochodzą od starożytnych Sarmatów. Za nim poszli inni kronikarze. My w Polsce nie byliśmy jedyni w poszukiwaniu starożytnych początków. Ale my, zamiast wybrać sobie jakiś rzymskich legionistów, postaviliśmy na plemię, które z nimi walczyło. To było dopiero coś! Mieć przodków, którzy przeciwstawili się Rzymianom. Germania się poddała, a Sarmacja nie. Sarmackie pochodzenie Polaków to atrakcyjny mit, który co jakiś czas odżywa.

Sarmatyzm zawsze był gotowym pakietem, kodem kulturowym, który można było zaadaptować i zmodyfikować na własne potrzeby. Chociażby dla podwyższenia samooceny.

Życie w wiekach, które opisuję, było jak wielopoziomowa instrukcja do gry w RPG lub w rozbudowaną planszówkę. Pełne schematów, scenariuszy, choć oczywiście nie wszyscy mieli dostęp do każdego poziomu. Przywiązanie do tych schematów sprawiło, że w Rzeczypospolitej nie było rewolucji na miarę rewolucji francuskiej, a zmiany zachodziły bardzo powoli.

Czy sarmatyzm ewoluował?

– Z czasem na tle pędzącej ku nowoczesności, absolutyzującej się Europy polski sarmatyzm stawał się coraz bardziej oryginalny. Tak samo jak życie w środku kontynentu, między cywilizacją Wschodu i Zachodu.

Przykładowo miasta i wsie rządziły się prawem niemieckim, zwanym magdeburskim, i używano nad Wisłą – w Koronie – stylu pisma łacińskiego. Ale już rozliczne elementy paradnego stroju sarmaty czy jego szablą były importem z tak zwanego Orientu.

Sarmatyzm ewoluował w styl życia szlachty, nazwijmy ją tu dla ułatwienia: kadrą menedżerską w Rzeczypospolitej. Poczucie wyjątkowości i bycia „stać” spływało na plebejów, dla których ich pań-

• **Stanisław Antoni Szczuka (zm. 1710), sekretarz królewski, starosta lubelski, w tradycyjnym stroju sarmackim**

FOT. W ZBIORACH
MUZEUM PAŁACU KRÓLA
JANA III W WILANOWIE



NAS SIEDZI

stwem była zamieszkiwana osada, a wzorcem kulturowym dziedzic. Najbliższe pojęcie państwa dla plebejów rozciągało się równomiernie do ich geografii życia codziennego – czyli zaledwie po horyzont, do kilkunastu kilometrów. To przestrzeń, gdzie się mieszka, pracuje, przynależy. Dalej były już państwka-miejscowości innych feudalów, złożone z innych obywateli „małych ojczyzn”. A to rodziło wciąż nowe spory o rzeczy podstawowe – przede wszystkim o zasoby gospodarcze.

Czego możemy się dowiedzieć o współczesnym społeczeństwie, patrząc na naszych przodków?

– Możemy choćby zrozumieć, skąd bierze się w nas dość specyficzne podejście do różnych aktywności. Cechują nas duma i przywiązanie do lokalności, swojego miejsca na ziemi. Lubimy wielkie słowa, ale też lubimy się wadzić, po czym następuje szybka zgoda i cykl zaczyna się od nowa. Zauważam to jako jeden z elementów „polskiej duszy” i szerzej opisuję w zakończeniu „Polski sarmackiej”. Nie tylko Rejtan rozdierał szaty. Chłop w karczmie też pomstował na daniny, a dzisiaj narzekanie na wysokie podatki jest naszą codziennością. Mamy poczucie, że sami możemy się rządzić. Tak jak panowie ziemscy w Warszawie zjeżdżali na sejm albo w mieście powiatowym na sejmik, tak i chłopci w karczmie potrafili zrobić własny „sejmik” na zebraniu gromadzkim.

W „Polsce sarmackiej”, jak głosi podtytuł, opisujesz historie zwykłych ludzi.

– Postanowiłem niczym Dante zacząć od samych piekieł relacji międzyludzkich, by doświadczyć doli i niedoli siermiężnej codzienności, a potem iść z wolna wraz z czytelnikiem przez meandry życia, przez zjawiska względnie normalne aż do niespodziewanych – mezaliansów międzystanowych, wchodzenia szlachty w poddaństwo czy podejmowanie przez przedstawicieli tej grupy społecznej pracy u chłopów czy mieszczan.

Gdzie jest dno piekła?

– W materiale sądowym.

Większość nowożytnych źródeł archiwalnych powstaje wtedy, gdy jest naprawdę złe. Gdy zaglądamy do archiwum bez tej refleksji, możemy zapomnieć, że życie przeważnie było zwyczajne. W końcu wiele spraw załatwiano na gębę, zwłaszcza że mamy do czynienia ze społeczeństwem świadomym pisma, ale w dużej mierze przynależnym do kultury oralnej, nie przynależąc szlachty. Zapisywano, dopiero gdy coś miało wielką wagę. Żeby zobaczyć zwykłe życie w tamtych czasach, trzeba najpierw przekopać się przez materiał, w którym są na ogół straszne rzeczy. I zobaczyć, czy można w nich znaleźć coś, co pokazuje też ten dobry świat. Z czarno-białego obrazu zrobić choć taki, w którym jest choć odrobina koloru, półcieni.

Ostatnie lata w historii to tak zwany „zwrot ludowy”. Wcześniej mieliśmy „zwrot sarmacki”, który zresztą chyba właśnie wraca, a przynajmniej oba są obecne w tej chwili w powszechnym dyskursie. A gdyby tak popatrzeć na to wszystko jak na jeden, wspólny świat?

Pomyślałem tak pod kopcem Kościuszki w Krakowie, gdy stałem przy

kopii statuetki Światowida. Polskie społeczeństwo to właśnie społeczeństwo jak ów bożek pogański o czterech twarzach – chłopskiej, mieszczańskiej, szlacheckiej i mniejszości etnicznych. Jednak fałszywe jest wyobrażenie, że każda z nich patrzyła w inną stronę, że ich interesy i ambicje nie były wspólne.

Nauczono mnie, że jeśli chcę się czegoś o historii dowiedzieć, muszę spróbować patrzeć oczami moich bohaterów. I próbować te cztery twarze skierować do środka, naprzeciw siebie. Stany społeczne były uwikłane w nieskończenie wiele sieci powiązań. Przypadło mi w udziale rozplątać ten węzeł gordyjski.

Zobaczyłeś coś, co nas dzisiaj może zaskoczyć?

– Dostrzegłem logikę, pragmatyzm i sprawczość, której tak często odmawiamy zwłaszcza warstwowi nieuprzywilejowanemu. Oczywiście mamy do czynienia ze społeczeństwem stanowym, klasowym. To się dzieje nie tylko ze względu na nierówny rozdział majątków – dzisiaj też nie jest równy – ale też choćby dostępność środków transportu. Nie ma kolei, która zawiezie twoje zboże na drugi koniec Polski, a rzeka Wisła obsłuży spław ziarna z folwarków znajdujących się do kilkudziesięciu kilometrów od jej brzegu, bo z dalszych stron już się nie oplaca dowozić. Ty sam możesz co najwyżej dojechać na targ do miasta, a wielkie, zagraniczne podróże edukacyjne czy zdrowotne są dostępne nielicznym.

Innymi słowy, trzeba było znać swoje miejsce. Jednocześnie to wcale nie sprawia, że ludzie nie mieli potrzeby awansu, zmiany swojego życia, że nie działali w celu poprawy swojego losu. Nie możemy im odmawiać prawa do marzeń i do próby wcielenia ich w życie. Tego poczucia sprawczości szukam w historii.

Gdybym urodził się jako mój jedenaście razy „pra” przodek Mikołaj Wyżga z początku XVII wieku, pewnie nie wierzyłbym w to, że zostanę królem, ale z pewnością miałbym kilka rzeczy, które chciałbym na tym świecie zrobić poza tymi podstawowymi – przetrwaniem i rozmnożeniem się. Miał swoje niemałe gospodarstwo, zatrudniał własnych zagrodników, posiadał liczne konie i bydło. W swojej małej ojczyźnie pod Krakowem coś znaczył. Stać go zapewne było na kolorowy żupan jak niektórych jego pobratymców, o których wiemy, że się takimi pysznili. Mieli pieniądze dzięki własnej przedsiębiorczości i pracowitości.

Żeby wyobrazić sobie sarmacką rzeczywistość, warto wrócić do metafory gry. Wchodzisz na planszę i wiesz, jakie są jej zasady. Dostajesz pionek z napisem „chłop”, zatem twoim zadaniem jest produkować żywność. Mieszczanie mają handlować i pracować w rzemiośle. Szlachta ma wszystkich bronić, zarządzać, administrować. Niby ma najwięcej przywilejów i możliwości, ale nie jest w stanie samodzielnie tym światem kierować.

Kompetencje zaczynają być rozdzielane – z sejmu na sejmiki, czyli samorząd szlachecki. Potem na administrację wsi – dziedziców. Dziedzic też wie, że sam nie może wszystkiego ogarniać, a zwłaszcza nie może wchodzić w konflikty z chłopami, bo mu w gniewie spalą dworek albo przynajmniej

obją na kwaśne jabłko. I tak oto rośnie znaczenie gromad chłopskich. W efekcie, gdy u naszych sąsiadów zaczęły powstawać monarchie absolutystyczne, my byliśmy rozprzedzeni siłą tej złotej wolności i spójnością oddolną, szlachecko-plebejską.

I się nagle skończyło.

– Tak, ale trzeba pamiętać, że czterysta lat Rzeczypospolitej w takiej postaci, o jakiej mówię, jednak odcisnęło piętno na Polakach.

Kto w tym świecie miał najgorzej?

– Robotnicy dniówkowi, najemni, bo tulają się po kraju w poszukiwaniu pracy. I – co może zaskakiwać – dzierżawcy dóbr ziemskich. Na ogół to ludzie z tytułami szlacheckimi, ale de facto ledwo coś posiadający. Pracują jako dzierżawcy na kilkuletnich umowach. Próbuja coś zarobić na dzierżawie, ale nie jest to łatwe – trzeba godzić warunki postawione w umowie przez właściciela wsi z potrzebami chłopskiej gromady i jeszcze coś na tym zarobić. A lokalne społeczności są zintegrowane i przygotowane do ewentualnego konfliktu i chcą wychować sobie zarządcę po swojemu. A za ich plecami stoi dziedzic i nadstawia ucha, jak są traktowani.

Nie zawsze widać to w zapisach, bo przecież są one dokonywane przeważnie przez tych, co władzę posiadają. W efekcie przecież administratorzy nie będą pisać o tym, jak się boją chłopów, czy jak z nimi paktują, by mieć święty spokój.

Kto opisał tamten świat?

– Głównie mężczyźni, i to ci, co umieli pisać. Pamiętamy jednak, że większość szlachty nie umiała albo ledwie się podpisała. Na ogół byli rolnikami, tyle że z szablą u pasa. Inni hodowali bydło, wozili do miasta nabiał na sprzedaż, ciulali grosz i jakoś próbowali przebiedować „do pierwszego”, a z przegniętego poszycia biedadworu deszcz skapywał im na nosy. Takich było wielu, ale jest ich najtrudniej opisać. Bo to jest ta bieda, co nie krzyczy.

Efekt jest taki, że ludzie żyli w świecie wyobrażonym, opowiedzianym. Ich świat jest mówiony, jakby rapowany. Dlatego, jakbym zaufał pismu w sposób dosłowny, dał wiarę normatywowi czy poradnikom z epoki, tobym nie opisał świata, który się wydarzył, tylko jego bardzo zafalszowaną wersję. Nie można się dać oszukać źródłom. Jeszcze dziesięć lat temu nie byłbym tak pewny swego, ale dzisiaj jestem już sprytniejszy.

Wiesz, co jest problemem historyka? Skrolowanie.

Siedzisz przed mikrofilmami i przewijasz. I możesz nie dostrzec, że w prostej historii sądowej znajduje się niezwykła opowieść o ludziach i ich czasach. Tymczasem należy zwolnić przeglądanie kolejnych stron i z czułością pochylić się nad zwykłym człowiekiem. Tak właśnie trafiłem na Annę Molską. Skrolowałem i nagle poczułem, że muszę pozwolić jej mówić, pozwolić jej znów żyć, bo chce mi powiedzieć coś ważnego.

Dlaczego?

– Bo Anna Molska wie, kim jest. I tego broni.

To żyjąca w pierwszej połowie XVIII wieku mieszcza z Kutna pochodząca

z niezbyt zamożnej rodziny. Gdy jest dziewczynką, tuła się po kraju ze swoim ojcem, krawcem. Wreszcie, gdy ojcu starość „nie pozwalała kunsztowi alias robocie krawieckiej uczynić zadość”, mężczyzna najmuje się do pracy przy kościele w Lutocinie. Gdy umiera, Molska – jak sama mówi – „ponieważ miałam rozum doskonały, udałam się na służbę”. Molska czterokrotnie wychodzi za mąż, rodzi dzieci, które są owocem jej związków ze szlachcicami. Wie to, o czym dzisiaj zapominamy, że granica między stanami społecznymi jest przepuszczalna czy mówiąc obrazowo – galaretowata. To nie jest wyłącznie szklany sufit. Zrozumiemy to, kiedy uświadomimy sobie, że chyba w żadnym innym państwie europejskim nie było tyle szlachty co w Polsce i jak blisko była ona ludu, jego codzienności i pracy.

Molska osiąga swój cel, wychodząc za mąż za szlachciców. Gdy zmarł ostatni, jej córka również poszła na służbę do dworu. I tam próbowano ją wkręcić w to, że jest poddaną. Na to ingeruje mama – idzie do sądu, opowiada swój życiorys i udowadnia, że nie jest niczyją poddaną, ale mieszczańką, była żoną szlachciców. „Poddaństwa zaś żadnego wyrzekam, bom tylko jednemu Bogu poddana”, mówi.

Historia Anny Molskiej pokazuje, jak wyglądało polskie społeczeństwo. Nie jest to odosobniony przypadek, a w książce podaje wiele z całej Polski. Gdyby tutaj, nad Wisłą, doszło do takiego przewrotu jak rewolucja francuska, to trudno byłoby zdecydować, kogo ściąć. Relacje międzystanowe były częste, a warstwy pozornie uprzywilejowane często zależały od tych, które uważamy za słabsze, biedniejsze.

Nasze myślenie o dawnej Rzeczypospolitej spacył XIX wiek, gdy polska państwowość została przerwana i doszło do zmiany struktury społecznej i administracyjnej, ustalenia bardzo wyraźnych w niej podziałów. Śladem tego jest rabacja galicyjska. Wcześniej na ziemiach etnicznie polskich tak brutalnych i masowych torsji nie znajdujemy.

Plusy i minusy sarmackości?

– Plusem na pewno jest silna potrzeba wolności i solidarności ze „swoimi”. Atrakcyjność dla Polaków „wolnościowych” partii politycznych nie wzięła się znikąd. Chłopi często walczyli o własną wolność ekonomiczną. System pańszczyźniany to przecież nie tylko system związany z pracą pojmowaną jako bezpłatna, niewolna, opresyjna, ale system, w którym pewną część aktywności zawodowej plebej wykonuje na rzecz pana, ale dla własnych korzyści. I wciąż pozostaje miejsce na pracę „dla siebie”.

Pan musi dbać o swoich chłopów, choć nie zawsze tak się dzieje. Niestety, pozostały przede wszystkim ślady, kiedy dzieje się złe. Tymczasem w normalnych relacjach międzystanowych poddani zyskują ochronę – często to dzierżawca czy dziedzic występuje w sądzie w obronie swoich pracowników względem prześladowujących ich ludzi z sąsiedztwa albo złych nadzorców. W końcu w państwie o rzadkim zaludnieniu i typowo europejskiej, wysokiej mobilności nie tak łatwo o wiarygodnego pracownika. Jest mnóstwo dokumentów



FOT. JAKUB PORZYCKI /
AGENCJA WYBORCZA.PL

Mateusz Wyżga

• profesor historii na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie, badacz chłopstwa, samorządowiec, był m.in. sołtysem Dziekanowic, miejscowości, w której się urodził. Autor m.in. książki „Chłopstwo. Historia bez krąwata” (2022).

◀ pokazujących, że szlachta walczy o chłopów, zapewnia im wsparcie socjalne.

Czy jednak to nie sarmatyzm doprowadził Rzeczpospolitą Obojga Narodów do upadku?

– Posiadanie nad kimś formalnej przewagi związanej z urodzeniem i pozycją społeczną generuje przemoc. Ówczesni rozumieci sprawiedliwi, nawet „sprawiedliwi” bicie, ale zbyt często przyjęte normy relacji międzyludzkich i między- stanowych były naginane. Zresztą w obu kierunkach, pan bije chłopą, ale chłop bije pana. Takie tango.

Patrząc na sarmackość szerzej, jako na zjawisko społeczne i kulturowe, to z czasem poczucie wyjątkowości zmieniło się w prowincjonalizm o cechach ksenofobicznych. Rzeczpospolita Obojga Narodów widziana z lotu ptaka ujawniała coraz większe cechy anarchii, mimo że oddolnie jej mikropanstwa – kompleksy dóbr ziemskich, wsie czy miasteczka – były stabilne i spójne. Może taki model funkcjonowania daleko posuniętej, zaniżonej do poziomu mikrofederacyjności nie był najlepszy na tamte czasy, ale do dziś widzimy trwającą siłę tych naszych lokalizmów, chociażby przez folklor czy samorząd terytorialny. Bo im wyżej od poziomu lokalnego, gdzie ludzie muszą grać do jednej bramki, to owo kłótlive nasze sejmikowanie i wojenka polsko-polska jest coraz bardziej widoczna – a jej napędem hardość, zaciętość i umiłowanie luksusu własnego zdania.

Utrudniało to integrację na poziomie ogólnopaństwowym. A do tego przykre rozrzynanie kraju pomiędzy magnackie które z inspiracjami pozapaństwowymi. No i po czterech stuleciach imperium Rzeczypospolitej w ciągu dwóch dekad zostało unicestwione. Jego mechanizmy oddolne i zarazem sarmacki kult państwowości z pewnością dawały przez kolejne 123 lata niewoli siłę zrywom i państwowość odżyła, już w zmienionych realiach narodowościowych i przestrzennych.

Mówisz o przepływanii między stanami. Szlachta pracowała na polu?

– Tak. Tu znówu problemem jest sienkiewiczowska wizja przeszłości. Jest w niej miejsce głównie dla magnaterii, bardzo bogatej, ale również nielicznej warstwy społecznej. Jest też szlachta ziemiańska. Bycie szlachcicem nie gwarantowało automatycznie dochodów. Zastanawiając się nad tym, kogo traktować w badaniach jako zwykłych ludzi z dawnej Polski, uwzględniłem nie tylko chłopstwo, mieszczaństwo, ale też większość kleru oraz szlachty. Oni wszyscy doskonale wiedzieli, co to jest praca, oszczędzanie, kredyty, chwilówki. Pracowali ciężko, nie mieli czasu, możliwości czy pieniędzy ani na dyktowanie komuś wspomnień, ani na artystyczne odloty. Opowieści o swym życiu dyktowali najczęściej w testamentie albo podczas przesłuchania w sądzie. I dzięki archiwom one w sporej liczbie ocalały.

Jan Mirbach, dzierżawca kilku wsi koło Krakowa, z trudem wiązał koniec z końcem. Dzięki dokumentom wiemy, jak wyglądały ostatnie dni jego życia. Najpierw przyjechał ze swojej wsi Klaja do Gierczyc, by wydać polecenia cieślom. Następnie pojechał do Siedlca, gdzie zjadł obiad, i wrócił do Gierczyc. Następnego dnia „chodził, dyspozycje, pomiary czynił”, przyjął oficerów „kupujących siano”. W południe pan Mirbach zaczął „utyskiwać” na żołądek i serce. Po chwili umarł, a przysyłany wikary „już trupa dobrze wystygłego zastał”. Miejscowy pleban zapisał: „Przyjechał do mojej parafii po śmierć”.

Facet zapewne padł na zawał, bo ciągle harował. Taki model pracy, niestety, z na-

mi pozostał. To nie tylko takie uproszczenie o dwóch etatach: jako szlachcic dzierżaw po kilka wsi oprócz posiadania swej własnej, jako chłop pół tygodnia działaj na polach folwarcznych, a w pozostałe dni u siebie. Bo wielu ludzi nie miało dostępu do ziemi i herbowy czy nie herbowy, by zarobić na życie, miał się pracy na służbie w gospodarstwie plebeja.

Kultura zapierdolu jako relikw sarmackości. Brzmi intrygująco.

– I brak zaufania do pracowników. Inni mogą to nazwać jednak zaradnością i pracowitością. Może też z tego wszystkiego tak łatwo wchłonęliśmy owo pobożne życzenie: szlachta nie pracuje...

Pracowitością, ale już nie innowacyjnością. Kultura sarmacka sprawiła, że gdy Zachód inwestował w podboje i nowe pomysły, my wciąż myśleliśmy, że na zbożu zbudujemy potęgę.

– Wynika to w dużej mierze z przywiązania do wspomnianych lokalizmów. I bardzo plebejskiej kultury. W końcu wielu szlachciców pochodzi z chłopów, z mieszczan.

Liroy rapował, że „Gorzej będzie, jeśli przyjedziesz tu (...) więc ratuj się/ Bo bardzo źli ludzie dopadną cię/ Tak to bywa, jak nie jesteś u siebie”. Mogłaby to być bojowa piosenka sarmackich lokalsów zbudowana na konieczności obrony własnych, limitowanych zasobów przed obcymi i zza między, i z szerokiego świata. Jeżeli – co się często zdarzało – chłop z dziedzicem grali do jednej bramki, dzierżawca wsi miał naprawdę przechłapanie. Nie mówiąc już o przybyszach z zewnątrz: najemnych robotnikach sezonowych, handlarzach, rzemieślnikach, sąsiadach z innych dóbr ziemskich, kawalerach szukających tu przyszłej żony. De facto był to kraj złożony z tysięcy małych państw.

Kiedy popatrzymy od dołu drabiny społecznej na dawną Polskę, zobaczymy silne lokalne mechanizmy bazujące na sieci krewniaczej i sąsiedzkiej, lojalnej i solidarnej. Wspólnota wie, że zawsze może pojawić się ktoś gorszy od dziedzica Andrzeja zza płota. Mianowicie głód, wagabundy albo wrogi wojsko. Jak nie będziemy grać razem, nie przetrwamy. Tu nie ma miejsca na anarchię.

Opisałem przypadek wsi, która z powodu głodu i tragicznych czasów wojny potopu atakuje sąsiednią wieś. Gromada morduje siedemnaście osób, dzieci zabijane uderzeniami o drzewa... Straszne rzeczy. Postawiłem sobie jednak pytanie: po jakim czasie ludzie z jednej wsi zaczęli znów nawiązywać stosunki towarzyskie z tymi z drugiej?

Sprawdziłem księgi metrykalne, by zobaczyć, kiedy zaczęła się zapraszać do świądkowania na ślubie czy bycie chrześniem. Wyszło mi pięć lat. Niedługo. Są mniejsze i większe wybuchy, ale potem wygrywa logika, że jednak lepiej budować mosty, niż wiecznie je palić.

Zwłaszcza że życie jest krótkie. To świat, którym jednak rządzi świadomość głodu, wojny, śmierci.

– W małym kościółku w Brzozu Lubawskim niedaleko Torunia w lipcu pewnego roku pochowano pod podłogą Agnieszkę, wdowę i soltysek z Nielbarku. Po niej nieznaną nam bliżej Zofię Kopytkę ze Smolnik. Następnie kilku chłopów, których nazwisk nie znamy. Później: szlachcica Andrzeja Racimijewskiego, Elżbietę, żonę kmiecia. Prawdziwa mozaika stanowa w elitarnym miejscu pochówków. Ale już Zofia, córka innego szlachcica, spoczęła pod podłogą kościelnej dzwonnicy, jej ojciec zaś dwa miesiące później w kościele. W kościele pochowano też syna młynarza, jego córkę i córeczkę organisty. Co ciekawe, szlachcianka Dorota Chaner-

ska ze Świecia została pogrzebana na cmentarzu przykościelnym jak – zdaloby się – zwykła plebejka. Większość z tych pochówków odbywała się pod podłogą kościoła, do którego ludzie przychodzili przynajmniej raz w tygodniu. Widzimy, jak wielu szlachciców zwyczajnie nie miało pieniędzy na to, by spoczęły tam ich zwłoki. Analiza miejsc pochówku zdradza nierówności finansowe wśród mieszkańców dawnej Polski istniejące bez względu na pochodzenie stanowe.

Bywało, że chłop zarabiał nieźle pieniądze. Są przypadki, gdy biedny szlachcic prosił o pracę zamożnego chłopą, a potem jako człowiek niemający już sił fizycznych szedł do przytulku parafialnego i tam umierał.

Ta wszechobecność śmierci chyba bardzo odróżnia przeszłość od naszej teraźniejszości. Dziś staramy się wymazywać śmierć z przestrzeni publicznej.

– W tamtych czasach kobiety rodziły przeciętnie sześcioro dzieci. Idąc do kościoła w kolejnej ciąży, miały mogiłki swoich wcześniej zmarłych dzieci. Śmierć była wszędzie. Dzieci zmarłe przed chrztem chowano na przykład u progu domu albo w polach, pod krzyżami. Może bajki o krasnoludkach nie były wcale bajkami o jakichś fantastycznych stworkach, ale opowieściami o tych właśnie maluchach?

To był świat patriarchalny, ale patriarchat miał wtedy na celu też ochronę kobiety. Nie tylko jej uprzedmiotowienie. Kobiety w ciąży były chronione przed najcięższymi pracami, a dokumenty świadczą o tym, że na przykład przy ciężarnej nie można było strzelać nawet na postrach, nie można było jej bić. Zebrałem kilka przypadków, gdy ktoś strzelił do ptaka czy w nerwach, bo się pokłócił i doszło do poronienia. Wtedy facet miał problem.

Gdy tak sobie siedzimy i rozmawiamy, warto pomyśleć o tym, ile ludzkiego wysiłku, zwłaszcza kobiet, wymagało, żebyśmy się spotkali. Ile osób z przeszłości ryzykowało swoje życie, byśmy byli.

Gdzie w tym wszystkim król?

– Daleko. Jak już wspomniałem, rolę mini-króla w jakiejś mierze odgrywa miejscowy dziedzic, może troszkę gromadzki wójt, a w mieście burmistrz. W tym państwie pozycja króla jest efemeryczna. Wiadomo, że gdzieś jest, ale ma niewielki wpływ na codzienność. Szlachta uważa, że król jest to osoba w jakiejś mierze równa im. Dziś też mamy – czasem słusznie, czasem nie – poczucie, że nie musimy się liczyć z naszymi władzami czy przełożonymi.

Był jednak pewien wyjątek. Niemala część polskich osad, wsi i miast była własnością króla. Czyli – powiedzmy dzisiejszym językiem – państwową. Mówiono „wieś królewska”, ale powiedzmy wprost, to jest po prostu wieś państwowa, bo król zarządza państwem. Czyli dzisiaj pracując na państwowym uniwersytecie, mógłbym o sobie powiedzieć: jestem królewskim poddanym.

Chłopi z takich wsi byli przeważnie bogatsi, ale płacili za to wysoką cenę. Mieszkańcy takich wsi i miast najpierw muszą negocjować warunki życia ze starostą, czyli dzierżycielem królewskiej. Droga odwoławcza do sądu królewskiego zwanego referendarskim w Warszawie jest daleka oraz kręta.

We wsi szlacheckiej, gdy dzierżawca czy administrator bił chłopą, ten mógł pójść na skargę do dziedzica, który był znacznie bliżej.

Za chwilę Boże Narodzenie. O czym świadczy nasz stół wigilijny w perspektywie historyka?

– O tym, że światem rządzi pragmatyzm. Szlachta miała pieniądze na droższe produkty, a chłop chciał mieć pieniądze. Zatem wołał sprzedawać, niż samemu

konsumować. W moim gospodarstwie też najładniejsze gruszki szły na sprzedaż, a myśmy jedli te najgorsze, z których nie było już takiego pożytku.

Ale nie myślmY ciągle o szlachcie jako o tych bogaczach, co opychają się frykasami. Gdy przeciekał dach i we dworze były tylko dwie izby, w których dało się wytrzymać, nikt nie myślał o zbytkach. Czasem takie dworki były biedniejsze niż zagroda kmiecia.

Nasze scalenie kulturowe po przodkach szlacheckich, mieszczańskich i chłopskich doskonale widać na przykładzie stołu wigilijnego. Dziś znajdują się na nim potrawy pochodzące z różnych tradycji kulinarnych, z przewagą tej ludowej. Można powiedzieć, że stół wigilijny jest doskonałą ilustracją tego, że jesteśmy kulturowym golemem Frankensteina czy przywołanego wielotwarzowego Światowida – składamy się z wielu tradycji i kulturowo jesteśmy potomkami Polski sarmackiej, w której różne stany budowały swoją przyszłość. W której jedni byli Sarmatami przez duże, inni przez mniejsze „s”.

Może warto tak pomyśleć o dzisiejszej Polsce – że niezależnie od naszych preferencji politycznych wszyscy gdzieś tam finalnie chcemy budowy lepszego kraju. I może on być złożony z różnych propozycji i tradycji.

– Mam lata doświadczenia pracy w samorządzie lokalnym. Tam, niezależnie od podziałów politycznych, liczy się tworzenie relacji. Wiedzieliśmy, że jak się nie dogadamy, to nie będzie pieniędzy na remont drogi. I dzisiaj dzieci z mojej wsi nie chodzą po podmokłej łące do szkoły, bo wiedzieliśmy, że jest coś ponad to, co nas różni. Umiemy się dogadać. I choć o Polsce sarmackiej mówi się jako o czasie, gdy właśnie wszyscy ze sobą się kłócili i spierali, to jednak trzeba wciąż pamiętać, że to kwestia dostępności źródeł oraz ich odpowiedniej obróbki. Gdy jest spór – szło się o sądu, powstawał zapis. Kto i gdzie miał pisać o zgodzie?

W naszej rozmowie i twojej książce niemal nie ma dat. Piszesz antypodrecznik historii Polski?

– Tak mi się wydaje. Daty czasem oddalają nas od prawdziwych, zwykłych ludzi, którzy są jak my, tylko w innych okolicznościach. Zamiast prowadzić narrację uwiklaną w przemiany chronologiczne, wybrałem inną strategię – taki jakby historyczny beczas, by wychwycić wszystko to, co uparcie nie przemija i czego efekty niczym daleki efekt machnięcia skrzydłami motyla z przeszłości widać do dziś. To przecież – w kontekście, chociażby biologicznym – my, a także nasze nazwiska, kultura lokalna i narodowa, język, zwyczaje, nazwy miejscowości.

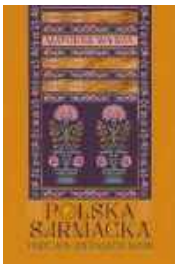
Gdy wczytamy się wnikliwiej w dokumenty z epoki, dostrzeżemy świat złożony z półcieni. Troszkę w życiu malowałem, więc wiem, że – jak mówi rycerz Bogdan w wiadomym serialu – światło buduje bryłę. Zwłaszcza że są urealniana ją półcienie.

W opowieści o społecznej historii Polski wystarczy zamienić czasem lunetę w mikroskop, przejść od opisów procesów do jednostkowych przykładów widzianych mikrohistorycznie, głęboko. I zamiast wyłącznie oceniać przeszłość własną miarą, miarą swoich czasów, kształtować w sobie empatię oraz próbę zrozumienia dawnych ludzi znad Wisły. I wtedy zobaczymy zupełnie nowy świat. Zaskakująco normalny. ●

Polska sarmacka. Historia zwykłych ludzi

Mateusz Wyżga

Znak 2025



Historia krzepi

Brudna gra Rosji

Lepiej eskalowaniem wojny polsko-polskiej nie ułatwiać Moskwie intryg.

Nałęcz



Są w historii rzeczy niezmiennie od wieków. Jedną z nich jest gra polskimi sporami przez imperialną politykę rosyjską. Moskwa robi to już trzysta lat, z dużą wprawą i sporymi sukcesami. Szczuje Polaków na siebie, zwłaszcza wtedy, kiedy nie ma przewagi militarnej i dyplomatycznej. Świetnym tego przykładem są wydarzenia sprzed 30 lat, kiedy to Rosjanie, po przegranej zimnej wojnie, krachu komunizmu i rozpadzie sowieckiego imperium, nie mając innych atutów, intrygą próbowali zablokować przyjęcie Polski do NATO, podważając jej sojuszniczą wiarygodność.

Okazji dostarczyła konfrontacyjna koabitacja prezydenta Lecha Wałęsy z rządem SLD-PSL, dodatkowo zastrzona przez kampanię prezydencką, a zwłaszcza fakt, że lider SLD Aleksander Kwaśniewski górował w sondażach nad Wałęsą. Obowiązywała wtedy inna konstytucja, która ministra spraw wewnętrznych bardziej uzależniała od prezydenta niż premiera. Z Wałęsą związane też były służby specjalne i to im Rosjanie podsunęli materiały świadczące, że premier Józef Oleksy pracuje dla Moskwy od czasów PRL-u, którego był dygnitarzem. Oleksy sam zgutował sobie ten los, fraternizując się z oficerami sowieckiego wywiadu. Także po 1989 ro-



• Sejm, 21 grudnia 1995 roku, przemawia Andrzej Milczanowski, powyżej Józef Oleksy

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

ku biesiadował z Rosjanami jak za dawnych czasów.

Na obciążające go tropy moskiewskie służby naprowadziły oficerów PRL-owskiego wywiadu, nadal pracujących w resorcie. Pierwsze skrzypce grał „PRL-owski James Bond”, Marian Zacharski, który w czasach zimnej wojny wykradał Amerykanom najtajniejsze sekrety. W normalnych warunkach taki as

wywiadu nie nabrałby się na rosyjskie plewy. Wiedział jednak, że otoczenie Wałęsy szuka kija na lewicę, więc postanowił go dostarczyć.

Zaufał mu minister Andrzej Milczanowski, działacz Solidarności sprawdzony w trudnych czasach stanu wojennego, patriota chcący służyć państwu, któremu afery z udziałem Oleksego, jeśli byłaby prawdziwa, bardzo mogła zaszkodzić. Wszczęto intensywne śledztwo, w którym Rosjanie podrzucali kolejne materiały dotyczące agenta o kryptonimie „Olin”, obciążające premiera. Otoczenie Wałęsy chciało użyć tej karty w ostatniej fazie kampanii wyborczej, ale szef MSW to zablokował, kierując się dobrem śledztwa. Na elekcji prezydenta sprawa więc nie zaważyła.

Polityczne działania Milczanowski podjął, dopiero kiedy zwycięstwo kandydata SLD nie ulegało wątpliwości, co oznaczało, że on odejdzie z MSW i utraci kontrolę nad śledztwem. 12 grudnia 1995 roku spotkał się z Kwaśniewskim i wręczył mu obszerną notatkę z zarzutami stawianymi Oleksemu, żądając jego dymisji. W zamian obiecywał nieupublicznianie sprawy. Zaskoczony prezydent-elekt nie podjął żadnych zobowiązań.

Bojąc się, że afery zostanie zamieciona pod dywan, Milczanowski 19 grudnia 1995 wystąpił do prokuratury o wszczęcie śledztwa przeciwko Oleksemu. Uczynił to poufnie, informując o swoim kroku jedynie Radę Ministrów. Bombę zdetonował 21 grudnia 1995, przedstawiając całą historię na posiedzeniu sejmu. Wzburzony Oleksy uznał to za „brudną prowokację”, przyznając się jednak do wieloletnich przyjacielskich kontaktów z Władimirem Alganowem, formalnie dyplomatą, a faktycznie rosyjskim szpiegiem. Lewica zamarła, bo Wałęsa, mając taki atut

w rękę, mógł nie przekazać władzy i zablokować zaprzysiężenie następcy. Zwyciężyło jednak poczucie odpowiedzialności za kraj i 23 grudnia 1995 Kwaśniewski rozpoczął urzędowanie.

Za najpilniejsze zadanie uznał rozładowanie kryzysu wywołanego aferą „Olin”. Świetnie wiedział, jak bardzo szkodzi ona polskiemu interesom, w tym szansie na członkostwo w NATO. Skompromitowany zażyłością z rosyjskim szpiegiem Oleksy został zmuszony do złożenia dymisji i zastąpiony przez dobrze ocenianego w kraju i za granicą Włodzimierza Cimoszewicza. Ważnym sygnałem było też powołanie na ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego szanowanego w świecie prawniczym profesora Leszka Kubickiego, dającego gwarancję uczciwego śledztwa w sprawie „Olin”.

Kwaśniewski i Cimoszewicz zadbałi również, by specjalna misja kierowana przez zaufanego człowieka prezydenta Clintona, Richarda Holbrooka, która przybyła do Warszawy, uzyskała pełen wgląd w dokumentację śledztwa. Po zbądaniu sprawy Holbrooke orzekł, że „cała afery to jest bullshit”. Droga do NATO nie została zablokowana. Rosyjska intryga spaliła na panewce.

Nie zawsze możemy mieć tyle szczęścia, zwłaszcza w czasach, kiedy prezydent USA bardziej ceni relacje z Moskwą niż Warszawą. Lepiej więc nie wywoływać wilka z lasu i eskalowaniem wojny polsko-polskiej nie ułatwiać Rosjanom kolejnych intryg. ●

Tomasz Nałęcz – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34400479

W PIĄTEK, 2 STYCZNIA W „WYBORCZEJ”

Co się zmieni w 2026

- Co się zmieni w podatkach
- Jakie zmiany czekają przedsiębiorców
- Co to znaczy, że pensje mają być jawne?
- Kto zyska, a kto straci na zmianach w prawie

DODATEK
SPECJALNY



weekendówka
184

W GÓRĘ!

W XVII-wiecznym testamencie gazdy Jędrzeja Gadowskiego, soltysa Starego Bystrego, syna Jakóba, którego soltysostwo z kolei potwierdzał w połowie stulecia sam król Jan Kazimierz (Rocznik Podhalański; Zakopane – Kraków 1914–1921, o czym pisał portal portretywni.pl) figuruje jeszcze pod dość egzotyczną nazwą Antgua. Nie chodzi bynajmniej o jakąś karaibską wyspę, a o grzbiet górski, nieopodal Zakopanego, na którym leżała – i leży, i niech leży w zdrowiu! – Gubałówka.

Ów Jędrzej w testamencie zapisywał grunty członkom rodziny, a Antgua – być może taka nazwa obowiązywała wśród juhasów wypasających owce? – obdarzył małżonkę Franciszkę. Ale Antgua gdzieś tam w mrokach historii się zapodziała, a dla nas i nam współczesnych góra licząca 1120–1129 m n.p.m. funkcjonuje jako Gubałówka, czyli ziemia należąca do rodziny Gubałów. Ci użytkowali polanę na sławnym wzniesieniu, nazywaną Gubałówka właśnie, i z czasem określenie przeszło na całą górę. Uffff.

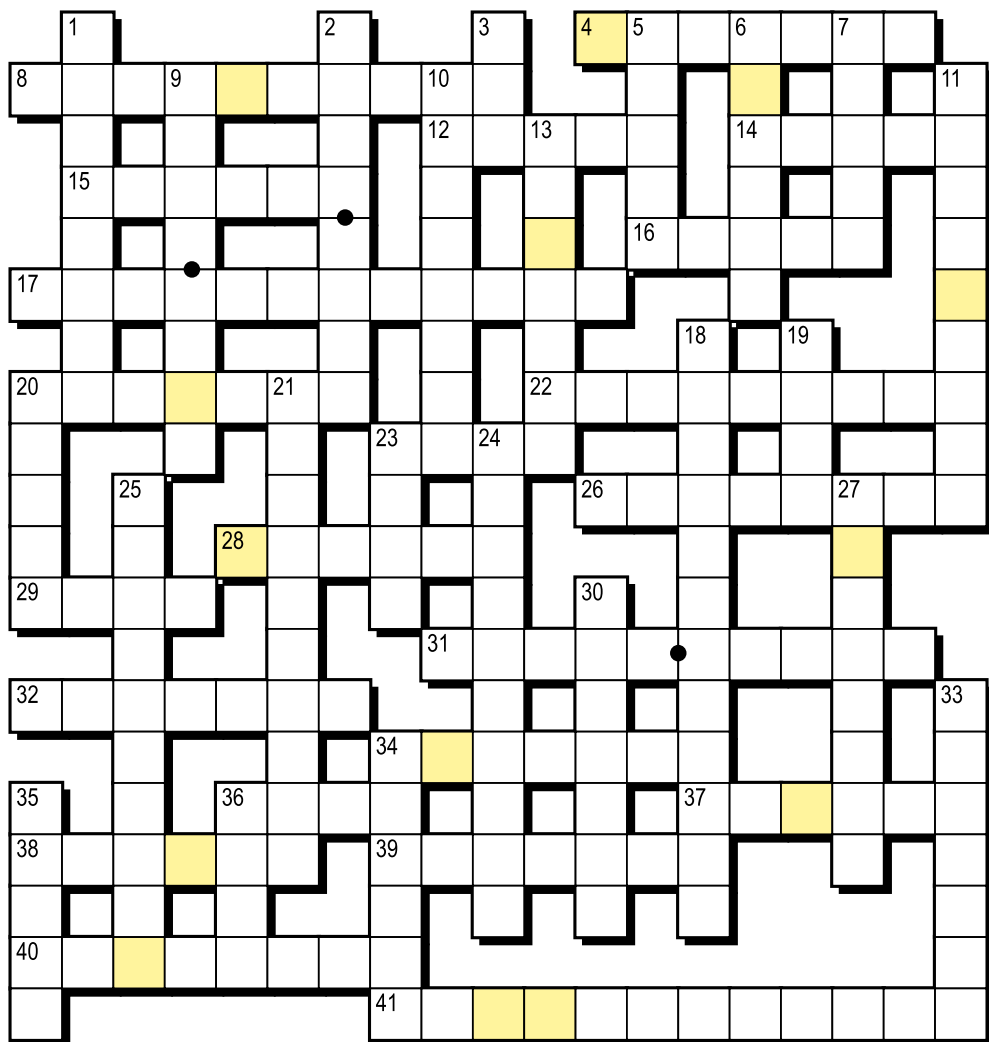
Zimową stolicą Polski i znanym uzdrowiskiem Zakopane stało się jeszcze na przełomie XIX i XX wieku, a w 20-lecie międzywojennym było już kurortem co się zowie. Dlatego zapadła decyzja, wsparta obserwacjami z Austrii i Szwajcarii, że musi mieć swoją kolejkę linową. Rozważano kilka opcji, z których ostatecznie wypadły dwie – kolejka linowa na Kasprowy Wierch, oddana do użytku w 1936 roku, oraz kolejka linowo-terenowa na Gubałówkę, której pierwsze wagony zawiozły na górę turystów 20 grudnia 1938 roku.

Investorem głównym obu projektów były Polskie Koleje Państwowe. Budowa kolejki na Gubałówkę rozpoczęła się w lecie 1938 roku więc oddanie jej do użytku zajęło niespełna pół roku. W sprawnej realizacji pomogła trafnie obrana lokalizacja – z bocznej od strony Zakopanego umożliwiała budowę niemal w linii prostej, zapewniała też stabilne podłoże dla torów no i kończyło się efektownym punktem widokowym na Tatry.

Podróż trwała ok. 5 minut, do wagoników, nieco bardziej stylowych i luksusowych niż dziś wchodziło ok. 40 osób, które miały zapewnione, dzięki mnogości miejsc siedzących, ładne widoki (dziś ok. 60 pasażerów). Niestety, choć kolejka nie została zniszczona podczas wojny, nie zachował się w stanie oryginalnym żaden wagonik – po prostu były stopniowo modernizowane, a wyeksploatowane modele złomowano.

Dziś, w rocznicę inauguracji, wspominamy dzieje kolejki jak i samej Gubałówki i zapraszamy na „Weekendówkę” tatrzańską. Choć, co ciekawe, sama Gubałówka, czy też ściślej mówiąc Pasma Gubałowskie, do Tatr wcale nie należy. ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl

**KRZYŻÓWKA TATRZAŃSKA**
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.**Poziomo:**

- 4)** Kozi Wierch, Krywań, Zamarła Turnia, Mnich...
8) potocznie o drodze łączącej Kraków z zimową stolicą Polski
12) Adam, poeta, jeden z piewców urody Tatr
14) góralskie ognisko na hali
15) Łysa, Rusinowa lub Jaworzynka
16) Czarny Gąsienicowy, Czarny pod Rysami, Smreczyński, Zadni Polski...
17) plecaka – po powrocie z górskiej wycieczki
20) ... taternicka (wyjście w górę ze przelazem do wspinaczki)
22) polana w Dolinie Bystrej (Tatry Zachodnie)
23) ramki z kolcami przytwierdzone do butów,

przydadzą się na oblodzone stoki

- 26)** króluje w Zakopanem?
28) dobra pora na podziwianie krokusów w Dolinie Chochołowskiej
29) w Tatrach szczególnie piękna (pobielone stoki, żleby...)
31) szczyt, przez który prowadzi szlak 9 pionowo
32) szczyt o wysokości 2302 m n.p.m.
34) wieś między Zakopanem a Białym Dunajcem
36) ... Pawlikowskiego, otwór w Jaskini Mylnej w Dolinie Kościeliskiej
37) turnia na stokach Małego Giewontu
38) ssak w logo Tatrzańskiego Parku Narodowego
39) ... turyści, można ją ustalić dzięki GPS-owi
40) trzeba mieć naprawdę dobrą, by zdobywać najwyższe tatrzańskie szczyty

41) rośliny będące popularnym motywem dekoracyjnym w sztuce Podhala

Pionowo:

- 1)** skrótowo o górnej stacji kolejki linowej z Kuźnic
2) ... Królowa, szczyt w Tatrach Zachodnich (1578 m n.p.m.)
3) ... regłowy (smreki i nie tylko)
5) ostry zakręt ścieżki na górkim stoku
6) przełęcz w Tatrach Wysokich, z widokiem na Dolinę Pięciu Stawów Polskich
7) górski piknik, ze hej!
9) wymagający szlak prowadzący m.in. przez Kozi Wierch
10) „tatrzańskie” ciasto
11) ozdobny haft na górskich spodniach
13) stalaktyty i stalagmity w jaskini
18) jeden ze szczytów w masywie Czerwonych Wierchów

- 19)** najwyższe ... w Polsce
20) ... Kraków, malownicza odnoga Doliny Kościeliskiej
21) wdrapywanie się po stoku, zboczach
23) najwyższy szczyt w Polsce
24) malownicze widoki, panoramy
25) strój narciarski
27) ... góry, czyli wejście na sam szczyt
30) murowana – w piosence o zbójnikach
33) wynajmowane ceprom
34) jedna z głównych rzek Podtatrza, ze źródłami w słowackiej części Tatr Wysokich
35) ... narciarskie, oglądane na Wielkiej Krokwi
36) w Tatrach można je nasycić pięknymi widokami

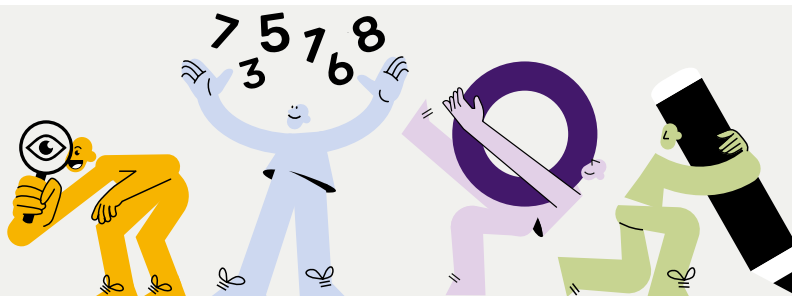
Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34392298

Literówka • Quizy
Sudoku • Krzyżówki

Szukaj  w  APLIKACJI WYBORCZEJ



Zeskanuj QR kod
i pobierz aplikację

